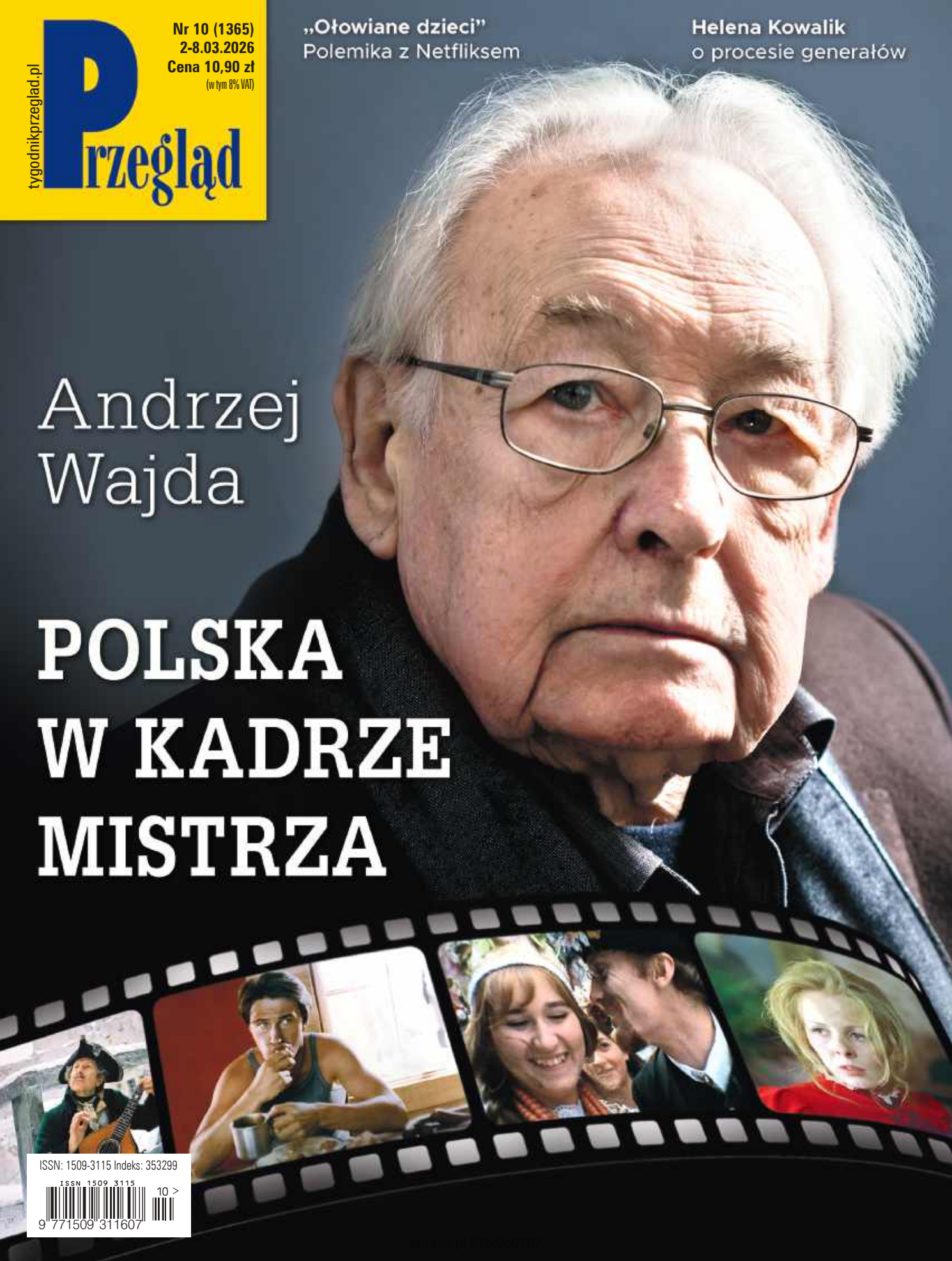
tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 10 (1365)
2-8.03.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

„Ołowiane dzieci”
Polemika z Netfliksem

Helena Kowalik
o procesie generałów



Andrzej Wajda

POLSKA W KADRZE MISTRZA

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115 10 >
9 771509 311607

Zamów prenumeratę

PRZEGLĄDU

InPost Paczkomat 24/7

Darmowa dostawa do paczkomatu już w PONIEDZIAŁEK



sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 57bf9d0787



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Takiego zwierzchnika wojsko jeszcze nie miało

Uderz w stół, a nożyce się odezwą. Nasz głos w sprawie rosnącej aktywności środowisk, które chcą wyprowadzenia Polski z Unii Europejskiej, i zagrożenia, jakie niesie łatwość podjęcia takiej decyzji, szybko znalazł potwierdzenie, że problem nie tylko jest prawdziwy. Jest o wiele poważniejszy, niż to się wydaje tym, którzy wierzą, że obecność Polski w Unii jest pewna i gwarantowana, bo takie są wyniki sondaży, a te siły polityczne, które są za polexitem, stanowią margines. Każdemu, kto myśli, że tego stolika nie da się wywrócić, proponuję analizę trendu, jakim jest szybki przyrost przeciwników Unii. Zobaczcie, jak przybywa polityków, którzy mówią o tym wprost. Albo jeszcze ostrożnie, półsłówkami. I takich, którzy zaczęli od oprawy swoich wystąpień publicznych. Jak prezydent Nawrocki, który tak zadbał o wizerunek twardego krytyka Unii, że kazał wynieść stojące w Sejmie flagi Unii Europejskiej. By w czasie konferencji prasowej, którą miał po wystąpieniu wicepremiera Sikorskiego, nie było zdjęć z nimi w tle.

Wyprowadzenie tych flag z sali sejmowej to głupota urzędników prezydenta. I zdemaskowanie tego, co im chodzi po głowie. Gdyby zmieniła się większość parlamentarna i uchwaliła wyjście Polski z Unii – Nawrocki taką ustawę szybko podpisze. Nie będzie tak kluczył jak w sprawie SAFE. Jeśli oczywiście dotrwa do tego etapu jako prezydent.

Trwa szaleństwo, w jakie wpędzają Polskę ludzie, którzy lubią się nazywać „dużym pałacem", na czele z eksprokuratorem Boguckim, który uwierzył, że dzięki mowom oskarżycielskim w Sejmie i atakowaniu Tuska może trafić na fotel premiera. Te mrzonki się skończą, gdyby Nawrocki podpisał ustawę o SAFE. Nie po to prezes Kaczyński wysłał Nawrockiemu właśnie Boguckiego, by prezydent robił, co chce, i budował własny, konkurujący z prezesem obóz polityczny. A jeśli Bogucki i ekipa z PiS w kancelarii myślą, że ich prezes jest już passé, to mogą się bardzo zdziwić. Pogłoski o końcu Kaczyńskiego są mocno na wyrost. Zobaczymy więc, czy nominalny zwierzchnik polskich sił zbrojnych wybierze dobro wojska. Krzyczał przecież 11 listopada, że nigdy nie powie żołnierzom „naprzód", zawsze będzie to „za mną". Czy już wtedy myślał, że nad interesem wojska są jeszcze interes PiS i Konfederacji oraz jego relacje z Trumpem? Jednostronne i kosztowne?

Nawrockiego nie boli wydawanie ogromnej kasy na amerykańską broń, gaz, elektrownie atomowe itd. Nie boli, bo płacimy my. Polscy podatnicy.

Prezydent ciągle mówi, że nie ma wystarczających informacji. Co więc w jego tak rozbudowanej i najdroższej w historii kancelarii robi tylu urzędników? Skrojonych na obraz i podobieństwo Nawrockiego. I równie jak on z siebie zadowolonych.

BĄKOWSKI



eprasa.pl 57bf9d0787

W NUMERZE

KRAJ

8 **Nie możemy być frajerami**
Sikorski w Sejmie określa priorytety

10 **Ołowiana prawda**
Serial Netfliksa wypacza rzeczywistość

14 **SAFE – maski opadły**
Dlaczego PiS jest przeciw?

22 **Wiosenne wody**
Czy grozi nam powódź?

26 **Grzechy i wypaczenia**
Co się działo w diecezji sosnowieckiej

28 **Dieta o smaku zwycięstwa**
Restaurator i prezydentka Gliwic

30 **W odpowiedzi na apel „Przeglądu" cd.**

32 **Generał na celowniku**
Proces o teczkę „schowaną przed IPN"

38 **XIX edycja Nagrody im. Andrzeja Potoka**

KULTURA

16 **Reżyser po końcu historii**
100-lecie urodzin Andrzeja Wajdy

19 **Wajda a milenialsi**
Klasyk, którego się ceni, ale…

57 **31 basów w „Babim Jarze"**
Szostakowicz w Filharmonii Narodowej

58 **Qulturalia**

66 **Muzyka na atak paniki**
Obrazy Magdaleny Karpińskiej

OPINIE

36 **Grzegorz W. Kołodko**
Lody topnieją nawet zimą

43 **Radosław S. Czarnecki**
Bankructwo i nędza systemu

HISTORIA

40 **Historia w służbie Kremla**
Jak Roj Miedwiediew pokochał Putina

ZAGRANICA

44 **Więcej Europy**
– rozmowa z Emilianem Fittipaldim

48 **Kto zastąpi obecną mer Paryża?**
Korespondencja z Francji

SPORT

52 **Nierozważni i romantyczni**
Dość gloria victis w naszej piłce!

PSYCHOLOGIA

54 **Odebrana seksualność**
– rozmowa z Julią Linke i Ewą Majcherek

OBSERWACJE

60 **Od Super Bowl po Azję**
Rośnie popularność hiszpańskiego

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Takiego zwierzchnika wojsko jeszcze nie miało

7 **Jerzy Bralczyk**
O formach dokuczania

25 **Jan Widacki**
Problem większy, niż się wydaje

31 **Andrzej Romanowski**
Lutowe Syrakuzy

39 **Roman Kurkiewicz**
Śmierć psa jest polityczna

51 **Tomasz Jastrun**
Zakute łby

59 **Wojciech Kuczok**
Hasiok wspomnień



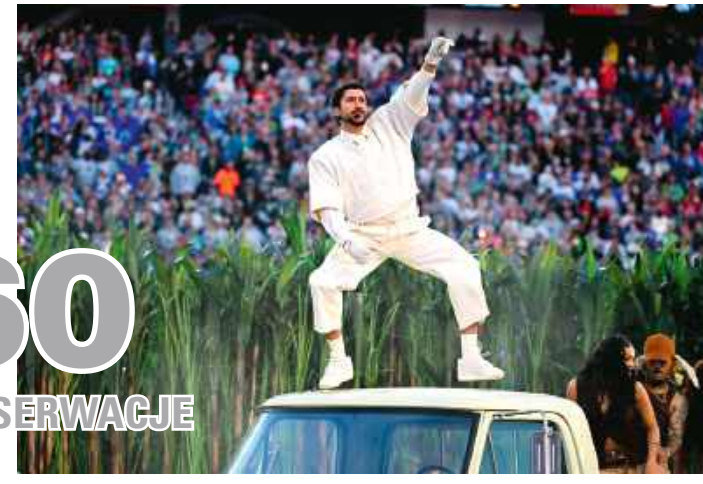
10
KRAJ

OŁOWIANA PRAWDA
Serial Netfliksa wypacza rzeczywistość



44
ZAGRANICA

WIĘCEJ EUROPY
– rozmowa z Emilianem Fittipaldim



60
OBSERWACJE

OD SUPER BOWL PO AZJĘ
Rośnie popularność hiszpańskiego



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ALBERT ZAWADA/AGENCJA WYBORCZA.PL, RENATA PAJCHEL/ EAST NEWS(2), AFP/EAST NEWS, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 57bf9d0787



Złoto wypiera dolara

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł red. Marka Czarkowskiego o naszym polskim złocie. Ostatnimi czasy narodowa, „ozłocona" waluta zyskuje na światowym rynku i wkrótce będzie wśród najsilniejszych na świecie. Cieszy to Polaków wyjeżdżających na wakacje za granicę, martwi niestety eksporterów, bo mocna waluta to kłopot dla kupujących. No cóż, radujemy się „złotym polskim złotym", choć perspektywa przyjęcia wspólnej europejskiej waluty, czyli pogłębienia integracji gospodarczej wewnątrz UE, oddala się w nieokreśloną przyszłość. A jak to z tym złotem było? Od początku dwóch kadencji Glapińskiego nabyliśmy w 2018 r. 25 ton, w 2019 r. 100 ton i pod koniec 2022 r. NBP dysponował nieco ponad 228 tonami złota, gdy nagle, w 2023 r., nabyto kruszcu aż 130 ton, zwiększając jego zapasy o więcej niż połowę. Owszem, pomysł okazał się niezły, bo wojna na Ukrainie bynajmniej nie wygasa i złoto, mimo pewnych fluktuacji, ciągle zwyżkuje, ale przecież powód tego „zakupowego skoku" był inny. Oto jeszcze w lipcu 2023 r. prezes NBP sygnalizował, że bank zamierza przekazać do budżetu państwa 5 mld zł. I nagle, po przegranej PiS, okazało się, że wynik zysków banku „na papierze" jest ujemny!

Już wtedy obserwowaliśmy rekordowe ceny złota, które eksperci wyjaśniali m.in. nasilonymi zakupami kruszcu przez banki centralne, w czym Polska konkurowała jedynie z Chinami. I w gruncie rzeczy o to chodziło – po co się dzielić z Tuskiem pieniędzmi, które miały wspierać rząd PiS? No i tak kupujemy, kupujemy…

Filip Ratkowski

•

Od dekad występuje prosta zależność. Banki centralne kupują złoto na końcu cyklu wzrostowego, a sprzedają na dołku. Przykład pierwszy z brzegu – Bank of England sprzedał sporą część rezerw złota w 1999 r. Ponownych zakupów dokonał 25 lat później.

Piotr Malesa

Z perspektywy wieku



Dziwne, że taki mistrz słowa jak prof. Jerzy Bralczyk nie poznał się na genialnym tekście piosenki prof. Jana Tadeusza Stanisławskiego śpiewanej przez Andrzeja Rosiewicza. Tam przecież nie o długość słów chodzi (skądinąd zabawna myśl!), tylko o domyślne „już" przed „połową". Ma sens.

Piotr Perczyński



Jak myśli Rosja?

Jestem w lekkim – na szczęście pozytywnym – szoku po przeczytaniu rozmowy z prof. Andrzejem Wierzbickim. Mam tylko nadzieję, że nie rzuci się zaraz na niego sfora zaślepionych rusofobią „łowców onuc". Bardzo ciekawy wywiad i wiele trafnych diagnoz.

Robert Śmigielski

Zagadka weterynarii



Liczba lekarzy weterynarii nie spada, wręcz przeciwnie – stale rośnie, zwłaszcza po otwarciu nowych wydziałów medycyny weterynaryjnej. Problemem jest pozostawanie w zawodzie dłużej niż kilka lat. Ja studia na medycynie weterynaryjnej kończyłam 18 lat temu i już wtedy cały czas mówiło się o „nadprodukcji" lekarzy weterynarii. Straszono nas też, że dla wszystkich nie znajdzie się praca.

Marta Posim-Kosmowska

ZDJĘCIE TYGODNIA



Modlitwa w drugi piątek świętego miesiąca postu, ramadanu, na ulicy w Śrinagarze w indyjskim Kaszmirze. 27 lutego 2026 r.

FOT. SHARAFAT ALI/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 57bf9d0787

Jakie są powiązania Karola Nawrockiego, jego otoczenia i polityków PiS z rynkiem kryptowalut? Co ich łączy z firmą Zondacrypto, liderem kryptowalut na polskim rynku? **Dlaczego Nawrocki już dwukrotnie zawetował ustawę o kontroli rynku kryptowalut?** Dowiemy się tego dopiero po odtajnieniu materiałów zebranych przez służby.

•

Stałe kontakty z prezydentem Nawrockim coraz bardziej szkodzą. **Wicepremier Kosiniak-Kamysz** wraca do skompromitowanej koncepcji budowy Fortu Trump. **Zmienia też historię Polski, a przynajmniej historię PSL.** Z bandytów, którzy mordowali chłopów biorących ziemię z reformy rolnej, robi bohaterów. Batyr przeminie, a wstyd zostanie.

•

Sesja Rady Miejskiej w Radomiu zakończyła się wylewem i śmiercią Jana Pszczoły, radnego Nowej Lewicy, łżonego i obrażanego przez radnych PiS. Atmosferę hejtu i agresji podgrzewali posłowie PiS z Markiem Suskim na czele.

•

Prezes Kaczyński uniewinnił Roberta Telusa. Najgorszy minister rolnictwa w historii wydał zgodę na sprzedaż 160 ha gruntu o strategicznym znaczeniu dla CPK i ma na koncie wiele innych afer. Ale rozpadające się PiS nie może pozbyć się nikogo.

•

Bestsellery Empiku 2025 otrzymali m.in. **Szczepan Twardoch** za książkę „Null", **Sławek Gortych** za kryminał „Schronisko, które zostało zapomniane", **Małgorzata Oliwia Sobczak** za audiobook „Błękit. Kolory zła", **Robert Małecki** za superprodukcję audio „Rumor", **Wojciech Smarzowski** za film „Dom dobry". Głosem publiczności pisarzem roku został **Remigiusz Mróz**, a artystą muzycznym roku **Dawid Podsiadło.**

•

Marcin Przydacz, agresywny polityk PiS i bardzo aktywny trumpista tracący wpływy w kancelarii prezydenta Nawrockiego, zaatakował prof. Ewę Łętowską za to, że rozpoczynała karierę w latach 80. jako „listek figowy Jaruzelskiej Polski". No cóż, głupek i cham. Nie powinien zdejmować czerwonej czapeczki „Trump ma zawsze rację".

•

Polska jest na drugim miejscu po Hiszpanii pod względem ilości antybiotyków w mięsie. Główny powód to ogromne stłoczenie zwierząt w hodowli przemysłowej **(„Angora")**.

•

W roku akademickim 2024/2025 studiowało w Polsce **108,6 tys. obcokrajowców**. Razem z czesnym wydawali rocznie 6,8 mld zł. Aktualnie studiuje u nas ok. 92 tys. osób z zagranicy.

•

Według raportu międzynarodowej organizacji Oxfam na świecie jest już ponad **3 tys. miliarderów dolarowych.** Szczyt tej drabiny to koncentracja bogactwa. 12 najbogatszych ma majątek większy niż ponad 4 mld ludzi.

•

Na nabywców u dealerów **czeka 100 tys. samochodów** wyprodukowanych w 2025 r.

•

Prawie 60% Polaków próbowało przynajmniej raz się odchudzać.

PRZEBŁYSKI



Nadbereżny nie chce kasy dla huty

Takiego szpagatu nie potrafi zrobić nawet zawodowa tancerka. A wymaganie tego od mężczyzny w sile wieku pachnie sadyzmem. Kto się znęca i nad kim? Prezes Kaczyński nad Lucjuszem Nadbereżnym, prezydentem Stalowej Woli. Zmusił Nadbereżnego, by połknął własny język i gardłował przeciw programowi SAFE. I prezydent miasta, w którym Huta Stalowa Wola ma wielkie problemy, odrzuca pomoc w postaci wielu miliardów złotych.

Nawet jak na PiS, które na polecenie Kaczyńskiego potrafi być chórem głoszącym kompletne brednie, postawa Nadbereżnego to istne horrendum. Rekord lizusostwa wobec prezesa i nielojalności wobec huty i mieszkańców miasta.



PSL a Bank Rolny

Wieś szykuje się na gorącą wiosnę. I nie chodzi tu o wysoką temperaturę powietrza. Na desperację rolników wpływają pełne magazyny i niskie ceny. Jak żyć? – pytają i szykują się do protestów.

Władze nie mają na to dobrych odpowiedzi. Bo nie mają instrumentów. Takich, jakie są w Niemczech, Francji czy Hiszpanii. W Polsce też coś takiego działało. Ale w szale prywatyzacji sprzedano Bank Gospodarki Żywnościowej. Dziś jesteśmy jedynym państwem o silnym rolnictwie, które nie ma takiego banku. Na polskich rolnikach zarabiają Francuzi, Hiszpanie i inni. Czego PSL się boi? Wyborcy na wsi czekają na Bank Rolny. Ktoś to wreszcie zrobi. I będzie miał rząd wiejskich dusz.

Dar, za który trzeba płacić



Jakby mieszkańcy Miastkowa Kościelnego mało mieli własnych problemów, dostali jeszcze jeden. Dla żartu nazwany darem. Ks. Ireneusz Głowacki, proboszcz parafii pw. Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny, przedstawił wiernym ambitny projekt deweloperski. Pomyślany z rozmachem, ale kosztowny nowy dom parafialny. Mieszkania dla wikariusza i księdza seniora, sale parafialne z zapleczem, kancelaria z archiwum i magazyn Caritas. Makieta robi wrażenie. Podobnie jak apel o wpłacanie 800 zł składki na budowę tego daru. Można płacić w ratach. Można też dać więcej. Niestety, znalazły się czarne owce, które protestują. A nawet niewybrednie atakują proboszcza.

Koszmarne figurki

Jak szybko wydać 351 tys. zł, w tym 340 tys. z Rządowego Programu Odbudowy Zabytków? Jest gmina, która pokazała, że można to zrobić bez sensu i jeszcze się ośmieszyć. Tak jak włodarze gminy Kornowac (woj. śląskie). Wystarczył im rok, by odrestaurować 15 przydrożnych krzyży. Takich, co już swoje przeżyły. Z metrykami od 100 do 150 lat. Wszystko odbyło się w zgodzie z przepisami. Przetarg wygrała prywatna firma z Raciborza. Miała referencje i poparcie z parafii. Ozdobne ogrodzenia i utwardzenia z kostki granitowej zrobiła bez zarzutu. Gorzej, a wręcz tragicznie, poszło jej z figurkami. Wyszpachlowane i pomalowane wyglądają koszmarnie. Jak dekoracje do filmów o potworkach.



FOT. FACEBOOK (3), KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 57bf9d0787

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



mleczko.pl

sklep.mleczko.pl



Jerzy Bralczyk

O formach dokuczania

Zrządzenia i zrzędzenia

Najlepiej, gdy nasze gry komunikacyjne prowadzimy wspólnie, gdy prowadzą do chcianego wspólnie porozumienia. Ale bywa różnie, bo w grach lubimy wygrywać.

Nie zawsze potrafimy dostrzec granice między trzema szczególnymi, ale typowymi grami z naszymi bliźnimi, grami o ciekawie podobnych nazwach: otóż możemy się z nimi droczyć, możemy się z nimi drażnić (lub ich drażnić) i możemy ich dręczyć. Dla nas to urocze i zabawne droczenie się, dla otoczenia to może drażnienie się z nimi (lub ich), dla nich samych – już bywa, że dręczenie.

To pewnie nie przypadek, że te działania tak podobnie się nazywają. A mamy jeszcze drożenie się, czyli konwencjonalne zwykle negocjowanie własnej wartości, i przenośne drążenie, np. tematu.

Drocząc się, najpierw niby niewinnie się przekomarzając, można przekroczyć granice i zacząć drażnić się z rozmówcą, a właściwie już drażnić go, a on (wtedy już jako przeciwnik), drażniony, może, gdy jest drażliwy, rozdrażniony, przestać się kontrolować – i przegrać. O co przecież często chodzi, niestety. Ale zważyć trzeba, że drażnienie bywa niebezpieczne dla drażniącego.

Mocniejszą i już pozbawioną zabawowych aspektów formą jest dręczenie. To uporczywe stosowanie skrajnie nieprzyjemnych działań, przypominające tortury psychiczne. Wymaga ono determinacji etycznej, pozbycia się skrupułów. To już nawet nie dokuczanie, to męczenie, gnębienie, znęcanie się. Takie są hejty, w których anonimowy dręczyciel znajduje dość obrzydliwą satysfakcję.

Mamy z tym do czynienia i w codziennym życiu, i w publicznym, też w polityce. W wyższej kulturze politycznej droczenie się jest może zbyt dziecinnie zabawowe, drażnienie – przyjęte i atrakcyjne. Trudne jest zdobycie odporności na drażnienie, ale można je przekształcić w drażnienie się. Zaś dręczeni przez uporczywie dążących do prawdy, zatem z upodobaniem drążących drażliwe tematy dziennikarzy czasem znajdują wyjście w oburzaniu się i obrażaniu, co bywa spektakularne.

Od zabawy do sporu, od sporu do walki, od walki do znęcania się… Chciałoby się, żeby było trochę nazw, już niekoniecznie podobnych do siebie, dla miłych, życzliwych, przyjaznych gier komunikacyjnych. Ale jakoś ich brak… ■

eprasa.pl 57bf9d0787



„W świecie, gdzie o wszystkim decydują siła i pieniądze, nie ma miejsca na prawdziwe sojusze”, mówił w Sejmie Radosław Sikorski.

NIE MOŻEMY BYĆ FRAJERAMI

Radosław Sikorski opisuje Polskę w świecie

Robert Walenciak

„Wielkie przewroty – polityczne, gospodarcze, technologiczne – które zmieniają świat, dokonują się na naszych oczach”. Tak zaczął sejmowe wystąpienie o polityce zagranicznej Radosław Sikorski (26 lutego br.). Dobrze je ułożył. Najpierw pokazał ów zmieniający się świat, coraz groźniejszy, z wojną u naszych bram. Potem pokazał głównych aktorów tego świata. W dalszej kolejności definiował polskie interesy i to, jak Polska powinna w tym niestabilnym świecie się poruszać, jakich złudzeń unikać.

Sikorski ma temperament, więc wchodził co chwila w polemikę z tezami rozpowszechnianymi przez PiS i obie Konfederacje. Musiał, bo polskie spory przeniosły się na politykę zagraniczną. Mówił zatem, że nie należy bać się Rosji, że trzeba wspierać Ukrainę. Że Europa, owszem, przeżywa kryzys, ale da się go przezwyciężyć. Że w Europie jesteśmy silniejsi – bo współpraca daje przewagę. I że polexit to pewna klęska. Ameryka? Ma własne interesy. I w imię tych interesów może nas zostawić. Jak w Jałcie. Jesteśmy więc sojusznikiem USA, ale nie możemy być frajerami.

Oto świat, w którym Sikorski nas plasuje.

•

To, po pierwsze, świat wojny u bram. Czy Rosja nas zaatakuje? Tego nie wiemy, ale wiemy, że wojna kończy wszystko, bo bezpieczeństwo jest warunkiem realizacji wszelkich celów państwa.

A Polska jest dziś w sytuacji półwojennej. Doświadczamy ataków cybernetycznych i aktów dywersji, szarpiemy się z Moskwą. Gorącą wojnę mamy u sąsiada – Ukraina walczy o niepodległość. „Wszystkim, którzy uważają, że pomoc Ukrainie jest niepotrzebna czy nieopłacalna, mówię wyraźnie: popełniacie błąd”, mówił Sikorski. I dopowiadał: „»Musimy za wszelką cenę utrzymać niepodległość Ukrainy, Litwy i Białorusi, bo to jest w naszym życiowym interesie«, twierdził w latach 90. Giedroyc. »Gdyby Rosja wchłonęła Ukrainę, to jesteśmy ugotowani, wzięci za gardło«”.

Dalej minister tłumaczył: „Widzimy sens w tym, aby Ukraina się rozwijała i ciążyła ku Unii. Zwycięstwo Kijowa będzie naszym zwycięstwem. Rosja – wbrew temu, co mówi jej propaganda – wcale nie wygrywa. Nie dajmy się nabrać. Rosja nie jest i nigdy nie była niepokonana. Przypominam – tylko w XX w. Moskwa przegrała: wojnę z Japonią w 1905 r., I wojnę światową, wojnę polsko-bolszewicką w 1920 r., wojnę w Afganistanie i zimną wojnę”.

Wątek wojny rosyjsko-ukraińskiej szef MSZ kończył refleksją nad mapą zmieniającego się świata: „Stawką wojny w Ukrainie jest nie tylko niepodległość tego państwa i nie tylko bezpieczeństwo naszego regionu Europy. Ta wojna zdecyduje o tym, który podmiot stanie się trzecim – obok Stanów Zjednoczonych i Chin – filarem nowego globalnego układu sił. Czy będzie to Rosja, czy Unia Europejska? Dla polskiego patrioty wybór powinien być oczywisty”.

W ten sposób przedstawił wojnę rosyjsko-ukraińską z perspektywy innej, niż dotychczas robiono to w naszych mediach. Ukazywano ją jako wojnę o niepodległość, a także o bezpieczeństwo Polski. Żeby rosyjskie czołgi nie stały pod Medyką. A teraz Sikorski pokazał, że to wojna o geopolityczny kształt świata. O to, kto będzie numerem trzy, a kto spadnie do

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 57bf9d0787

drugiej ligi, kto znajdzie się w wielkich kłopotach: Rosja czy Europa?

Jeżeli tak jest, to nie spodziewajmy się szybkiego pokoju. Ta wojna jest przecież elementem tworzenia się nowego układu, zderzania płyt tektonicznych. „Widzimy próby powrotu do koncertu mocarstw – sytuacji, w której największe państwa dzielą świat na strefy wpływów, gdzie rzekomo powinny im przysługiwać szczególne, także terytorialne prawa", opisywał Sikorski i przestrzegał: „W świecie, gdzie o wszystkim decydują siła i pieniądze, nie ma miejsca na prawdziwe sojusze. Bo dzisiejszy sojusznik jutro może być wchłonięty lub sprzedany".

•

Tak doszedł do polskich dylematów. Do tej pory polska polityka opierała się na dwóch filarach, czyli na więziach euroatlantyckich, Unia-Stany. Teraz tego nie ma. Nie ma zaufania. Upadło, wiadomo z czyjej winy. „To nie Europa wysuwa roszczenia terytorialne, nakłada arbitralne cła czy ingeruje w rywalizację partyjną po drugiej stronie Atlantyku", mówił minister spraw zagranicznych.

Ale co dalej? Jak mamy się zachować w momencie największego kryzysu w stosunkach Europa-USA?

•

Zacznijmy od Europy, bo jej Sikorski poświęcił największą część wystąpienia. „Polska racja stanu to obecność w Unii Europejskiej i jej współkształtowanie", deklarował, dodając: „Niektórzy polscy politycy sieją antyeuropejską propagandę i chcą nas z Unii wyprowadzić. Europa potrzebuje reform. Ale przyszłość kontynentu europejskiego powinna być budowana w oparciu o Unię Europejską, nie na jej gruzach".

W oparciu o Unię, bo ona trzyma w ryzach Niemcy. Po to zresztą została utworzona, żeby zarządzać „wyzwaniem niemieckim". Sikorski tłumaczył więc: „Lepiej jest rozmawiać z silnymi Niemcami jako partnerem w ramach Unii niż z silnymi Niemcami bez więzów i norm, które nakłada na nie Wspólnota. Wyobraźmy sobie słabą bądź rozmontowaną Unię Europejską. Poza jej strukturami biedniejsza Polska i uzbrojone po zęby Niemcy, w dodatku rządzone przez nacjonalistyczną prawicę. Naprawdę tego chcecie?".

W ten sposób rozbrajał antyniemieckie fobie Kaczyńskiego. I podkreślał: „To prawda, że mamy z Niemcami kwestie sporne – jak z wieloma innymi państwami. Ale więcej mamy wspólnych interesów. Polska jest dziś na czwartym miejscu na liście największych dostawców towarów do Niemiec – za Chinami, USA i Niderlandami, ale przed Francją czy Włochami. Jesteśmy także czwartym największym odbiorcą niemieckiego eksportu – większym niż Chiny. Czy naprawdę warto byłoby wprowadzić cła na towary, które polscy przedsiębiorcy sprzedają do Niemiec i które z Niemiec kupują?".

Poza tym Unia jest gwarancją polskiej pomyślności. Kupuje polskie towary, za 260 mld euro rocznie, ponad 1 bln zł. Otwiera więc przed nami swój rynek, a i przekazuje potężne pieniądze. Od momentu przystąpienia do Unii do września 2025 r. otrzymaliśmy z Brukseli prawie 268 mld euro! W tym czasie nasze wpłaty do budżetu Unii wyniosły 99 mld euro.

– są bohaterami narodów polskiego i amerykańskiego. Należy o nich pamiętać i uszanować ich ofiarę".

A po chwili dodał: „W ramach 128 kontraktów wydajemy 63 mld dol. na zakup amerykańskiej broni i technologii wojskowych. Tworzymy tym samym miejsca pracy w 15 stanach USA – od Kalifornii, Teksasu i Florydy po Illinois, Ohio i Nowy Jork. Polska jest największym odbiorcą amerykańskiego gazu skroplonego w tej części Europy. Pierwsza polska elektrownia jądrowa zostanie zbudowana w oparciu o technologię amerykańskiej firmy Westinghouse. Inwestycja warta ponad 50 mld dol. jest kolejnym wyrazem zaufania do naszych partnerów".

Oto więc język, jakim chce z Waszyngtonem rozmawiać. A Polakom uświadamia: „Priorytetami dla obecnej administracji USA są ochrona własnego terytorium, zachodnia półkula oraz region Indo-Pacyfiku. Europa zeszła na dalszy plan, a Rosja jest postrzegana jako zagrożenie przede wszystkim regionalne i potencjalny partner resetu gospodarczego.

Dzisiejszy sojusznik jutro może być wchłonięty lub sprzedany.

Polexit byłby końcem tej sytuacji. Sikorski przytaczał szacunki jego kosztów: „Po pierwsze, spadek PKB między 4 a 7%. Po drugie, spadek wynagrodzeń nawet o 8%. Po trzecie, spadek eksportu produktów mięsnych i mlecznych sięgający 45-50% – i to w scenariuszu łagodnego rozejścia z Unią, a nie gwałtownego zerwania!".

•

A co z marzeniami polskiej prawicy o wielkim sojuszu Polski i USA? I takim miejscu Polski w polityce USA, jakie ma Izrael? Na tych marzycieli Sikorski wylał kubeł zimnej wody, oceniając zwrot, który dokonał się w USA. Ale najpierw przypomniał Amerykanom: „U boku żołnierzy amerykańskich walczyło w Afganistanie wielu Europejczyków, w tym Polaków. W tej operacji zginęło 43 polskich żołnierzy i jedna osoba cywilna. W Iraku straciliśmy 22 żołnierzy. Zginęli z bronią w ręku

Czytamy o tym w amerykańskich dokumentach strategicznych, słyszymy podczas rozmów. Na zmiany w USA patrzymy ze zrozumieniem, ale i niepokojem. Pamiętamy o Jałcie. Po upadku nazistowskich Niemiec prezydent Franklin Roosevelt chciał pozyskać pomoc Stalina do walki z Japonią. Uzyskał ją, ale kosztem wolności tej części Europy. Amerykański interes narodowy zrealizowano. My zapłaciliśmy cenę. Byliśmy i będziemy lojalnym sojusznikiem Ameryki. Ale nie możemy być frajerami". To będą często cytowane słowa: nie możemy być frajerami, pamiętamy, że już raz nas porzuciliście.

Tak oto Sikorski wytycza swoim przeciwnikom pola politycznych bitew i ostro rysuje linie podziału. Jest gotowy do starcia z polexitowcami, z wrogami Unii, z frajerami od stosunków z USA. Mainstream ma swojego szefa.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 57bf9d0787

Udźwignięcie tego, co naprawdę wydarzyło się w śląskich Szopienicach, nie leżało poza zasięgiem Netfliksa. Jednak z jakiegoś powodu producent Orient Film, reżyser Maciej Pieprzyca, a nade wszystko scenarzysta Jakub Karolczuk wybrali drogę na skróty. Czym ten zabieg usprawiedliwić? Potencjalnymi zasięgami produkcji? Kuszącą wizją wykreowania „polskiego Czarnobyla" w Szopienicach? Albo chęcią przedstawienia kolejnej „prawdy objawionej" o Polsce lat 70., łatwą okazją do ugruntowania stereotypu ówczesnej komunistycznej władzy, nieczułej na problemy chorych dzieci?

Jeśli taki był zamysł twórców, to niestety się udał. Niestety, bo kosztem jest prawda.

Do tej pory na temat tej produkcji wypuszczono na świecie już 52,4 mln publikacji, a w Polsce 17,2 mln (Instytut Monitorowania Mediów, 26 lutego 2026). W Stanach Zjednoczonych i w Niemczech porównuje się ją do serialu „Czarnobyl" i traktuje jak ekologiczny thriller o systemowym tuszowaniu prawdy (zapewne także z powodu boleśnie przez sztuczną inteligencję przerysowanych obrazów szopienickich familoków, podwórek i hutniczych hal), a świat przestał już pytać, jak to było w PRL – świat po serialu Netfliksa już wie.

Tymczasem prawda o tym, co się wydarzyło w Szopienicach, nie jest nawet bardziej skomplikowana i zniuansowana. Ona jest po prostu inna.

Marzena Michałek

OŁOWIANA PRAWDA

Dla „swoich dzieci" potrafiła nawet przekabacić „anioła stróża" z SB. Ale Jolanta Wadowska-Król nie działała sama

Mateusz Cieślak

Ta opowieść mogłaby być ciekawsza, a na pewno byłaby prawdziwsza – szkoda, że Netflix nie pokazał pełnej historii trzech niezłomnych Ślązaczek.

Gdyby wśród polskich lekarzy wskazać wzór do naśladowania, postać godną pomnika, z pewnością taką osobą byłaby Jolanta Wadowska-Król, o której powstał głośny serial „Ołowiane dzieci". Serial budzący spory, i słusznie, gdyż utrwala kiepski stereotyp Górnego Śląska jako polskiej Katangi. W dodatku z drugiej pomnikowej postaci serial ten zrobił kogoś zupełnie innego.

Szopienice, dzielnica Katowic, również dziś są biedniejsze niż inne części miasta. Huta Metali Nieżelaznych już nie działa. Ale ołów w ziemi pozostał. Zarówno w Katowicach, jak i w wielu innych miejscowościach Górnego Śląska jest sporo miejsc, gdzie znajdziemy całą tablicę Mendelejewa.

Pierwsza huta została wybudowana w Szopienicach w latach 30. XIX w. Nazywała się Wilhelmina. Obok powstały huty Walther Croneck, Uthemann oraz inne zakłady hutnicze. Uthemann rozpoczął działalność w 1912 r. To ważne dla naszej opowieści, ponieważ rok później w Szopienicach założono szkołę specjalną. Wiele dzieci z hutniczych rodzin było upośledzonych.

Nieprawdą jest, że nie wiedziano o zagrożeniu trującymi oparami. I chodziło nie tylko o wyziewy ołowiu, lecz także np. kwasu siarkowego, który powstawał przy wytopie cynku. Hutnicy byli wyposażeni w maski, ale przeciwpyłowe, a nie takie, które odfiltrowywały opary kwasu siarkowego w powietrzu. Radzili sobie, wkładając pod maskę szmatę. Gdy szmata robiła się mokra, wymieniali ją.

Wszyscy wiedzieli, że najniebezpieczniejsza była praca bezpośrednio przy wytopie. Dlatego ci, którzy ją brali, dostawali największe pieniądze. Co pewien czas byli zmieniani, żeby mogli odtruć organizm. Umierali wcześnie. Nikogo w Szopienicach nie dziwiły klepsydry informujące o tym, że zmarły miał czterdzieści kilka lat.

Kominy dymiły na całym Górnym Śląsku, nie tylko w Szopienicach. Ani w XIX, ani w XX w. nie myślano o tym, że to, co z nich wylatuje, też stanowi śmiertelne zagrożenie. Liczyło się co innego. Dla fabrykantów – zyski, a po II wojnie światowej – wydajność. Dla robotników – praca. Brali nawet najgorszą, byle przeżyć, byle utrzymać rodziny.

Trzy wspomniane huty połączono w jeden zakład. I tak powstała Huta Metali Nieżelaznych. Na osiedlu familoków w tych stojących najbliżej fabrycznego płotu mieszkali najbiedniejsi. Na każdy budynek przypadała tylko jedna umywalka – na korytarzu. W najbardziej prymitywnych familokach nie było toalet. Wychodki znajdowały się na podwórku.

Śmierć w powietrzu i w ziemi

Obok familoków były małe ogródki. Ludzie uprawiali warzywa. W czasach PRL zakład stworzył dla nich ogródki działkowe. Tuż za hutniczym murem.

Jolanta Wadowska-Król rozpoczęła pracę w przychodni w Szopienicach pod koniec lat 60. Zaczęła leczyć dzieci. Od razu zauważyła, że wiele ma anemię. Pomimo stosowania różnych

eprasa.pl 57bf9d0787



Jolanta Wadowska-Król na tle muralu ze swoją podobizną.

preparatów i leków anemia u małych pacjentów nie ustępowała. Jednym z nich był chłopiec z ulicy Westerplatte. Wadowska-Król uznała, że konieczne są bardziej szczegółowe badania. Wysłała dziecko do I Katedry i Kliniki Pediatrii Śląskiej Akademii Medycznej, do Zabrza.

– opowiada Przemysław Król, syn dr Jolanty, również lekarz.

Hager-Małecka była wojewódzkim konsultantem w dziedzinie pediatrii. Do jej obowiązków należała kontrola pracy lekarzy. Wybrała się do szopienickiej przychodni na kontrolę. – Usiadła sobie w poczekalni.

Jolanta Wadowska-Król objęła badaniami aż 5 tys. dzieci. „Moich dzieci", jak je nazywała.

Wtedy był to najlepszy szpital dziecięcy w okolicy. Kliniką kierowała prof. Bożena Hager-Małecka. Pani profesor akurat wyjechała do Szwajcarii na sympozjum, na którym omawiano przypadek ołowicy u dziecka. Dziecko jadało z talerza malowanego farbą zawierającą szkodliwy pierwiastek. U chłopca przysłanego przez Wadowską-Król profesorka zobaczyła podobne objawy. Kazała przebadać go pod kątem ołowicy. Wyniki nią wstrząsnęły.

– Zastanawiała się, jaka jest przyczyna choroby. Uznała, że pod tym samym kątem trzeba przebadać pozostałe dzieci z tej rodziny

Porozmawiała z mamami czekającymi na wizytę. Potem weszła do gabinetu i zapytała o kartoteki losowo wybranych pacjentów – wspomina pan Przemysław.

Poprosiła Wadowską-Król o zbadanie innych dzieci z rodziny chłopca leżącego w Zabrzu. Okazało się, że całe jego rodzeństwo chorowało na ołowicę. Wobec tego badaniami objęto resztę dzieci z tego samego familoka. Każde cierpiało na tę straszną chorobę.

Gdy Jolanta Wadowska-Król przyjechała z wynikami do Zabrza, prof. Hager-Małecka poleciła jej rozszerzyć badania. A że dr Jolanta była młodą, energiczną osobą, przebadała aż 1 tys. dzieci. Wyniki były szokujące. Obie lekarki postanowiły kontynuować badania.

Jolanta Wadowska-Król objęła nimi aż 5 tys. dzieci. Pomagała jej pracująca w przychodni pielęgniarka, Wiesława Wilczek. Wybierały którąś z ulic w Szopienicach. Wadowska-Król szła jedną stroną, a Wilczek drugą i po kolei wręczały matkom wezwanie na badania.

Władza wiedziała

Nieprawdą jest, że cała ta operacja była skrywana przed „władzą". Kto tak twierdzi, ten nie zna ówczesnych realiów. Polecenia wykonania badań wydawała przecież konsultant wojewódzka. Dyrektor przychodni, dr Kazimierz Urban, powiedział podwładnej, że nic nie chce wiedzieć o tych badaniach, ale pozwolił Wadowskiej-Król je prowadzić. „Jak chcesz, to rób", stwierdził krótko.

Na późniejszym etapie tę bezprecedensową akcję wspierali: dyrektorka Wojewódzkiego Ośrodka

eprasa.pl 57bf9d0787



Matki i Dziecka dr Zofia Kajzerowa i dyrektor ds. socjalnych huty. Parasol ochronny nad całą operacją roztoczył legendarny Jorg, wojewoda katowicki gen. Jerzy Ziętek. A jemu nikt nie śmiał się sprzeciwić.

Zresztą ukryć się tego nie dało. Całe Szopienice szumiały. Ludzie prowadzili na ten temat rozmowy. Pytali sąsiadów, czy u nich „doktórka" już była, czy dzieci przebadane, jakie mają wyniki. Dziwne by było, gdyby prowadzone przez Jolantę Wadowską-Król działania nie wzbudziły zainteresowania Służby Bezpieczeństwa. Ale tamta rzeczywistość naprawdę nie była czarno-biała. I często była taka jak w filmach Barei. Tak więc esbek będący „aniołem stróżem" „doktórki" uzgadniał z nią treść meldunków. I dopiero po konsultacji składał swoje raporty. Syn lekarki po latach śmieje się, że funkcjonariusz był podwójnym agentem.

PRL nie była taka, jak się ją dziś przedstawia. Ale też nie była rajem. Szczególnie na Górnym Śląsku, gdzie sekretarzem wojewódzkim PZPR był Zdzisław Grudzień. Ludzie się bali. Tak było nawet w najbliższym otoczeniu prof. Hager-Małeckiej. – Jej mąż, a mój dziadek, Stanisław Małecki, prosił babcię, żeby dała spokój. Wszystkich nas pozamykają, mówił – wspomina ich wnuk Stanisław Torbus.

Pani profesor spokoju nie dała. Miała świetne relacje z wojewodą Ziętkiem przez wzgląd na swojego ojca, powstańca śląskiego. Gdy przychodziła do Jorga, Lodzia, jego sekretarka, zawsze ją wpuszczała. Kto wie, jak by było, gdyby Hager-Małecka nie miała takiego sojusznika.

Parasol ochronny nad operacją roztoczył legendarny Jorg, wojewoda katowicki gen. Jerzy Ziętek. A jemu nikt nie śmiał się sprzeciwić.

Ołowiane bułki

Czarnobyl dopiero miał nastąpić. Ale tereny wokół Huty Metali Nieżelaznych w Szopienicach śmiało można by nazywać katowickim Czarnobylem. Dzieci nie mogły tam pozostać. Bawiły się na pylistych podwórkach, gdzie ziemia była bardzo skażona ołowiem. „Ktoś powiedział, że ziemia wokół huty to była słaba ruda ołowiu. Czyli te dzieci, bawiąc się na podwórkach, bawiły się piłką, jadły bułkę i zjadały ten ołów", mówiła w jednym z wywiadów Jolanta Wadowska-Król.

Decyzją ówczesnych władz kilka tysięcy szopienickich dzieci wyjechało do sanatoriów. W zależności od stopnia zatrucia organizmu przebywały tam krócej lub dłużej. Najczęściej kilka miesięcy. Ale jedno z dzieci pozostawało w sanatorium aż półtora roku.

Gdy dzieci z sanatoriów wracały, przeprowadzały się z rodzinami do nowych mieszkań – w innej części miasta. Huta Metali Nieżelaznych budowała osiedle mieszkaniowe. Podjęto decyzję, że jako pierwsi nowe mieszkania otrzymają lokatorzy familoków położonych najbliżej zakładu. Jolanta Wadowska-Król mówiła, komu należy je przydzielić w pierwszej kolejności, dyrektor ds. socjalnych zakładu wzywał zaś hutników i dawał im klucze do mieszkań.

Podjęto także decyzję, by zburzyć te familoki, które stały na najbardziej skażonym terenie. Wokół Huty Metali Nieżelaznych stworzono pas zieleni. W następnych latach część produkcji z Szopienic przeniesiono w okolice

FOT. ANNA LEWAŃSKA/AGENCJA WYBORCZA.PL, MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX (2)

eprasa.pl 57bf9d0787



Kadry z serialu „Ołowiane dzieci” z Joanną Kulig w roli Jolanty Wadowskiej-Król.

Miasteczka Śląskiego, a sama huta stopniowo była zamykana.

Syn dr Wadowskiej-Król jest chirurgiem onkologicznym. Zajmuje się onkologią piersi. Do dziś ma pacjentki z pobliża Miasteczka Śląskiego. – One miewają podwyższony poziom ołowiu albo kadmu. Oba te pierwiastki są onkogenne. Mogą zwiększać ryzyko pojawienia się nowotworu – podkreśla.

Czego nie pokazał Netflix

Trzy odważne kobiety, trzy niezłomne medyczki, wykonały tytaniczną pracę. Nie wahały się przed podjęciem wielkiego ryzyka dla ratowania dzieci. „Moich dzieci”, jak do końca życia o filmowych „ołowianych dzieciach” mówiła Jolanta Wadowska-Król. Działo się to w czasach, gdy władza ludowa niechętnie przyznawała się do błędów. Gdyby nie Jorg, sprawy mogłyby przybrać inny obrót.

Jolanta Wadowska-Król za swoją niezłomność zapłaciła wysoką cenę. Zebrała materiał badawczy unikatowy na skalę światową. Napisała doktorat. Kazano go łagodzić poprzez usuwanie różnych danych. Liczby polecono zastąpić procentami. W sumie powstało kilka wersji pracy doktorskiej. Ta ostatnia otrzymała recenzje negatywne i Wadowskiej-Król nie dopuszczono do obrony. Jej doktorat spoczął w sejfie rektora Śląskiej Akademii Medycznej, prywatnie kolegi sekretarza Grudnia.

– Z uczelni do przychodni mama wróciła załamana. Czekającej na nią pielęgniarce powiedziała, że żadnego doktoratu nie będzie – wspomina Przemysław Król.

Stanisław Torbus mówi, co go razi w „Ołowianych dzieciach” Netfliksa. To właśnie wywołało burzliwą dyskusję na Górnym Śląsku. Otóż twórcy serialu przyjęli „westernową” konwencję. W Szopienicach pojawia się waleczna bohaterka „ze świata” i robi porządek. Tymczasem wszystkie te wspaniałe medyczki to Ślązaczki. Jolanta Wadowska-Król urodziła się w Katowicach kilka miesięcy przed wybuchem wojny. Komu przeszkadzała ich tożsamość?

Walcząc o mieszkania zastępcze dla rodzin dzieci najbardziej dotkniętych ołowicą, prof. Hager-Małecka udała się do samego Gierka. Niezrozumiały jest więc zabieg polegający na zrobieniu z niej postaci o co najmniej wątpliwym kręgosłupie moralnym – co prawda pod zmienionym nazwiskiem. Jeśli twórcy filmu chcieli mieć taką postać, trzeba było ją wymyślić. Wielu ludzi na Górnym Śląsku wie, kto jest pierwowzorem filmowego szwarccharakteru.

Warto zwrócić uwagę na coś jeszcze. Mieszkańcy Szopienic zostali przedstawieni jako biedni i zacofani. Biedni tak. Ale czy zacofani? Na wezwania „doktórki” odpowiedziało 100% rodzin. 100% matek przyprowadziło dzieci na badania. W dobie powszechnego podważania osiągnięć nauki i medycyny, wygadywania szkodliwych bzdur, którym przyklaskują miliony użytkowników mediów społecznościowych, dobrze jest o tym pamiętać.

Mateusz Cieślak



eprasa.pl 57bf9d0787

SAFE – maski opadły

Dlaczego PiS jest przeciw?

Robert Walenciak

„Postaram się to wytłumaczyć, najprościej jak potrafię. Patrzcie mi na usta – 20 mld, tylko dla tej huty. Stalowa Wola, Podkarpacie, Polska. Dotarło, zakute łby?", wołał Donald Tusk w Stalowej Woli, przekonując do ustawy o SAFE. Nie ma wątpliwości – za rok, za 10 lat i później, gdy będą przypominane boje o te pieniądze i cała obecna kampania, wystąpienie premiera będzie wskazywane jako jeden z dwóch najważniejszych momentów. A drugi… Gdy piszę te słowa, jeszcze się nie wydarzył. To prezydent Nawrocki za biurkiem – albo podpisujący ustawę, albo ją wetujący. Reszta jest dodatkiem.

SAFE to unijny program obronny – przewiduje unijną pożyczkę, na korzystnych warunkach, trochę powyżej 3% rocznie, rozłożoną na 45 lat, z 10-letnim okresem karencji. Polsce z tortu SAFE Unia przyznała aż 43,7 mld euro, czyli ok. 180 mld zł. Te pieniądze mamy wydatkować w ramach 139 programów zwiększających obronność, które wybrało polskie wojsko. Nie politycy, tylko generałowie.

SAFE to trzeci filar polskich wydatków obronnych. Pierwszym jest budżet MON, rekordowy. Drugim – uchwalony jeszcze za PiS, w 2022 r., przy poparciu ówczesnej opozycji, Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych. To instrument dłużny – za pożyczone pieniądze kupujemy sprzęt obronny, głównie z USA. A teraz dochodzi do tego SAFE.

Jak zapewnia wojsko, ok. 89% środków z SAFE ma być przeznaczone na zakupy w polskich firmach. Jest to więc okazja, jakiej wcześniej nie było, by odbudować polską zbrojeniówkę, wzmocnić ją na tyle, aby była konkurencyjna na światowych rynkach. To jak najbardziej możliwe. SAFE przewiduje współpracę firm europejskich i ich rozwój. Otwiera też możliwości specjalizacji, co stanowi szansę dla polskich producentów. Przykładem jest wyrzutnia rakiet Piorun. Znakomicie spisuje się na wojnie w Ukrainie, więc Pioruny chce kupować coraz więcej europejskich armii. Mamy też szansę rozwinąć produkcję dronów i systemów satelitarnych. Tych sektorów, w których polski przemysł zbrojeniowy może się rozwinąć, dając pracę nie tylko robotnikom, ale także inżynierom i projektantom, jest więcej. Środki z SAFE mogłyby temu służyć.

•

No dobrze, skoro program jest tak atrakcyjny i daje pieniądze na wzmocnienie polskiego bezpieczeństwa, na rozwój polskich firm, dlaczego wokół niego tyle szumu? Przecież gdy PiS przegłosowywało swój program, Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych, opozycja to popierała. Ba! Gdy latem zeszłego roku Unia uruchamiała SAFE, politycy PiS przyjmowali to z uznaniem. Jak przypomina prof. Antoni Dudek, jeszcze pod koniec września Mariusz Błaszczak mówił, że „fundusz SAFE to szansa na rozwój Sił Zbrojnych RP. Nie możemy pozwolić na to, aby te środki zostały zmarnowane lub skierowane do zagranicznego przemysłu zbrojeniowego".

Tę atmosferę przypomniała w rozmowie z „Rzeczpospolitą" Magdalena Sobkowiak-Czarnecka, pełnomocnik rządu ds. Instrumentu na rzecz zwiększenia bezpieczeństwa Europy: „W listopadzie i w grudniu spotykałam się w Pałacu Prezydenckim i w BBN z przedstawicielami pana prezydenta, rozmawialiśmy o SAFE i wszystko było w porządku. Pan minister Błaszczak jeszcze kilka tygodni temu pisał dobre opinie o mechanizmie SAFE".

Dlaczego więc nastąpił zwrot? I to gwałtownie, z dnia na dzień? Sprzeciw wobec SAFE nie wynika z jakichś głębokich przekonań, lecz jest zwykłą grą. Pytanie zasadnicze: na czym ta gra polega? Jaki diabeł w tym kotle miesza?

•

Jest kilka tropów:

1. Partyjniactwo. O tym mówią, gdy się rozpędzą, niektórzy posłowie PiS. Że nie chcą pieniędzy z SAFE, bo to będą pieniądze Tuska, jemu będą służyły, wzmocnią rząd i jego pozycję. Innymi słowy, im gorzej, tym lepiej. Gdy będzie źle, Polacy chętniej zagłosują na obecną opozycję, a o to przecież chodzi. Paskudny to sposób myślenia, ale istniejący.

2. Gra Kaczyńskiego. W jego stylu jest wojna z SAFE. Wielokrotnie rozpoczynał takie straceńcze bijatyki, mobilizował partię i zmuszał ją do dyscypliny, do działania. W ten sposób budował wspólnotę i jedność. Teraz też buduje. A jest mu to tym bardziej potrzebne, że PiS coraz mocniej rozdzierają walki frakcyjne harcerzy i maślarzy. Kaczyński musi nad tym jakoś zapanować – rzucając a to ideę kandydata PiS na premiera, a to program walki z SAFE. W ten sposób dyscyplinuje swoich ludzi.

3. Dyscyplinowanie Karola Nawrockiego. Kaczyński stawia go przed wyborem: podpisać ustawę czy ją zawetować? Jeśli prezydent zawetuje, narazi się większości Polaków – bo 59% ankietowanych jest za przyjęciem ustawy, a za wetem 29%. Będzie mu wypominane, że zwrócił się przeciw polskim żołnierzom, nie opowiada się za bezpieczną Polską. Jeżeli ustawę podpisze, narazi się najwierniejszym pisowcom. Każdy wybór jest dla niego trudny.

eprasa.pl 57bf9d0787



W Hucie Stalowa Wola produkowane są Kraby, Raki i Borsuki dla Wojska Polskiego.

4. Łowienie na hasło suwerenności. Jest w Polsce grupa ludzi mocno przywiązanych do takich haseł jak wolność, suwerenność itd. Warto więc o nich zawalczyć. I to się dzieje. Zwróćmy uwagę, że Kaczyński walkę z SAFE ubiera w tradycyjne kostiumy – walki o niezależność Polski, walki z Unią Europejską, z Niemcami… Cynicznie tych wrogów wylicza. Woła, że przyjmując SAFE, Polska znajdzie się pod niemieckim butem. A on ten but odrzuca.

Inni politycy PiS przypominają, że gdy przyjmiemy SAFE, Unia Europejska będzie mogła stosować wobec nas tzw. mechanizm warunkowości. To znaczy – tak jak to się dzieje w przypadku Węgier Orbána i środków z KPO – wstrzymywać transfery pieniężne. Tylko że zarzut jest nietrafiony, bo, owszem, pieniądze z KPO na Węgry nie płyną, ale nie dlatego, że Orbán działa niedemokratycznie – po prostu Unia wykryła na Węgrzech mechanizmy korupcyjne w rozdysponowaniu unijnych funduszy. Tyle. Uznajmy, że zarzut ów wynika z niewiedzy, a nie z tego, że PiS martwi się, że nie będzie mogło pieniędzy z SAFE kraść.

5. Ameryka. Ten trop podsuwany jest z różnych stron – że Kaczyński i Nawrocki chcą zdobyć punkty u Amerykanów, u Trumpa, więc atakują SAFE, żeby ich zadowolić. To tłumaczy, dlaczego PiS wykonało w sprawie SAFE taką woltę. Od chwalenia programu po krytykę.

Magdalena Sobkowiak-Czarnecka mówiła: „Kiedy ogłosiliśmy, że 89% ze środków SAFE zostanie wydane w Polsce, rozumiem, że jest wiele instytucji, które są z tego niezadowolone. Myślę, że od tego zaczęła się cała machina anty-SAFE".

A jakie to mogą być instytucje? Głośno jest o liście dwóch amerykańskich ambasadorów, przy UE i przy NATO: Andrew Puzdera i Matthew Whitakera. Zaatakowali oni europejskie programy obronne SAFE i EDIDP za to, że wprowadzają limity na zakupy broni od firm pozaeuropejskich (czyli przede wszystkim amerykańskich). Ambasadorowie piszą: „Takie środki wykluczające podważają naszą wspólną obronę, ograniczając konkurencję, hamując innowacje i pozbawiając te firmy zamówień niezbędnych do utrzymania produkcji na poziomie niezbędnym do zaspokojenia potrzeb naszych sojuszników".

Oto więc amerykański pomysł na Europę – ma podnieść do 5% PKB wydatki na zbrojenia, ale uzbrojenie powinna kupować w USA, utrzymując amerykański przemysł obronny, a zaniedbując swój. Trudno ocenić, czego w tym liście więcej – bezczelności czy głupoty, ale ewidentnie świadczy on o amerykańskiej akcji na rzecz rozbicia filarów SAFE. Po to, by Europa zadłużała się i za te pożyczone pieniądze kupowała w USA.

W każdym razie PiS zaczęło działać w myśl tych słów. Europoseł Patryk Jaki podczas spotkań mówi, że program SAFE jest „niekorzystny dla Polski i jest zdradą Polski". Bo „z programu SAFE będzie można kupić, w 80%, uzbrojenie produkowane tylko na terenie UE, a na terenach UE nie zawsze produkowany jest najlepszy sprzęt wojskowy. Biorąc samodzielnie pożyczkę, możemy kupić, co chcemy, również sprzęt z USA". Podobnie twierdzi szef BBN Sławomir Cenckiewicz.

Losy polskiego przemysłu zbrojeniowego i konkurencyjność naszej gospodarki są dla nich drugorzędne, liczą się zakupy w USA.

Tak oto PiS przekształca się w ekspozyturę amerykańskich interesów. Polityków tej partii coraz mniej martwi los polskiego przemysłu i bezpieczeństwo Polski, za to coraz bardziej – ich notowania w Waszyngtonie.

Amerykański sprzeciw wobec planów obronnych Europy tłumaczy zatem zwrot PiS w sprawie SAFE i zapał, z jakim partia ten zwrot realizuje. Z prostej kalkulacji – tąpnięcie w sondażach da się odrobić znacznie łatwiej niż utratę zaufania ekipy Trumpa. A pisowcy na Trumpa stawiają, na to, że pomoże im zdobyć władzę i ją utrzymać. Reszta to ornament.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 57bf9d0787

100. ROCZNICA URODZIN ANDRZEJA WAJDY

Reżyser po końcu historii

Wajda opowiadał o momentach przełomowych

Michał Przeperski

Rok 1989 powinien być dla Andrzeja Wajdy momentem triumfu – zwieńczeniem drogi artysty Solidarności, twórcy kina wolności, jednego z moralnych patronów III Rzeczypospolitej. W rzeczywistości był to moment, w którym jego historia zaczęła się od nowa – a zarazem skończyły się historyczne warunki dla jego kina. Polska, której narodziny współtworzył, nie potrzebowała już jednego narodowego narratora.

„W młodości jest stale takie oczekiwanie, że jutro coś się wydarzy (…), a w pewnym momencie człowiek rozumie, że więcej za plecami, a coraz mniej przed sobą", mówił Wajda w przeddzień 70. urodzin. Te słowa dobrze oddają doświadczenie artysty w latach 90. Nie chodziło tylko o upływ czasu. Zmieniła się sama historia, a wraz z nią sens kina, które przez dekady żywiło się konfliktem politycznym. Polska weszła w epokę wolności bez dramatycznego centrum wydarzeń. Zmieniło się miejsce kina.

W PRL film był przestrzenią wspólnej rozmowy o sprawach najważniejszych. Po 1989 r. rozmowa ta rozproszyła się. Społeczeństwo przestało reagować jednym głosem, a kultura zaczęła się dzielić na wiele publiczności. Dla reżysera przekonanego, że kino jest dialogiem z narodem, była to zmiana niemal egzystencjalna. Od tej chwili Wajda musiał nauczyć się mówić w przestrzeni, w której naród nie odpowiada już chórem.

Współtwórca niespełniony

Relacja Wajdy z niepodległą Polską okazała się znacznie bardziej skomplikowana niż opowieść o spełnieniu artysty zwycięskiej rewolucji. To raczej opowieść o stopniowym przesuwaniu się artysty z pozycji przewodnika zbiorowej wyobraźni ku roli uczestnika rzeczywistości. I to rzeczywistości, która coraz trudniej poddawała się symbolicznemu uporządkowaniu. A przecież Wajda wchodził w czas przełomu jako postać niemal instytucjonalna. Jego kino przez dekady PRL współtworzyło sposób myślenia Polaków o historii, odpowiedzialności i wolności. Filmy takie jak „Popiół i diament", „Człowiek z marmuru" czy „Człowiek z żelaza" nie tylko komentowały rzeczywistość polityczną, lecz także formowały język sprzeciwu oraz zbiorowej samoświadomości. Kino Wajdy kształtowało społeczną wyobraźnię Polaków, pokazując widzom ich własne dramaty w momentach historycznego napięcia.

Nic dziwnego, że latem 1989 r. reżyser znalazł się w centrum wydarzeń jako senator Komitetu Obywatelskiego Solidarność, uczestnik


Kanał, 1956


Popiół i diament, 1958

eprasa.pl 57bf9d0787

momentu, który jego twórczość przez lata antycypowała. W tym sensie Wajda nie wszedł do III Rzeczypospolitej jako obserwator zmian. Współtworzył jej symboliczne fundamenty, jeszcze zanim państwo formalnie powstało. Jego kino przygotowywało społeczną wyobraźnię do zmiany systemu, ucząc patrzenia na historię jako przestrzeń moralnych wyborów jednostki. Dlatego określanie go mianem jednego z moralnych filarów III RP nie było jedynie publicystycznym skrótem. Owszem, Wajda nie projektował konkretnych reform gospodarczych ani instytucjonalnych. Dawał jednak transformacji język sensu. Dla pokolenia inteligencji solidarnościowej, do którego należał, rok 1989 oznaczał domknięcie długiego doświadczenia historycznego rozpoczętego jeszcze w cieniu wojny i kolejnych kryzysów powojennej Polski.

Z opowieści współpracowników i z zapisków samego reżysera wyłania się obraz twórcy głęboko przekonanego o odpowiedzialności artysty wobec wspólnoty. Wajda nie był romantycznym outsiderem ani buntownikiem działającym poza systemem. Jego szczególną cechą była zdolność funkcjonowania wewnątrz ograniczeń epoki. W realiach PRL oznaczało to umiejętność negocjowania przestrzeni wolności z władzą i instytucjami państwa. W efekcie potrafił znajdować swoje twórcze nisze jak mało kto. Po 1989 r. ta sama kompetencja okazała się równie potrzebna, choć rzeczywistość zasadniczo się zmieniła. Zamiast cenzury pojawił się rynek – równie bezwzględny jak dawny system kontroli, choć działający według zupełnie innych zasad. Rozpadł się model państwowej kinematografii, który wcześniej gwarantował stabilność produkcji filmowej. Skończyła się też inteligencka hegemonia na kinowych ekranach. Do głosu doszły masowe gusta i guściki.

W PRL film był przestrzenią rozmowy o sprawach najważniejszych. Po 1989 r. rozmowa ta rozproszyła się.

Wolna Polska przyniosła doświadczenie paradoksalne. Reżyser, który przez dekady pozostawał centralnym uczestnikiem narodowej rozmowy, odkrył, że rozmowa ta ulega rozproszeniu. Lata 90. oznaczały gwałtowną zmianę gustów, pojawienie się nowych bohaterów kultury popularnej oraz rozpad jednolitej publiczności. Polska przestawała być wspólnotą jednego doświadczenia historycznego, a wraz z tym znikała publiczność, do której przez dekady mówiło kino Wajdy. Dla twórcy przekonanego, że film jest dialogiem z narodem, była to zmiana rozstrzygająca. Autorytet Wajdy pozostawał ogromny, lecz jego głos przestawał być jedynym punktem odniesienia dla kolejnych pokoleń widzów.

Kosztowna normalność

„Musimy spojrzeć jednak na rzeczywistość jak dorośli ludzie, a nie jak dzieci, które się rozczarowują byle czym. W końcu coś się stało pięknego w tym ruchu »Solidarności« (…): spotkała się inteligencja, której rolą było wyjść naprzeciw ludziom pracy. I to się stało. No a potem rzeczywistość musiała zwyciężyć”, tłumaczył Wajda Barbarze Czajkowskiej w jej programie publicystycznym w roku 2000. Trzeba przyznać, że nie uciekał od własnej odpowiedzialności za Solidarność. Nieraz też próbował tłumaczyć kluczową sprzeczność III RP: fakt, że terapię szokową wprowadzono pod parasolem robotniczego poparcia. Czy był przekonujący? Nie bardziej niż inni liderzy związku. Niejeden zniecierpliwiony telewidz przełączył zapewne pilotem „Linię specjalną” Czajkowskiej na inny kanał.

Warto jednak zadać pytanie trudniejsze: ku czemu w tym czasie kierowały się jego twórcze zainteresowania? Czy robotnicy – tak atrakcyjni jako przedmiot i podmiot opowieści filmowej na przełomie lat 70. i 80. – stali się nieciekawi? Jednym z najbardziej intrygujących





Popioły, 1965

eprasa.pl 57bf9d0787

pytań pozostaje brak wielkiego filmu Wajdy o społecznych kosztach transformacji, o epoce, którą jego pokolenie współtworzyło politycznie, lecz której nie potrafiło już opowiedzieć artystycznie. Twórca robotniczy nie opowiedział o historii zamykanych zakładów pracy ani o dramatach społecznych lat 90. Dlaczego?

To pytanie wraca, bo właśnie tu legenda „reżysera robotników" spotyka się z milczeniem wolnego rynku. Przede wszystkim to sprawa pokoleniowa. Dla solidarnościowej inteligencji najważniejszym doświadczeniem była walka o wolność zakończona sukcesem. Trauma II wojny światowej, wzmacniana represyjnością systemu w czasie stanu wojennego, przesłaniała późniejsze konflikty społeczne. Transformacja jawiła się jako konieczne przejście ku normalności, nie zaś dramat wymagający natychmiastowej diagnozy artystycznej.

Był także powód stricte artystyczny. Wajda potrzebował momentów historycznej kondensacji – wydarzeń niosących wyraźny sens symboliczny. Transformacja była natomiast procesem rozciągniętym w czasie, niejednoznacznym i trudnym do uchwycenia w jednej narracji. Nie miała ani dramaturgii rewolucji, ani moralnej intensywności sierpniowego przełomu roku 1980. Gdy spojrzeć na filmografię Wajdy, widać wyraźnie: reagował najpełniej wtedy, gdy historia osiągała punkt kulminacji lub miała swój uchwytny sens. Lata 90. były inne. Bezkrwawa rewolucja stała się epoką raczej powolnego rozpadu dawnych struktur niż spektakularnego zwrotu. Taki proces znacznie trudniej przekłada się na język kina symbolicznego.

Zaangażowanie publiczne Wajdy nie zakończyło się wraz z mandatem senatorskim. W kolejnych latach wielokrotnie zabierał głos w sporach politycznych, wspierał środowiska liberalno-demokratyczne i uczestniczył w debatach o kierunku rozwoju państwa. Dla części opinii publicznej oznaczało to utratę statusu artysty stojącego ponad podziałami. W rzeczywistości była to konsekwencja jego wcześniejszej postawy. Wolność, o którą walczyło jego pokolenie, miała oznaczać również prawo do uczestnictwa w sporze obywatelskim. Wajda chciał funkcjonować nie jako symbol zamknięty w muzeum transformacji, lecz jako aktywny uczestnik życia wspólnoty. Nie bez kosztów. Jego zdjęcie ze sztabu wyborczego Bronisława Komorowskiego wyrażające przerażenie na wieść o porażce z Andrzejem Dudą w wyborach prezydenckich w 2015 r. stało się tworzywem dla niezliczonych memów.

Kino Wajdy przez dekady PRL współtworzyło sposób myślenia Polaków o historii, odpowiedzialności i wolności.

Nie koniec historii

Paradoksalnie jednym z najważniejszych wkładów Wajdy w kulturę III Rzeczypospolitej nie były już filmy, lecz budowanie instytucji. Powstanie Szkoły Wajdy oznaczało świadome przesunięcie jego roli z pozycji przywódcy artystycznego ku mentorowi kolejnych pokoleń twórców. Reżyser rozumiał, że epoka jednego dominującego autorytetu dobiegła końca, nowa rzeczywistość zaś wymaga pluralizmu głosów. Zamiast bronić własnej legendy, tworzył warunki rozwoju młodszych filmowców. Była to kontynuacja znanej jeszcze z czasów PRL strategii budowania przestrzeni wolności. Tym razem jednak wobec ograniczeń ekonomicznych, a nie politycznych.

Wyraźniej zaznaczył swoją obecność jako animator i organizator życia kulturalnego, zwłaszcza w Krakowie. Szczególnym przykładem było doprowadzenie do powstania Centrum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha, którego budowie towarzyszyły liczne kontrowersje i sprzeciw części radnych miejskich. Ostatecznie Manggha stała się jednak nowym, ważnym miejscem na


Ziemia obiecana, 1974


Człowiek z marmuru, 1976

eprasa.pl 57bf9d0787

kulturalnej mapie miasta, popularyzującym sztukę japońską i otwierającym Kraków na nowe zjawiska artystyczne. W tym samym czasie Wajda – wraz z Krystyną Zachwatowicz – angażował się także w inne inicjatywy miejskie, współtworząc m.in. Pawilon Wyspiańskiego. Jak zauważał historyk sztuki Jacek Purchla, Wajda traktował Kraków niczym scenę teatralną, którą próbował świadomie „reżyserować", wpływając na kształt przestrzeni miasta i jego współczesnej tożsamości kulturalnej.

Monumentalne zapiski Andrzeja Wajdy opublikowane dwa lata temu pod redakcją Agnieszki Morstin i Tadeusza Lubelskiego odsłaniają twórcę pozbawionego pomnikowej maski. To człowiek pełen wątpliwości, napięć i poczucia samotności. Państwo, którego symboliczne narodziny współtworzył, nie było dla niego finałem historii, lecz kolejnym etapem pracy. Każdy film pozostawał pytaniem o możliwość dalszego dialogu z widzem. Relacja Wajdy z III Rzecząpospolitą nie była więc historią triumfu, lecz rozmową między artystą ukształtowanym przez dramatyczny XX w. a rzeczywistością liberalnej demokracji, która nie potrzebowała już jednego narodowego narratora.

Wajda pomógł Polakom wyobrazić sobie wolność, lecz gdy wolność stała się codziennością, kultura uległa rozproszeniu, a wspólnota doświadczenia przestała być oczywista. Jego późna twórczość – od „Katynia" po „Powidoki" – przypomina raczej próbę domknięcia rozmowy z historią niż interwencję w bieżące spory polityczne. III Rzeczpospolita była dziełem jego pokolenia, ale zarazem światem, który stopniowo wymykał się jego językowi. Bez Andrzeja Wajdy trudno wyobrazić sobie moralny i kulturowy krajobraz Polski po 1989 r. – nawet jeśli była to już Polska, która nie potrzebowała jednego narratora. Do pewnego stopnia było to państwo, które najpierw musiało zostać opowiedziane, aby mogło naprawdę zaistnieć.

Dr Michał Przeperski jest adiunktem w Instytucie Historii PAN, historykiem transformacji ustrojowej, autorem biografii Mieczysława F. Rakowskiego

WAJDA A MILENIALSI

Relacja pokolenia 30- i 40-latków z twórczością Andrzeja Wajdy nigdy nie była prosta

Kornel Wawrzyniak

Milenialsi przechodzili w latach dorastania etap przekorno-ironiczny. Dla zasady odrzucało się w kulturze to, co cieszyło się powszechnym uznaniem. Można zresztą powiedzieć, że każde pokolenie ma swojego punk rocka. Tutaj było jednak nieco inaczej. Trochę popkulturową drogą wyznaczoną dekady wcześniej przez Andy'ego Warhola zaczęliśmy przetwarzać to, co już było, i nadawać temu nowe konteksty. W ten właśnie sposób nasze pokolenie spopularyzowało internetowe memy. Nie inaczej było z twórczością Andrzeja Wajdy, przez część osób trochę odrzucaną dla zasady. Jednak życie polskiej inteligencji – tak, również tej młodej – jest Wajdą naznaczone. Nie każdy inteligent musi być oczywiście kinomanem, ale twórczość reżysera wielowymiarowo mierzy się z polskością i narodowymi mitami. Jego filmy, od zawsze obecne w życiu 30- oraz 40-latków, stanowią swoisty punkt odniesienia i wyjście do dyskusji o naszej społeczno-narodowej tożsamości.

Wajda w domu, Wajda w szkole

– Dzisiejsi 30- i 40-latkowie załapali się przede wszystkim na późnego Wajdę. Dla wielu pierwszym spotkaniem z reżyserem były widziane w kinie w czasie wycieczki szkolnej „Pan Tadeusz" albo „Zemsta". Jednocześnie Wajda obecny w mediach był właściwie zawsze wielkim mistrzem, osobą, która pojawiała się głównie w kontekście osiągnięć polskiej kinematografii. Szum wokół reżysera, jaki się zrobił w okolicy przyznania mu Oscara za całokształt twórczości, był z jednej strony kolejnym przypomnieniem, że to postać ważna, ale też szybko (jak to u milenialsów bywa) został potraktowany ironicznie. Myślę, że dla wielu osób z mojego pokolenia najważniejszym momentem odbierania Oscara przez Wajdę była jego deklaracja, że przemówienie wygłosi po polsku – stwierdza Katarzyna Czajka-Kominiarczuk, krytyczka filmowa, autorka bloga „Zwierz popkulturalny".

Wajda miał bardzo trudne zadanie jako autor społecznie zaangażowany. Lata 90. nie były częścią dotychczasowej walki z systemem. Głos reżysera stał się po transformacji ustrojowej jedną z wielu dostępnych narracji. W realiach rynkowej komercji wrażliwość, szczególnie ta społeczna, odgrywała dużo mniejszą rolę, często ustępując miejsca efektom specjalnym, które trafiały w masowe gusta. Wajda jednak jako twórca nie stracił na autorytecie. Dorastająca w latach 90. młodzież miała dwie drogi, aby się zapoznać z jego twórczością. Wynosiło się to albo z domu, gdzie rodzice pokazywali wczesne filmy Wajdy, albo z sali kinowej odwiedzanej z klasą. Zdaje się, że nieśmiertelność wśród milenialsów zyskał właśnie wczesny Wajda.

eprasa.pl 57bf9d0787

– Wcześniejsze filmy Wajdy budzą spore zainteresowanie. Wyraźnie jednak widać, że częściej wraca się do „Ziemi obiecanej” (która wciąż zachwyca, ale też wydaje się coraz ważniejszym głosem w świecie tak mocno opartym na mechanizmach komercji i wielkiego biznesu) niż do „Człowieka z marmuru”. Z kolei „Popiół i diament” powraca w rozmowach przede wszystkim dlatego, że wywołał duże poruszenie za granicą i pojawiał się w dystrybucji ze wsparciem Martina Scorsese. To te elementy zewnętrznego uznania pozwalają spojrzeć na Wajdę jeszcze raz. Wydaje się, że przez lata tak bardzo dominował jako „najważniejszy polski reżyser”, że wręcz modne było się od niego odcinać, bo to jedyny sposób, by mówić o polskim kinie inaczej niż poprzez tematykę narodową, patriotyczną czy historyczną – podkreśla Katarzyna Czajka-Kominiarczuk.

Trudno tu nie opisać pewnej skrajności. W 1999 r. do kin weszła ekranizacja „Pana Tadeusza” w reżyserii Wajdy. W tym samym roku baliśmy się pluskwy milenijnej, a na ekranach pojawił się również napchany najlepszej jakości efektami mroczny „Matrix”, który zamiast w Soplicowie dział się w komputerze.

– Dla pokolenia urodzonego w latach 80. czy 90. Wajda był twórcą innym niż dla pokoleń, które miały możliwość oglądania w kinie premier jego najwybitniejszych filmów. Dla nas Wajda zawsze był żyjącym klasykiem. Kimś, kto zdefiniował cały filmowy polski idiom. Jeszcze jako młody pasjonat kina odkrywałem największe dzieła Wajdy poprzez telewizję i kasety VHS. To w ten sposób zobaczyłem „Popiół i diament”, „Ziemię obiecaną” czy „Wesele”, które po dziś dzień jest filmem najmocniej na mnie oddziałującym. Z drugiej strony odczuwałem pewien kontrast pomiędzy tym Wajdą, do którego miałem dostęp z odtworzenia, a Wajdą współczesnym, na którego chodziło się z klasą do kina. Te filmy pozostawiały mnie raczej obojętnym, ale nadal potrafiły, jak np. „Pan Tadeusz”, zachwycić malarską urodą – wspomina Jakub Majmurek, filmoznawca i publicysta.

O Wajdzie mówi się niekiedy, że dla kina światowego był Polską, tak jak Bergman był Szwecją.

Klasyk, którego się ceni

Mimo pewnej przekorności w podejściu do dzieł Wajdy pokolenie 30- i 40-latków bardzo docenia twórczość reżysera. – Według mnie Andrzej Wajda nie był człowiekiem. To niemożliwe, żeby zrobić tyle tak dobrych, kultowych, pokoleniowych filmów, i to co roku! Ja na swojej shortliście mam „Niewinnych czarodziejów”, „Człowieka z marmuru”, „Ziemię obiecaną” i – uwaga – „Pannę Nikt”. Nie lubię szafować słowami kultowe i mistrz, ale trzeba przyznać, że każdy film Wajdy jest kultowy. Jego filmy były też „przysiadalne” i dla każdego. Nie trzeba mieć doktoratu z filmoznawstwa, żeby zrozumieć, co reżyser chce przekazać, a jednocześnie nie ma tam żadnych tanich chwytów. Andrzej Wajda był blisko człowieka. To może jednak był człowiekiem? – mówi Agnieszka Matan, scenarzystka, aktorka i komiczka. – Moje pokolenie bardzo dziękuje za zwolnienie nas z uporczywej lektury „Pana Tadeusza”. Widzicie, nawet mistrz pamiętał o strapionej młodzieży! – żartobliwie podkreśla twórczyni.


Zemsta, 2002


Katyń, 2007

eprasa.pl 57bf9d0787

Filmoznawczyni Kaja Klimek wskazuje tymczasem, że pokolenie obecnych 30-, 40-latków wychowało się na Wajdzie, a jego twórczość jest na tyle obszerna, że każdy znajdzie w niej coś dla siebie. – Gdybym miała w „Familiadzie" odpowiedzieć na pytanie „polski reżyser", to bez wahania, podobnie jak zapewne milion innych osób, odpowiedziałabym: Andrzej Wajda. Dlatego, że to reżyser przez duże R. W jego filmografii skupia się cały XX w. Jest przecież rozpięta na kilka dziesięcioleci. Te filmy są bardzo różnorodne, gatunkowe. W niektórych, jak we „Wszystko na sprzedaż", jest nawet miejsce na metarozmyślania kina o kinie. Z perspektywy mojego pokolenia widać, że co roku odkrywamy coś nowego o Wajdzie. Całkiem niedawno pojawiły się „Notesy", w których szukaliśmy jego opinii o innych filmach. Dzięki tym komentarzom, niekiedy zjadliwym, Wajda znowu stał się nam bliski. Kuba Mikurda znalazł zaś ostatnio zupełnie nieznany mockument, w którym Wajda gra reżysera robiącego film. Można powiedzieć, że każdy może znaleźć swojego Wajdę i wybierać z jego twórczości to, co nam najbliższe – zwraca uwagę Kaja Klimek.

O Wajdzie mówi się niekiedy, że dla kina światowego był Polską, tak jak Bergman był Szwecją. Ten drugi, który dostał ex aequo z Polakiem Srebrną Palmę w Cannes, uznał kilka lat później „Ziemię obiecaną" za jeden z 10 najważniejszych filmów w historii kina.

Wajda nieraz jest pokazywany jako malarz, który został filmowcem, natomiast mało się wspomina o innych obszarach jego twórczości. – Mówiąc o Wajdzie, widzimy reżysera filmowego. Tymczasem zrealizował on ponad 40 przedstawień teatralnych w Polsce i za granicą. Do tego kilkanaście spektakli telewizyjnych. Można nawet powiedzieć, że niektóre jego filmy miały korzenie w uprzednich inscenizacjach scenicznych dramatów. Jak „Danton" czy kultowe „Wesele", które wystawiono w Starym Teatrze. W filmach Wajdy jest zresztą sporo elementów teatralnych. Od kompozycji kadrów przez interakcje aktorów po chociażby wokalizy Niemena i budowanie napięcia ciszą – wylicza Katarzyna Batarowska, kierowniczka działu pedagogiki teatru i dostępności w Teatrze Rozmaitości w Warszawie.

Wajda przez lata tak bardzo dominował jako „najważniejszy polski reżyser", że wręcz modne było odcinać się od niego.

Nie możemy jednak zapomnieć, że percepcja kultury narodowej jest w jakimś stopniu podzielona na różne postacie ją tworzące. W sposób naturalny padają więc one ofiarą społecznej polaryzacji. Nie inaczej było z Wajdą, atakowanym m.in. przez część prawicy. Zresztą sam zdecydowanie usytuował się po jednej stronie podziału. Tak czy owak, pozostaje istotnym punktem odniesienia dla dużej grupy odbiorców. A to potwierdza, że jest jednym z najwybitniejszych twórców polskiego kina. Pytanie, jak długo ta opinia oprze się zmianom pokoleniowym. Dla milenialsów Wajda był wszak żyjącym klasykiem. Od dekady nie ma go już z nami. Oby rocznica urodzin i Rok Wajdowski sprawiły, że twórczość ta zaistnieje w nowych kontekstach, które podtrzymają kultowość reżysera.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl





Powidoki, 2016

FOT. EAST NEWS (3), MATERIAŁY PRASOWE (5)

eprasa.pl 57bf9d0787

WIOSENNE WODY

Na razie mimo topnienia śniegów i rosnącej temperatury wielka powódź nam nie grozi



Podtopienia w powiecie łomżyńskim, 24 lutego 2026 r.

Marek Czarkowski

Wyobraźmy sobie gospodarstwo rolne gdzieś nad Czarną Wodą w województwie dolnośląskim albo nad Huczwą w województwie lubelskim. Jest początek marca. Za oknami mróz, na polach leży gruba warstwa śniegu. Nagle pogoda się zmienia. Temperatura z minus 5 st. C wzrasta do plus 10-12. Do tego zaczyna padać deszcz. Śnieg błyskawicznie topnieje i zaczyna się dramat.

Czarna Woda, Huczwa, Wkra czy Drwęca to nie są duże rzeki, ale gdy setki tysięcy ton śniegu zamienią się w wodę, nawet one mogą okazać się groźne. W wyniku roztopów rzeki gwałtownie przybierają, a pola na ich brzegach zostają zalane. Zagrożone są zwierzęta hodowlane oraz domy rolników, których w skrajnych przypadkach trzeba ewakuować. To scenariusz powodzi roztopowej, która pojawia się pod koniec zimy i bywa groźniejsza niż letnia.

Bywa, że rozwija się przez kilka dni, a czasem trwa tygodniami. Wszyscy wiedzą, że śnieg kiedyś musi stopnieć, pytanie brzmi: jak szybko to będzie następowało i jakie będą tego skutki. Zwłaszcza gdy wyleją takie rzeki jak Wisła, Odra, Bug czy San. W przeszłości powodzie wywołane roztopami niejednokrotnie niszczyły całe połacie Polski. Czy w tym roku może to się powtórzyć?

„Bestia ze Wschodu" i nagłe ocieplenie

We wtorek 30 grudnia 2025 r. gwałtowne opady śniegu zablokowały trasę S7 z Gdańska do Warszawy w okolicach Ostródy. Paraliż trwał przez całą noc z 30 na 31 grudnia. Szacuje się, że w korkach utknęło kilkaset samochodów. Tej nocy najwięcej śniegu spadło w wąskim pasie od północnego Mazowsza po południową Warmię.

Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej wskazywał, że najgorsza sytuacja była w powiatach: lidzbarskim, olsztyńskim, nidzickim, działdowskim oraz mławskim – tam pokrywa śnieżna sięgała ok. 40-65 cm.

FOT. MAREK MALISZEWSKI/REPORTER

eprasa.pl 57bf9d0787

Rekordowe wartości zanotowano w Mławie – ok. 57 cm, a w Olsztynie – ok. 45 cm śniegu. Przyszło zamknąć linię kolejową między Olsztynem a Nidzicą, gdyż na tory zaczęły spadać gałęzie drzew, które złamały się pod ciężarem śniegu.

Po raz pierwszy od wielu lat Polacy przypomnieli sobie, jak wygląda ostra zima. A to była dopiero przygrywka.

Na początku lutego z Syberii nad Polskę napłynęła olbrzymia masa mroźnego powietrza, którą w mediach nazwano „Bestią ze Wschodu". Pierwsza połowa miesiąca okazała się jedną z najzimniejszych w ostatnich latach.

Nocami na Podlasiu i na Mazurach temperatura spadała do minus 25-28 st. C, a miejscami nawet do minus 31 st.! To nie były jakieś tam przymrozki, lecz klasyczne, siarczyste staropolskie mrozy. Między 1 a 3 lutego prawie cały kraj pokrył śnieg. W niektórych regionach – na Pomorzu Zachodnim, w Wielkopolsce i w Bieszczadach – jego pokrywa przekroczyła 30 cm. Ziemia przemarzła na głębokość kilkudziesięciu centymetrów.

Rzeki na Dolnym Śląsku zamarzły. Lód na Wiśle miał w okolicach Włocławka 30-35, a miejscami nawet 40 cm grubości! Meteorolodzy ostrzegali, że na przełomie lutego i marca może się pojawić odwilż. Prognozy na 26-28 lutego mówiły o temperaturach rzędu 15 st. C albo i wyższych w południowo-zachodniej Polsce, na Dolnym Śląsku, na Opolszczyźnie i w Małopolsce.

Hydrologicznie niebezpiecznie

Co się dzieje, gdy śnieg, który leżał tygodniami, wystawiony jest nagle na dodatnią temperaturę kilkunastu stopni? Szybko się topi – a to oznacza zagrożenie powodzią. 25 lutego br. Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej wydał ostrzeżenia hydrologiczne dla 14 z 16 polskich województw. Tylko Wielkopolskie i Lubuskie mogły spać spokojnie. Reszta kraju była w różnym stopniu zagrożona.

Tego dnia stany alarmowe zostały przekroczone na czterech rzeczkach: Łużycy w Kraszewicach, Czarnej Wodzie w Rzeszotarach, Mławce w Szreńsku i Skorze w Zagrodnie. Oznaczało to, że woda sięgnęła poziomu, przy którym mogło dojść do zalania okolicznych terenów, zniszczenia mostów, zalania piwnic, a w najgorszym przypadku – ewakuacji ludzi. 19 stacji hydrologicznych odnotowało przekroczenie stanów ostrzegawczych, czyli poziom wody w rzekach wzrósł na tyle, że trzeba było pilnie je obserwować.

W trudnej sytuacji znaleźli się mieszkańcy Dolnego Śląska i województwa opolskiego. Po tragicznych powodziach z 1997, z 2010 i z września 2024 r. są oni szczególnie wyczuleni na informacje o zagrożeniu wysoką wodą. Teraz znowu pojawiły się ostrzeżenia drugiego stopnia dla Nysy Kłodzkiej, Nysy Łużyckiej, Kwisy, Bobru, Orli i Widawy. Trudno się dziwić – w Sudetach śnieg zaczął się topić, woda spływała do rzek, których poziomy rosły. Meteorolodzy ostrzegali, że lokalnie mogą zostać osiągnięte stany alarmowe.

24 lutego br. z miejscowego portu wypłynęły w kierunku wsi Kuzki lodołamacze „Orkan" i „Lew", które miały sprawdzić grubość lodu na Zalewie Włocławskim i przygotować drogę dla pozostałych jednostek. Dwa dni później sześć lodołamaczy rozbijało pokrywę lodową, by kry na Wiśle mogły swobodnie spłynąć w dół rzeki. Lodołamacze pracowały także u ujścia Wisły, w rejonie Gdańska, na tyle skutecznie, że kra swobodnie spłynęła do Zatoki Gdańskiej.

Polska dysponuje obecnie flotą 26 lodołamaczy. Największa grupa – siedem jednostek plus jedna rezerwowa – pracuje na Odrze w rejonie Szczecińskiego Węzła Wodnego. W razie potrzeby może do nich dołączyć sześć jednostek niemieckich. Na razie są to siły wystarczające.

Mieszkańcy zagrożonych terenów oraz urzędnicy państwowi i samorządowi zadają sobie pytanie, co może się wydarzyć w najbliższych tygodniach. Trudno powiedzieć, gdyż prognozy – zwłaszcza długoterminowe – zawsze są obarczone ryzykiem. Wiadomo, że początek marca przyniesie kontynuację roztopów. Temperatura w kraju będzie oscylowała wokół zera, z lokalnymi wzrostami nawet do 10-15 st. w ciągu dnia. Oznacza to, że śnieg będzie topniał, choć jak szybko – nie wiadomo. Wiele będzie zależało od tego, czy pojawią się opady deszczu.

Lodołamacze pracowały u ujścia Wisły w rejonie Gdańska na tyle skutecznie, że kra swobodnie spłynęła do Zatoki Gdańskiej.

Na Mazowszu uwagę zwróciła niewielka rzeka Mławka płynąca w okolicach Szreńska, w której woda zaczęła szybko wzbierać. Zagrożone zostały okoliczne drogi, łąki i pola.

Podobna sytuacja wystąpiła na Lubelszczyźnie, Warmii i Mazurach, w Kujawsko-Pomorskiem, w Świętokrzyskiem i na Podkarpaciu. Woda wzbierała w niewielkich rzekach, lokalnie zagrażając podtopieniami. Na szczęście na Wiśle i Odrze nie działo się nic złego.

W rejonie Zalewu Włocławskiego grubość lodu wynosiła 30-40 cm – oznaczało to, że sam nie spłynie i może się utworzyć groźny zator. Z historii wiemy, czym to grozi. Gdy wielkie kry spiętrzają się na zakręcie rzeki, przy filarze mostu, na płyciźnie, tworzy się naturalna tama. Woda napiera, poziom rzeki skokowo rośnie o metr, dwa, czasem więcej. I następuje katastrofa – taka wydarzyła się we Włocławku zimą 1982 r.

Pewne jest, że im szybciej śnieg się topi, tym więcej wody naraz trafia do rzek. Obfite deszcze pogarszają sytuację. Na szczęście długoterminowe prognozy IMGW mówią, że w tym roku marzec będzie chłodniejszy niż zazwyczaj, a suma opadów – zarówno deszczu, jak i śniegu – powinna być w normie lub lekko poniżej. Ale mimo że meteorologia nie jest wróżeniem z fusów, tak naprawdę nikt nie wie, co przyniesie pierwsza i druga połowa marca.

Jeśli w najbliższych tygodniach opady deszczu będą niewielkie, ale dojdzie do choćby jednej krótkiej,

eprasa.pl 57bf9d0787

gwałtownej ulewy – może ona wywołać lokalną powódź błyskawiczną. Może to być groźne, szczególnie w małych miejscowościach, gdzie kanalizacja deszczowa nie poradzi sobie z takim wyzwaniem. Takie scenariusze są prawdopodobne na Dolnym Śląsku, Podkarpaciu albo na Mazowszu. Ziemia pozostaje zamarznięta, więc grunt wciąż jest nieprzepuszczalny – woda z topniejącego śniegu i deszczu nie wsiąka, tylko spływa po powierzchni do rzek, co zwiększa ryzyko powodzi.

Meteorolodzy prognozują, że największe zagrożenie podtopieniami w pierwszej połowie marca będzie miało charakter przesuwający się: najpierw północno-zachodnia i centralna Polska, potem wschód. Fala roztopowa będzie się przemieszczała powoli w dół rzek, od gór ku morzu. Wisła, Odra, Bug będą wzbierały stopniowo.

Pojawiają się pytania: czy wały przeciwpowodziowe wytrzymają? Czy zatory lodowe nie zablokują przepływu? Czy w skrajnej sytuacji zbiorniki retencyjne pomieszczą całą wodę? Na razie odpowiedź brzmi: prawdopodobnie sobie poradzimy.

Powtórki z 1979 r. nie będzie

Wielu pamięta „zimę stulecia" z przełomu 1978 i 1979 r. Mrozy i rekordowo wysokie opady śniegu najpierw sparaliżowały kraj, a potem, w marcu i kwietniu, przyszło ocieplenie i roztopy połączone z opadami deszczu. Spowodowało to wezbranie rzek, które wystąpiły z brzegów. Zalanych zostało ponad 20 tys. km kw. Polski. Powódź objęła m.in. dorzecze Wisły oraz jej dopływy na wschodzie i w centrum. Szczególnie ucierpiały dawne województwa białostockie i łomżyńskie, gdzie do dziś lokalnie mówi się o powodzi stulecia.

Ucierpiał Pułtusk nad Narwią. Woda zalała znaczną część miasta, w tym rynek, starówkę i ulice nad rzeką. Ewakuowano ok. 1,6-1,7 tys. mieszkańców. Szacuje się, że w skali kraju powódź z 1979 r. uszkodziła dziesiątki tysięcy budynków, setki kilometrów dróg i wiele mostów.

Co dziś działa na naszą korzyść? Przede wszystkim spadło mniej śniegu niż tamtej zimy. Rozkład pokrywy śnieżnej też był nierównomierny. Więcej śniegu spadło na nizinach, mniej w górach. Oznacza to, że roztopy rozłożą się w czasie. Na razie nie mamy intensywnych opadów deszczu, a prognozy na marzec nie przewidują dużych opadów. W zbiornikach retencyjnych jest duża rezerwa, co zapewnia nam ogromny bufor bezpieczeństwa. Lodołamacze systematycznie rozbijają lód na Wiśle i Odrze, a to zmniejsza ryzyko zatorów.

Długoterminowe prognozy IMGW mówią, że marzec będzie chłodniejszy niż zazwyczaj, a suma opadów powinna być w normie lub lekko poniżej.

Polska poza tym dysponuje dziś znacznie lepszym systemem monitorowania i wczesnego ostrzegania niż w roku 1979. Większość wałów, zapór i zbiorników retencyjnych jest w dobrym stanie technicznym. Sprzyja nam także zmienny charakter temperatur. Jeśli za dnia są one dodatnie, to nocą spadają poniżej zera, co oznacza spowolnienie roztopów. Tym samym gwałtowny wzrost poziomu wody w dużych rzekach staje się mniej prawdopodobny.

Wszystko to prowadzi do optymistycznej diagnozy: wielka powódź roztopowa w marcu 2026 r. jest mało prawdopodobna. Możliwe są jednak lokalne podtopienia. Będą przekroczenia stanów ostrzegawczych i alarmowych na kilku rzekach, lecz powódź na taką skalę jak w latach 1979, 1982 czy 1997 – raczej nam nie grozi.

Czy czeka nas spokojna wiosna?

Tegoroczna zima po raz kolejny pokazuje, jak dynamiczny i nieprzewidywalny stał się klimat w XXI w. Okazuje się, że ekstremalne zjawiska pogodowe – zarówno mrozy, jak i ulewy, susze i powodzie – są coraz częstsze. Zimy mogą być łagodniejsze, lecz gdy już przychodzi mróz – jest tęgi. Lata mogą być suchsze, ale gdy spadnie deszcz – to najczęściej w postaci ulewy. Musimy się do tego przyzwyczaić.

Administracja rządowa i samorządowa się uczy. Po każdej powodzi przeprowadzane są analizy, co poszło dobrze, a co nie tak. Po powodzi w 2024 r. opublikowano raport „Powódź 2024: wnioski, doświadczenia i rekomendacje na przyszłość". Wskazano w nim problemy z koordynacją pomocy humanitarnej, z komunikacją między różnymi instytucjami, z zarządzaniem kryzysowym. Te wnioski są teraz wdrażane. Testowane są nowe procedury ewakuacji. Powstają mapy zagrożenia powodziowego, dostępne dla każdego obywatela na Hydroportalu Informatycznego Systemu Osłony Kraju.

Całkowicie bezpieczni nie będziemy nigdy. Natura jest potężniejsza niż my. Jeśli zrealizuje się ekstremalny scenariusz – kilka dni intensywnych opadów, wielki zator lodowy czy seria awarii infrastruktury przeciwpowodziowej – nie wystarczą nawet najlepsze przygotowania. Tak naprawdę możemy jedynie minimalizować ryzyko. Możemy szybciej reagować. Ostrzegać ludzi z wyprzedzeniem. Możemy sprawniej ich ewakuować, szybciej odbudowywać zniszczone drogi, mosty i domy.

Marzec pokaże, na ile nasze przygotowania były wystarczające. Będziemy obserwować poziomy rzek, słuchać ostrzeżeń IMGW i trzymać kciuki, aby tegoroczna wiosna okazała się spokojna.

Jest też rzecz optymistyczna. Historia udowadnia, że w obliczu katastrofy potrafimy być solidarni. Tak było podczas powodzi w 1979 r., w 1982, w 1997, w 2010 i w 2024. Za każdym razem, gdy przyszła wielka woda, ludzie pomagali sobie nawzajem. Worek piasku na wał, łódka dla sąsiada, dach nad głową dla powodzianina, jedzenie dla ewakuowanych. To prawdziwa solidarność, która nie przemija. Obyśmy jednak w tym kontekście jej nie potrzebowali.

Marek Czarkowski

eprasa.pl 57bf9d0787



Z Galicji Jan Widacki

Problem większy, niż się wydaje

Najpierw wyszła afera z Collegium Humanum. Akt oskarżenia trafił już do sądu. Przy takiej liczbie oskarżonych, jak uczy doświadczenie, sprawa będzie się ciągnęła kilka lat. Ostatnio „Newsweek" opisał zaś kolejną niepubliczną uczelnię, Wyższą Szkołę Kształcenia Zawodowego we Wrocławiu, nazywając ją dosłownie „sklepem z dyplomami". Semestr „studiów podyplomowych" można zaliczyć w godzinę, a wszystkie zajęcia odbywają się online.

Sam kiedyś, próbując prześledzić, skąd się biorą coraz częściej powoływani w poważnych procesach biegli od „psychologii śledczej", której na żadnej publicznej uczelni w Polsce nikt nie wykłada ani nie prowadzi z jej zakresu badań (a swoją drogą szkoda, że tak jest), dokonałem ciekawego odkrycia. Znalazłem małą prywatną uczelnię, która psychologów (w tym śledczych) kształci, w większości online oczywiście, w kilku ośrodkach rozrzuconych po całej Polsce. Kształci i nadaje tytuły magistra!

Wedle tego, co uczelnia podaje na swojej stronie internetowej, zatrudnia na stałe tylko jednego psychologa, specjalistę od opieki nad osobami cierpiącymi na skoliozę. Coś w tym jest. Nauka polska cierpi na swoistą skoliozę. Całej sprawie smaczku dodaje to, że rektorem jest profesor swego czasu karany za plagiat i przywłaszczenie honorarium. Nie wiem, ilu wykształconych online psychologów absolwentów tej uczelni lub jednej z jej licznych filii już udziela pomocy psychologicznej, a ilu ich jeszcze ta uczelnia wyprodukuje w przyszłości.

Gorsze jest chyba jednak co innego. Nie tylko zły pieniądz wypiera dobry. Nawet dobre do niedawna uczelnie niepubliczne w walce o studenta, a ściślej o czesne, które on zapłaci, idą w zawody z takimi uczelniami jak ta produkująca online psychologów. Nawet na tak jeszcze niedawno renomowanej, i to zasłużenie, uczelni jak Uniwersytet SWPS można, w dużej mierze w systemie online, będąc licencjatem dowolnego kierunku, np. kosmetologii, ukończyć studia podyplomowe ze wspomnianej „psychologii śledczej".

Ale najgorsze jest coś jeszcze innego. Wszystko to dzieje się za akceptacją Polskiej Komisji Akredytacyjnej oraz Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Ktoś na uruchomienie tych kierunków pozwolił, ktoś zaakceptował ich programy, ktoś toleruje ich funkcjonowanie. Słynna „PAKA" kontroluje na dobrą sprawę jedynie wykreowaną przez władze uczelni specjalnie dla niej papierową rzeczywistość. Ministerstwo, które nawet gdyby chciało, nie jest w stanie skontrolować ponad 200 prywatnych uczelni… Wreszcie ustawa megalomańsko nazwana „Konstytucją dla nauki"! Przed jej wejściem w życie do utworzenia kierunku studiów trzeba było się wykazać posiadaniem tzw. minimum kadrowego, czyli określonej liczby profesorów lub doktorów habilitowanych. Dziś nie ma minimum kadrowego. Zupełnie legalnie, zgodnie z prawem można otworzyć dowolny kierunek studiów, praktycznie w ogóle nie mając stałej kadry, tylko kilka osób gotowych wykładać online z dowolnego zakątka Polski, a choćby i zza oceanu. Gotowych, niekoniecznie wykładających.

Zupełnie legalnie, zgodnie z prawem można otworzyć dowolny kierunek studiów, praktycznie w ogóle nie mając stałej kadry.

Wykładowcy na umowie-zleceniu, wykłady i inne zajęcia prowadzone online, kierunki studiów, a na nich przedmioty o nazwach często niemających nic wspólnego ani z uznanymi dyscyplinami naukowymi, ani z dziedzinami działalności praktycznej, ale dobrze brzmiących marketingowo, to rzeczywistość polskich uczelni niepublicznych. Wielu z nich naprawdę bliżej do sklepów prowadzących sprzedaż internetową niż do prawdziwych uniwersytetów.

Konieczne są zmiany prawa, tak by określało standardy i pozwalało na realną kontrolę i nadzór nad uczelniami niepublicznymi. Opisywane w mediach przypadki to nie jakieś pojedyncze artefakty, to produkty złego systemu. Niestety, typowe produkty! System trzeba pilnie naprawić! ■

sklep.tygodnikprzeglad.pl ZAWSZE W ZASIĘGU RĘKI
KSIĄŻKI E-BOOKI PRENUMERATA ELEKTRONICZNA SUBSKRYPCJA ZDANIE

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 57bf9d0787

GRZECHY I WYPACZENIA

Jak biskupi diecezji sosnowieckiej chronili księży pedofilów i przestępców seksualnych

Andrzej Sikorski



Bp Adam Śmigielski (zmarł w 2008 r.) wiedział o przestępstwach popełnionych przez podwładnych, ale nie reagował. Nz. podczas procesji Bożego Ciała w 2006 r.

Częściowy raport kościelnej Komisji „Wyjaśnienie i naprawa" dotyczący przestępstw seksualnych księży w diecezji sosnowieckiej jest wstrząsający. Ale nie tylko dlatego, że – jak ustalono – 25 kapłanów dopuściło się zbrodniczych czynów wobec co najmniej 46 dzieci. Przerażające jest to, że biskupi Adam Śmigielski (zmarł w 2008 r.) i Grzegorz Kaszak (od 2023 r. na emeryturze), wiedząc o przestępstwach popełnionych przez podwładnych, nie reagowali w sposób właściwy, a w niektórych przypadkach wręcz ich kryli.

Raport nigdy by nie powstał, gdyby nie wydarzenia z jesieni 2024 r. Najpierw policjanci z Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji w Katowicach na polecenie Prokuratury Okręgowej w Sosnowcu zatrzymali trzech księży, z czego dwóch pod zarzutem popełnienia przestępstw seksualnych na szkodę osób małoletnich. Kilka dni później śledczy wkroczyli do Kurii Diecezjalnej w Sosnowcu oraz biura Delegata ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży, a także biur w Diecezjalnym Centrum Służby Rodzinie i Życiu. Przeszukania zaczęły się 4 października o godz. 13.00 i trwały nieprzerwanie do godz. 7.40 dnia następnego.

Jak poinformowała prokuratura, „badaniem objęte są przestępstwa seksualne, popełniane w ciągu wielu lat, m.in. na szkodę osób małoletnich", a „ponadto zakres śledztwa uzupełniono o czynności mające na celu weryfikację przestępstw gospodarczych w postaci oszustw". Zabezpieczono liczne dokumenty, w tym elektroniczne nośniki danych. Sytuacja była bezprecedensowa, bo jeszcze nigdy się nie zdarzyło, aby działania organów ścigania były tak stanowcze. Wcześniej, gdy policja, prokuratura lub sądy chciały uzyskać jakieś dokumenty z kurii, zawsze grzecznie o nie prosiły i prawie zawsze otrzymywały odmowną odpowiedź z argumentacją, że to bezprawne, bo instytucje Kościoła są autonomiczne w stosunku do władz państwowych, albo że dokumenty kościelne są tajne lub zostały przekazane do Watykanu i mogą ewentualnie zostać udostępnione, ale drogą dyplomatyczną w trybie międzynarodowej pomocy prawnej. Czyli de facto nigdy.

Jednak nowo mianowany biskup diecezji sosnowieckiej Artur Ważny przyjął inną postawę. Jak stwierdził, „działaniami prokuratury nie był zaskoczony, nie tylko spodziewał się takiego ruchu, ale nawet na niego czekał". Obejmując w maju 2024 r. diecezję, hierarcha wiedział – jak to ujął – że „wchodzi na pewne miny i one właśnie wybuchają". Te miny to m.in. seria skandali z udziałem duchownych. W marcu 2023 r. 45-letni ks. Robert S. zasztyletował 25-letniego diakona Mateusza B., a potem rzucił się pod pociąg. Kilka miesięcy później dwaj księża z Dąbrowy Górniczej urządzili orgię z męską prostytutką na terenie plebanii bazyliki Najświętszej Maryi Panny Anielskiej. Gdy gość duchownych stracił przytomność, prawdopodobnie po przedawkowaniu narkotyków i tabletek na potencję, jeden z księży wystraszył się i zadzwonił po pogotowie, ale drugi zabarykadował drzwi i nie chciał wpuścić ratowników medycznych. Był to nie byle kto, bo wikary Tomasz Z., redaktor poczytnego tygodnika katolickiego „Niedziela" i dyrektor Archiwum Diecezji Sosnowieckiej. Za przestępstwa przeciwko wolności seksualnej i obyczajności,

FOT. ADRIAN GŁADECKI/ REPORTER

eprasa.pl 57bf9d0787

nieudzielenie pomocy osobie będącej w stanie zagrożenia zdrowia i życia oraz za częstowanie narkotykami Tomasz Z. został skazany na półtrora roku więzienia.

Kolejny skandal wybuchł w marcu 2024 r., gdy w mieszkaniu ks. Krystiana Z., na terenie parafii Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny w Sosnowcu, znaleziono martwego mężczyznę. Prokuratura oskarżyła duchownego o posiadanie znacznej ilości narkotyków, nieumyślne spowodowanie śmierci oraz czynności o charakterze seksualnym.

Wróćmy jednak do raportu. Jego autorzy musieli się zapoznać z tysiącami dokumentów zgromadzonych w archiwach Kurii Diecezjalnej w Sosnowcu. Problem polegał na tym, że kwerenda była utrudniona z uwagi na bałagan panujący w dokumentacji.

„Komisja zauważyła, że akta przechowywane są bez żadnych zasad, nie ma żadnej instrukcji kancelaryjnej, a dokumenty trafiają do poszczególnych teczek według uznania. (…) Dokumenty w teczkach personalnych księży są nieuporządkowane, nie ma w nich żadnej chronologii, poszczególne karty nie są paginowane – co oznacza, że w każdej chwili można z teczki jakiś dokument usunąć, a jego zniknięcia nikt nie zauważy. (…) Z rozmów członków komisji z księżmi, którzy w przeszłości pełnili funkcje kanclerza i notariusza w kurii, wynika, że mogły zdarzać się sytuacje, gdy jakiś dokument, list, skarga do kurii dotarły, lecz nie ma po nich śladu. Księża ci wspominali np., że bp Adam Śmigielski przyjmował interesantów w auli, niektórzy przynosili ze sobą jakieś pisma, które biskup później przekazywał kanclerzowi. Wpływu takowego pisma nigdzie nie odnotowywano. Mogło zdarzyć się także, że biskup dokumentów nie oddawał, lecz zabierał ze sobą. Podobnie w sytuacji, gdy list był adresowany nie do kurii, lecz do rezydencji biskupa. Zazwyczaj biskup przynosił oficjalne listy, które nadeszły na jego adres prywatny, ale mogło się zdarzyć, że jakiś list zachował dla siebie. (…) Komisji nie udało się jak dotąd ustalić tego, co stało się z elektronicznym dziennikiem korespondencji za okres od 1 stycznia 2011 r. do 15 kwietnia 2016 r.”, stwierdzili autorzy raportu.

Kościelne archiwa słyną z niezwykłej staranności w porządkowaniu i przechowywaniu dokumentów. W przypadku przestępstw seksualnych księży bałagan raczej nie był przypadkowy. Natomiast zamiatanie pod dywan niewygodnych spraw miało charakter systemowy. Weźmy przykład księdza D.

W 2001 r. bp Adam Śmigielski dostał list od znajomego kapelana szpitala dziecięcego. Duchowny informował, że rozmawiał z matką 16-letniego niepełnosprawnego chłopca, która twierdzi, że jej syn był wykorzystywany seksualnie przez ks. D. Kapelan, który był z wykształcenia lekarzem, przeprowadził własne śledztwo i uznał, że zebrane dowody uprawdopodobniają przestępstwo. Bp Śmigielski zlecił przeprowadzenie dochodzenia, a polegało ono na rozmowach z przełożonymi księdza. Jak można się domyślać, ci wystawili podwładnemu świadectwo moralności, a biskup na otrzymanym liście napisał: „Oszczerstwo!” i zamknął sprawę.

W 2016 r. matka chłopca ponownie skontaktowała się z kurią. Ordynariuszem był Grzegorz Kaszak. Hierarcha kazał zająć się sprawą wiceoficjałowi Sądu Biskupiego w Sosnowcu. Ten wraz z notariuszem udał się do proboszcza D., który oczywiście zaprzeczył oskarżeniom, stwierdził, „że kobieta jest problematyczna, zna ją dobrze opieka społeczna i policja”, a na dodatek jest to „osoba psychicznie chora” i „nie ma się co przejmować”. Delegaci biskupa spotkali się także z matką chłopca, a ta potwierdziła wcześniej formułowane zarzuty, że ksiądz D. trzykrotnie zgwałcił jej syna. Kościelni urzędnicy dali kobiecie tydzień na przedstawienie dokumentów ze szpitala: opinii lekarskiej i opinii psychologicznej. Zrozpaczona napisała list do biskupa, żaląc się, że to zbyt mało czasu, ale wiceoficjał stwierdził, że wszystko jest zgodne z prawem, a zarzuty wobec księdza D. „wyczerpują znamiona pomówienia”.

Ksiądz D. nie odpowiedział za zgwałcenie niepełnosprawnego chłopca, ale w 2021 r. został skazany na więzienie w zawieszeniu w innej sprawie. Otóż wielebny wielokrotnie, przez kilka lat, dopuszczał się „innych czynności seksualnych” wobec dziewczynki. Szokujące jest, że po uprawomocnieniu się wyroku D. nie został wyrzucony ze stanu kapłańskiego i nadal odprawiał msze.

W innych przypadkach schemat był podobny. Ksiądz dopuszczał się „zachowań niemoralnych” w stosunku do nieletnich, o czym biskupów informowali inni księża, nauczyciele albo parafianie. Biskupi wyznaczali urzędników kurii, aby ci przeprowadzili stosowne dochodzenie, co sprowadzało się do odbycia rozmowy z podpadniętym duchownym, który zaprzeczał oskarżeniom. Sprawę szybko zamykano. Tymczasem, jak wskazują autorzy raportu, „szczegółowe analizy przedłożonych powyżej spraw prowadzą do wniosku, że w wielu z nich dokonano niewłaściwej oceny zdarzeń, a problemy bagatelizowano. Nie dawano wiary osobom zgłaszającym przestępstwa, sprawdzenia faktów dokonywano w sposób bardzo pobieżny”.

Osoby zgłaszające przestępstwa nie tylko były lekceważone przez biskupów i zderzały się ze znieczulicą, ale wręcz doznawały prześladowań. Członków komisji „poruszyło świadectwo kobiety”, która zgłosiła krzywdę wobec bliskiej osoby, a zamiast pomocy „ze strony ludzi Kościoła spotkała się z szykanami”. Mężczyzna wykorzystany przez księdza w dzieciństwie, był jako dorosły człowiek, kleryk seminarium, molestowany przez innego księdza. Gdy opowiedział biskupowi, co go spotkało, ten nie okazał żadnego zainteresowania. ■

Częściowy raport dotyczący przestępstw seksualnych księży w diecezji sosnowieckiej jest wstrząsający.

eprasa.pl 57bf9d0787

Dieta o smaku zwycięstwa

Prezydentka Gliwic nie zapłaciła restauratorowi

Mateusz Cieślak

Czy to, co trafiło do żołądka prezydentki Gliwic, było kosztem kampanii wyborczej? Cóż, zależy, czy Katarzyna Kuczyńska-Budka podczas kampanii wyborczej piła i jadła z wyborcami, czy sama. Jeśli z wyborcami, mógł to być koszt komitetu wyborczego – o ile płacił za to komitet lub fundowali sponsorzy. Jeśli jednak kandydatka piła i jadła w samotności, sprawa się komplikuje.

Łukasz Smerkowski, znany gliwicki restaurator, postanowił pomóc kandydatce w wygraniu wyborów prezydenckich. W tym celu zadbał o jej żołądek najlepiej, jak umiał. A dbać o żołądki to on naprawdę potrafi. Przygotowywane przez niego posiłki to nie hamburger i frytki. Smerkowski wydał kilkadziesiąt tysięcy złotych na opracowanie zdrowych i smacznych dań. Mówi, że w swojej kuchni wykorzystywał osiągnięcia biochemii. – To nauka, która na atomy rozkłada wszystko: reakcje żywych organizmów – nas, ludzi, oraz zwierząt i roślin. I z tej nauki powstała moja kuchnia – tłumaczy.

Łukasz Smerkowski, znany gliwicki restaurator, postanowił pomóc Katarzynie Kuczyńskiej-Budce w wygraniu wyborów prezydenckich.

Katarzyna Kuczyńska-Budka była częstym gościem w restauracji Smerkowskiego. Smakowało jej. Jakoś rok przed kampanią prezydencką restaurator zapytał ją, jak zawalczyć o mandat radnego. Myślał o działalności publicznej. Kuczyńska-Budka zaproponowała, aby zapisał się do Platformy Obywatelskiej. Tak zrobił. W Gliwicach partia ta (dziś już Koalicja Obywatelska) ma dwa koła. Został członkiem tego, na którego czele stała pani Katarzyna.

Walka wyborcza wyczerpuje

Nadszedł czas kampanii wyborczej, a Smerkowski – jak mówi – zdawał sobie sprawę, że taki czas jest bardzo wyczerpujący energetycznie. Zaproponował swojej wtedy już koleżance partyjnej wsparcie w postaci całodziennego smacznego i zdrowego wyżywienia. Dostarczał jej pakunki.

– W takiej paczuszce codziennej było śniadanie, obiad, kolacja oraz jeden specjalnie wyciskany sok i jedno smoothie, czyli warzywa, czasami pomieszane z owocami, które są zmielone – wylicza. Nie pamięta dokładnie, ile zestawów przygotował, ale na pewno kilkadziesiąt. Na pytanie, czy wcześniej zawarli umowę albo czy był to koszt komitetu wyborczego, Smerkowski odpowiada, że nie. I dodaje, że zestawy te należały „do prywatnej przestrzeni zainteresowanej".

Minęła kampania wyborcza, naprawdę wymagająca, co dokumentują liczne relacje przygotowywane przez panią Katarzynę lub jej sztab. Kuczyńska-Budka pokonała konkurenta, który przeszedł do drugiej tury wyborów, czyli byłego wiceprezydenta Gliwic Mariusza Śpiewoka.

Zwycięstwo było trudne, zadecydowała różnica zaledwie 540 głosów. Można więc sądzić, że Łukasz Smerkowski, dbając o dobrą formę obecnej pani prezydent, przyczynił się do jej sukcesu. Jakie poniósł koszty? Nie liczmy pieniędzy, które wpłacił na fundusz wyborczy partii. Skoncentrujmy się na posiłkach przygotowywanych dla Katarzyny Kuczyńskiej-Budki. Smerkowski twierdzi, że sam koszt zakupu składników, z których był przygotowywany jeden dzienny zestaw, wynosił nieco ponad 20 zł. Cena sprzedaży takiego zestawu jest oczywiście znacznie wyższa. Mówimy przecież o wyżywieniu na cały dzień.

Smerkowski poprosił więc zwyciężczynię wyborów, by w zamian za posiłki przekazała mu 400 zł. Po raz pierwszy zrobił to w tym roku, 16 stycznia. Napisał pani prezydent, że umówili się na spersonalizowaną dietę pudełkową. „Wiem, że byłaś wtedy w ferworze walki o prezydenturę i nie mam z tego powodu żadnych problemów, lecz poproszę o zaległą opłatę. Wyliczyłem wtedy koszt jednej diety na 22 zł, bez mojej pracy, bez marży, gdyż od serca", napisał w wiadomości i dodał: „Oczywiście możesz zaokrąglić na moją niekorzyść". I zaproponował płatność blikiem.

Ponieważ żadnej odpowiedzi nie otrzymał, jeszcze kilka razy usiłował skontaktować się z panią prezydent. Bez efektu. Opowiedział więc o wszystkim w mediach społecznościowych. A potem postanowił skorzystać z prawa każdego obywatela do przysłuchiwania się obradom rady miasta. W dniu, gdy w Gliwicach odbywało się styczniowe posiedzenie miejskich władz, zjawił się w ratuszu. Zobaczyła go Wiktoria Bartosiewicz, najmłodsza radna Koalicji Obywatelskiej w mieście. Zrobiła dziwną minę – jak wspomina Smerkowski – i szybko pobiegła na dół (sala sesyjna znajduje się na piętrze ratusza). Łukasz Smerkowski może się mylić, łącząc to z rychłym nadejściem prezydentki, niemniej ta

eprasa.pl 57bf9d0787

wkrótce wkroczyła do ratusza w towarzystwie kilku strażników miejskich.

Anonim wzywa policję

Chwile spędzone na sesji rady miejskiej dla restauratora od diety pudełkowej są dziś wspomnieniem traumatycznym. Strażnicy mieli go stale obserwować. Oczywiście mógł być przeczulony, tym bardziej że rzecznik prasowy gliwickiego magistratu powiedział mi, że „obecność służb miała charakter standardowy i nie była wynikiem żadnych nadzwyczajnych decyzji ani szczególnych okoliczności". Z pewnością jednak Smerkowskiemu nie wydawało się, że w ratuszu zjawiła się policja. W pewnym momencie podszedł do niego znajomy, rzucając: „Na dole jest policja i pyta o ciebie".

Komenda Miejska Policji w Gliwicach odpowiedziała mi: „Działania policji miały charakter interwencji prewencyjnej, podjętej w reakcji na anonimowe zgłoszenie dotyczące możliwego zakłócenia porządku publicznego". Nie do końca więc było tak, jak wyjaśniał rzecznik prasowy. Ktoś przecież policję wezwał.

Na marginesie zauważmy, że policja gliwicka w przesłanej mi odpowiedzi podkreśliła: „Zgłoszenie, na podstawie którego podjęto działania, miało charakter anonimowy". Czy to oznacza, że policja nie jest w stanie ustalić numeru telefonu, z którego ktoś dzwoni na komendę albo na numer 112? Czy może jest w stanie to ustalić, lecz z jakichś względów od tego odstąpiła? Doszło do nieuzasadnionego wezwania policjantów. A to jest czyn zabroniony – wykroczenie. Jego sprawcę należy ustalić i ukarać.

Czy dietą zajmie się sąd?

Opowieści Smerkowskiego, jak żywił Katarzynę Kuczyńską-Budkę i co z tego wynikło, przybrały postać kilkuminutowych filmików.



Katarzyna Kuczyńska-Budka w trakcie wyczerpującej kampanii wyborczej.

Jeden z nich powstał jeszcze w trakcie wspomnianej sesji rady miasta. Smerkowski naliczył w nim aż siedmiu strażników miejskich.

Wkrótce restaurator odebrał pismo z kancelarii prawnej z wezwaniem do usunięcia trzech filmików zamieszczonych w serwisie YouTube.

Chwile spędzone na sesji rady miejskiej dla restauratora są dziś wspomnieniem traumatycznym.

Żądano też opublikowania przeprosin za upublicznienie nagrań zawierających „szereg nieprawdziwych informacji na temat pani prezydent miasta Gliwice, które naruszyły jej dobra osobiste, przede wszystkim w postaci wiarygodności publicznej i zaufania społecznego, koniecznych do sprawowania urzędu prezydenta miasta". Przeprosiny powinny zawierać m.in. zdanie: „Podkreślam, że moje postępowanie stanowiło manipulację mającą na celu wprowadzenie w błąd opinii publicznej co do osoby i działań pani Katarzyny Kuczyńskiej-Budki".

W uzasadnieniu czytamy o bezpodstawnych stwierdzeniach, jakoby prezydentka miała dług wynoszący ok. 400 zł za dostawę produktów żywnościowych w formie diety pudełkowej. Przywołano również inne wypowiedzi Smerkowskiego, w tym te, w których wspominał o straży miejskiej i policji. W ten sposób dieta pudełkowa w połączeniu z Katarzyną Kuczyńską-Budką oraz jej żołądkiem może zaprowadzić Łukasza Smerkowskiego na salę sądową. Co wydaje się kierunkiem słusznym, gdyż każdy obywatel ma prawo żądać sprawiedliwości – także prezydent miasta.

Z pisma prawników wynika, że prezydentka nic nie jest winna Smerkowskiemu. Na moje pytanie, czy prawdą jest, że Katarzyna Kuczyńska-Budka nie zapłaciła rzeczonych 400 zł, rzecznik gliwickiego magistratu odpowiedział: „Kwestie związane z finansowaniem kampanii wyborczej oraz jej rozliczeniem pozostają w kompetencjach pełnomocnika finansowego komitetu wyborczego i to do niego należy kierować wszelkie pytania w tym zakresie".

Czy z tego wynika, że koszt jadła i napitku, który za sprawą restauratora trafiał do żołądka prezydentki Gliwic, był kosztem kampanii wyborczej? Wydaje mi się, że inaczej tej wypowiedzi nie sposób interpretować. Ale udałem się do Krajowego Biura Wyborczego i sprawdziłem sprawozdanie finansowe komitetu wyborczego Koalicji Obywatelskiej. Żadnej diety pudełkowej tam nie ma. ■

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

eprasa.pl 57bf9d0787

APEL

Nastroje społeczne w Polsce ewoluują w niebezpiecznym kierunku. Jeszcze niedawno poziom polskiego entuzjazmu dla Unii Europejskiej był jednym z najwyższych na kontynencie. Dziś, choć zdecydowana większość naszego społeczeństwa chce pozostać w Unii, nadal być członkiem europejskiej rodziny, to jednak przybywa zwolenników jej opuszczenia, skupionych w PiS i Konfederacjach. Opiniom takim nie pomaga ośrodek prezydencki, zapatrzony w Donalda Trumpa, a więc i w jego politykę niechętną Unii. Jesteśmy przekonani, że Koalicja 15 Października utrzyma władzę do końca kadencji, wierzymy, że po wyborach powstanie ponownie koalicja proeuropejska, ale wybory te odbędą się już za półtora roku, trzeba więc działać natychmiast.

Warto bowiem pamiętać: wyjście Polski z Unii Europejskiej byłoby łatwe do przeprowadzenia. Wystarczyłaby zwykła większość parlamentarna, a następnie podpis prezydenta. Taki jest tryb wypowiadania umów międzynarodowych. Rzecz jednak w tym, że – po pierwsze – akces do Unii Europejskiej nie jest zwyczajną umową. Po drugie, akces ten dokonał się na mocy ogólnonarodowego referendum. Przeczyłoby zdrowemu rozsądkowi, gdyby decyzja całego narodu mogła być unieważniona przez tymczasową większość w parlamencie. Nie mówiąc już o tym, że byłoby to zapewne niezgodne z konstytucją.

Członkostwo Polski w Unii Europejskiej jest podstawową sprawą dla naszego bytu narodowego. Nie wolno oddawać go politycznym awanturnikom i powierzać przypadkowym partyjnym układom.

W tej sytuacji APELUJEMY do wszystkich posłów i senatorów, niezależnie od politycznej orientacji, o wsparcie na rzecz ustawy o referendum.

Zespół „Przeglądu”

Przedstawiamy kolejną grupę osób, która poparła nasz apel w sprawie ustawy o referendum przy rozstrzyganiu, czy wyjść z Unii Europejskiej: Małgorzata Rozwadowska z Katowic, Ludwik Matuszek, Marek Dankowski, prof. Stanisław Sulowski, Aleksandra Klemczak, prof. dr hab. Romuald Olaczek, Zdzisław Tymoczko.

Zgłaszam swoje poparcie.

Małgorzata Rozwadowska, emerytka z Katowic

•

Popieram apel przeciw polexitowi. Już wcześniej, po ukazaniu się artykułu prof. Romanowskiego, wysłałem w tej sprawie apel do marszałka Sejmu, pana Włodzimierza Czarzastego. Do wiadomości dołączam ten apel.

Szanowny Panie Marszałku, proszę przeczytać ostatni „Przegląd” (nr 48, 24-30.11.2025, s. 25): „Refleksje pesymisty. Sejmie, zrób coś! Andrzej Romanowski”. Proszę o wyciągnięcie z zamrażarki ustawy o umowach międzynarodowych i przeprowadzenie jej nowelizacji, tak aby zapobiec wyjściu Polski z Unii Europejskiej, czego domaga się prawa strona sceny politycznej z obecnym prezydentem. A może się to zdarzyć w przyszłości po zmianie władzy. Byłaby to katastrofa dla Polski porównywalna z rozbiorami Polski! W Panu cała nadzieja, aby bez referendum nie było to możliwe. Pozdrawiam i życzę zdrowia oraz sukcesów w marszałkowaniu. *Ludwik Matuszek*

•

Z całego serca popieram inicjatywę Redakcji „Przeglądu” polegającą na zwróceniu się z apelem do Sejmu RP w sprawie specjalnej ustawy na rzecz zorganizowania ogólnonarodowego referendum dotyczącego dalszego członkostwa Polski w Unii Europejskiej. Sprawa jest niezwykle ważna w tych jakże trudnych i niepewnych czasach, przy zagmatwanych układach i relacjach międzynarodowych oraz stosunkach społeczno-politycznych w naszym kraju. Należy mieć nadzieję, że rozsądek obywateli Polski zwycięży, a Polska będzie coraz silniejsza i coraz bardziej znacząca, tworząc wspólnie silną i bogatą Europę.

Marek Dankowski

•

Mając wiedzę o przeszłości naszej Ojczyzny, gorąco popieram apel „Przeglądu” do Sejmu RP w sprawie ustawy utrudniającej wyjście Polski z UE.

Prof. Stanisław Sulowski

•

Popieram sprawę referendum zainicjowaną w „Przeglądzie”.

Aleksandra Klemczak

•

Popieram apel do Sejmu o uchwalenie ustawy o referendum dotyczącym ewentualnego wyjścia Polski z Unii Europejskiej. Wstąpienie do Unii było sukcesem Polski jako państwa i polskiego społeczeństwa.

Prof. dr hab. Romuald Olaczek, UŁ

•

Wspieram bezdyskusyjnie apel Redakcji „Przeglądu” do Sejmu RP o uchwalenie ustawy warunkującej wyjście z Unii Europejskiej tylko wskutek decyzji całego narodu wyrażonej w ogólnokrajowym referendum, na podstawie art. 125 Konstytucji RP. *Zdzisław Tymoczko*

eprasa.pl 57bf9d0787

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Lutowe Syrakuzy

Syrakuzy lutowe – to Syrakuzy wiosenne. Pod drzewami leżą dziesiątki dojrzewających zimą pomarańcz, kwitną kwiaty, śpiewają ptaki, latają nieliczne motyle. Lutowe Syrakuzy są kolorowe. Biała jest tylko Etna – pokryta śniegiem, zamyka horyzont nad niedaleką Katanią. Zazwyczaj zresztą jest otulona chmurami, też o barwie białej. Czasem – białoszarej.

Syrakuzy założyli przybysze z Koryntu w roku 734 p.n.e. jako drugą grecką kolonię na Sycylii – po Naksosie. Miasto sięgnęło w starożytności kilkuset tysięcy, a może i miliona mieszkańców. Joanna Olkiewicz, autorka książki o Sycylii, podaje, że Rzym za panowania Marka Aureliusza był mniejszy niż 500 lat wcześniej Syrakuzy z czasów tyrana Dionizjosa. Dziś liczą Syrakuzy 117 tys. mieszkańców, a najstarszą budowlą są ruiny świątyni Apollina na wyspie Ortygia; pochodzą z lat 570-560 p.n.e. Kilka kilometrów dalej istnieje wykuty w skale teatr grecki. Latem odgrywa się w nim sztuki greckich tragików – oczywiście jednak po włosku.

Teatr grecki! Zbudował go Damokopos w pierwszej połowie V w. p.n.e. Ale dawno go już nie ma – w początkach III w. p.n.e. został zastąpiony przez teatr obecny: największy na Sycylii, a i tak z rzędami tylnymi, które stopniowo wrastają w ziemię. Jednak pozostało miejsce – to tu wystawiał swe sztuki Ajschylos. Wiadomo, że tutaj pokazał „Persów", a zapewne także „Oresteję". Ta trylogia dramatyczna o zbrodni, zemście i miłosierdziu liczy prawie 2,5 tys. lat, lecz wciąż pojawia się w teatrach. Choć nienawiść, sączona dziś przez prawicę całego świata, czyni słowa ajschylosowych Eumenid właściwie już niezrozumiałymi.

Słynna Taormina, uczepiona skał jak jaskółcze gniazdo, żyje w cieniu Etny. Wokół greckiego teatru piętrzą się ruiny rzymskich zabudowań, a ubytki w skalnych stopniach są uzupełnione drewnianymi ławkami. Miejsce jest magiczne, a jednak wracam do nieskażonego teatru w Syrakuzach, który – jak całe miasto – odsłania kolejne słoje europejskiego dziedzictwa. Tutejsza katedra wspiera się na wtopionych w mury potężnych doryckich kolumnach; tyle zostało ze świątyni Ateny, wzniesionej w roku 470 p.n.e. przez tyrana Gelona. Wenus Anadyomene, odkopana w Syrakuzach w roku 1804, stoi w tutejszym Muzeum Archeologicznym i z wdziękiem podtrzymuje szatę opadającą z ciała. To rzymska kopia z II w. n.e., nie wiadomo, jaki był hellenistyczny oryginał – czy jednak mógł być piękniejszy? Posąg, mimo braku głowy i prawego ramienia, jest pełen zmysłowego żaru. Zachwycał się nim Jarosław Iwaszkiewicz.

Od tego pisarza blisko już do jego kuzyna, Karola Szymanowskiego. Patrzę w głąb ciemnego źródła Aretuzy i myślę, że przyjechałem do Syrakuz zwłaszcza dla tego miejsca. Oczywiście nie chodziło mi o Aretuzę i ścigającego ją Alfejosa, ale o dziecięce jeszcze wrażenie, gdy w trzeszczącym radiu usłyszałem odeskiego skrzypka Nathana Milsteina grającego z „Mitów" Szymanowskiego właśnie ich poemat pierwszy: „Źródło Aretuzy". Nie wiedziałem wtedy, że pierwszym wykonawcą „Mitów" był także skrzypek z Odessy: Paweł Kochański. „Pawełek", pisała o nim Kazimiera Iłłakowiczówna.

W Syrakuzach istnieje hotel Teokryt i ulica Teokryta. Tego greckiego poety, twórcy gatunku literackiego zwanego idyllą lub bukoliką, a mającego polski odpowiednik „sielanka", nie kojarzyłem dotąd z Syrakuzami. Co było o tyle zrozumiałe, że autor ten, choć rzeczywiście urodzony w Syrakuzach, mieszkał a to na wyspie Kos, a to w Milecie, a to na dworze Ptolemeusza II Filadelfosa. Ale bohaterkami jednej jego idylli są rezolutne Syrakuzanki, które w zatłoczonej, wciąż wtedy jeszcze budowanej Aleksandrii strofują aroganckich mieszkańców. Tymczasem Tyrsis, pasterz spod Etny, wzywa już, by wracać „na Sycylię błogą". Nasz Szymon Szymonowic jest cały z Teokryta – nawet tytuł jednej z idylli greckiego mistrza (prawda, że w tłumaczeniu Artura Sandauera) brzmi: „Żeńcy".

Syrakuzy nie są ani największym, ani najpiękniejszym miastem Sycylii. Ale jest to miasto Archimedesa, który tu się urodził i tu został zabity przez rzymskiego żołdaka. I jest to miasto dramatopisarza Epicharma z Syrakuz, filozofów Empedoklesa z sycylijskiego Akragas (dzisiejszego Agrygentu), Gorgiasza z sycylijskiego Leontinoi... Przyjeżdżał tu nawet Ateńczyk Platon. Syrakuzańska metropolia ściągała więc Greków z całego świata. Co znaczy, że jest to również nasza kolebka.

I także dlatego sądzę, że Sejm RP powinien jak najszybciej procedować projekt ustawy o utrudnieniu Polakom wyjścia z Unii Europejskiej.

Syrakuzańska metropolia ściągała Greków z całego świata. Co znaczy, że to również nasza kolebka.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 57bf9d0787

Generał na celowniku

W pozbawionej publiczności sali sądowej oskarżeni o ukrycie teczki „janczara komunizmu” usłyszeli, że są niewinni

Helena Kowalik

– W 2016 r. mieszkałem w Lublinie – wspomina generał w stanie spoczynku Andrzej Wasilewski. – Akurat nie było mnie w domu, gdy listonosz zostawił awizo na list polecony. Na kopercie była pieczątka „IPN Główna Komisja Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu”. Wychodząc, doręczyciel rzucił w powietrze komentarz: „To się pan generał doigrał”. Żona wyczuła w tych słowach sarkazm. Byłem już wtedy emerytowanym cywilem, po zdaniu stanowiska dyrektora Departamentu Kadr MON. Pożegnanie z wojskiem było uroczyste, ze sztandarem… Poszedłem na pocztę z myślą, że przyszły jakieś nowe informacje o moim dziadku Bazylim Wasilewskim zamordowanym w 1941 r. przez Rosjan w Twerze nad Wołgą. Jego szczątki spoczywają na cmentarzu w Miednoje. Odebrałem przesyłkę i z ciekawości otworzyłem ją już w drodze do domu. Musiałem usiąść na ławce, aby nie wpaść pod samochód. Zostałem wezwany przez IPN, ale na przesłuchanie prokuratorskie.

Andrzej Wasilewski usłyszał od oskarżyciela publicznego, że jest podejrzany o ukrywanie przed IPN od 1999 r. teczki personalnej gen. Marka Dukaczewskiego, ponieważ była tam informacja o odbyciu przez tego wojskowego w sierpniu 1989 r. kursu sowieckich służb wywiadowczych w Moskwie.

– Odmówiłem składania wyjaśnień bez adwokata – wspomina Wasilewski. – Zauważyłem tylko, że zgodnie z rozporządzeniem resortowym teczka do 60. roku życia gen. Dukaczewskiego powinna leżeć właśnie w kadrach. Następnie należało ją przesłać do Centralnego Archiwum Wojskowego, co zostało wykonane, w pakiecie 27 innych generalskich teczek. Nie zaglądałem do żadnej z nich. Gdybym to uczynił, musiałbym odnotować na specjalnej karcie.



Antoni Macierewicz, Sławomir Cenckiewicz i Bartłomiej Misiewicz w MON podczas prezentacji odtajnionych dokumentów dotyczących stanu wojennego, 13 grudnia 2016 r.

Podobne wezwanie do prokuratora IPN otrzymał Czesław Andrzej Żak, do 2016 r. dyrektor Centralnego Archiwum Wojskowego Ministerstwa Obrony Narodowej.

– Noc przed wyjazdem do prokuratury miałem bezsenną – opowiada. – Liczyłem się z tym, że zapewne już jest gotowy akt oskarżenia i gdy dojdzie do procesu, media zrobią z nas agentów nasłanych przez Moskwę do MON. A ja wygrałem konkurs na cywilnego dyrektora CAW, bo po okresie działalności politycznej chciałem wrócić do pracy naukowej jako historyk z doktoratem. Nie rozumiałem, dlaczego zostaliśmy zaatakowani przez IPN. Przecież jeszcze w grudniu 2015 r. dostałem medal od tej instytucji.

Teczki pod kluczem

Trzeba się cofnąć o kilka miesięcy. Jest 2 lutego 2016 r. W Polsce rządzi PiS. Zastępca dyrektora Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN kieruje do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa w związku z pojawiającymi się ostatnio doniesieniami medialnymi o nieprzekazaniu do archiwum IPN teczek personalnych żołnierzy wojskowych organów bezpieczeństwa.

Takie informacje są na stronie internetowej Centralnego Archiwum Wojskowego MON, a wspiera je tygodnik „Do Rzeczy” artykułem Sławomira Cenckiewicza, od stycznia 2016 r. pełnomocnika MON ds. reformy archiwów wojskowych. Mocno wyeksponowana publikacja ze

eprasa.pl 57bf9d0787

zdjęciem generała na okładce, podpisanym: „Ukryte akta byłego szefa WSI", nosi tytuł: „Dukaczewski – kursant GRU".

W numerze można przeczytać, że elita kadr utworzonych w 1990 r. Wojskowych Służb Informacyjnych w większości była szkolona w Moskwie na specjalnych kursach GRU, czyli sowieckich służb wywiadowczych. Ostatni szef WSI gen. Dukaczewski skończył taki kurs w sierpniu 1989 r. Na początku 1990 r. w WSI powstała inicjatywa zbadania problemu agentury rosyjskiej w szeregach Wojska Polskiego. Operacja nosiła kryptonim Gwiazda. Doliczono się ok. 3 tys. oficerów, którzy ukończyli kurs GRU i KGB w Moskwie. Do CAW przekazano 27 teczek personalnych byłych żołnierzy zawodowych, wśród nich teczkę Dukaczewskiego. Spis akt podpisał gen. Wasilewski.

Sławomir Cenckiewicz informuje w swoim artykule, że akta personalne Marka Dukaczewskiego, którego nazywa „janczarem komunizmu", były ukryte właśnie w archiwum CAW. On je odnalazł.

Dwa dni później na stronach internetowych Dziennika.pl ukazuje się informacja, że IPN wszczyna postępowanie w sprawie dokumentów niedawno odnalezionych w CAW. Wypowiada się prezes IPN Łukasz Kamiński: „Jest poważne podejrzenie, że ktoś je celowo ukrył". 4 lutego Rafał Leśkiewicz, ówczesny dyrektor pionu archiwalnego IPN, udziela wypowiedzi Naszemudziennikowi.pl w artykule „Teczki pod kluczem": „Zdecydowałem się skierować do prokuratora zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa".

W zawiadomieniu jest informacja, że prowadzenie sprawy powierzono prok. Mariuszowi Rębaczowi.

– Z tego widać – komentuje akta mec. Marian Hilarowicz, obrońca gen. Wasilewskiego – że dr Cenckiewicz i szefowie IPN wskazali prokuratorowi kierunek postępowania przygotowawczego. Inne ich wypowiedzi sugerują rzekome zbieżności między oskarżeniami o przesłanie przez mojego klienta poszukiwanych od lat akt personalnych gen. Dukaczewskiego do niewłaściwej instytucji i ukrywanie ich w CAW przez dr. Żaka.

Pomimo przedstawienia w toku śledztwa zarzutów dwóm poprzednikom gen. Wasilewskiego na stanowisku dyrektora Departamentu Kadr MON ich sprawę umorzono, kierując do sądu jedynie sprawę przeciwko Czesławowi Żakowi i Andrzejowi Wasilewskiemu. Akt oskarżenia wpłynął do Wojskowego Sądu Okręgowego w Warszawie po trzech latach śledztwa. Na pierwszym przesłuchaniu, w którym uczestniczył obrońca podejrzanego Wasilewskiego, prokurator powiedział: „Pan jest tu tylko kozłem ofiarnym".

– Dlaczego mnie tak nazwał? – zastanawiał się generał. – W rozumieniu czysto prawnym brakowało podstaw do przekazywania teczki akt personalnych do IPN.

Z ustawy o IPN wynika, że jedynym organem zobowiązanym do przekazania tej instytucji zasobów archiwalnych wojskowych organów bezpieczeństwa wytworzonych do 31 grudnia 1990 r. jest Minister Obrony Narodowej. A obowiązek użyczania IPN takich dokumentów zgodnie z rozkazem szefa Sztabu Generalnego WP scedowano na dowódców rodzajów sił zbrojnych. Oskarżony generał nie był takim dowódcą. Nie był nim również dr Czesław Żak, dyrektor Centralnego Archiwum Wojskowego.

– Na skutek prowokacji, polegającej na ujawnieniu w mediach rzekomo ukrywanej w zasobach CAW teczki personalnej gen. Dukaczewskiego, Sławomir Cenckiewicz, uderzając w byłego szefa WSI, pośrednio wskazał na gen. Wasilewskiego i dr. Żaka jako tych, którzy brali udział w ukryciu tej teczki, aby nie ujrzała światła dziennego – mówił mec. Marian Hilarowicz.

Dukaczewski kontra Macierewicz

Proces sądowy trwa trzy lata. Nie ma już na nim dziennikarzy z mediów, które rzekomo wykryły, że teczka akt personalnych „janczara komunizmu" była schowana w MON, oskarżeni przedstawiają dowody, że IPN dysponował nią w 2006 r.

Czesław Żak zaczyna składanie wyjaśnień od ubolewania, że po 26 latach pracy w wolnej Polsce jest dziś podejrzany o działanie na szkodę swojego kraju. Twierdzi, że w IPN w odróżnieniu od CAW nie było żadnej metody gromadzenia teczek personalnych pułkowników i generałów. Dla upoważnionych pracowników naukowych nie były one tajne. Wystarczyło wklepać nazwisko do internetowej bazy ewidencyjnej, co zrobił w styczniu 2016 r. Cenckiewicz, i uzyskiwało się potrzebną informację.

– Wychodziliśmy z założenia, że tylko użyczamy akta, one do nas wrócą. Byłem żywotnie zainteresowany w przekazywaniu jak największej liczby tych teczek do IPN, bo mieliśmy problem (archiwum w Rembertowie dopiero się budowało) z miejscem ich przechowywania. Wiedziałem, że żaden przepis w sposób jasny nie obligował nas do przekazania oryginałów akt do IPN, można było kierować tam kopie. W CAW takie akta są potrzebne do celów emerytalnych.

Gen. Marek Dukaczewski: Po sześciu latach stawiania się w sądzie wygrałem sprawę, zostałem przeproszony, a kasacja wyroku odrzucona.

Kiedy Antoni Macierewicz jako przewodniczący komisji weryfikacyjnej WSI zwrócił się do prezesa IPN o wypożyczenie akt Marka Dukaczewskiego, nie żądał dodatkowych materiałów. Z tego wynika, że już dysponował świadectwem ukończenia przez generała kursu w Moskwie. W raporcie komisji Macierewicza, odtajnionym decyzją prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego, jest zapis potwierdzający to domniemanie.

Marek Dukaczewski zeznaje przed sądem, że w 2001 r. jego teczka była w WSI. Wtedy wszystkie dokumenty

FOT. MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ, MACIEJ ŁUCZNIEWSKI/REPORTER

eprasa.pl 57bf9d0787

dotyczące spraw personalnych zawodowych żołnierzy pełniących służbę do grudnia 1990 r. zostały przekazane do IPN. Ze względu na dużą liczbę takich żołnierzy, którzy nadal pracowali w wojsku po weryfikacji, poprzednik Dukaczewskiego ustalił z kierownictwem IPN, że w zgodzie z ustawą do tej instytucji trafią uwierzytelnione kopie teczek.

– Moja teczka po 2005 r. – wyjaśnia na sali rozpraw ten świadek – powinna trafić do Departamentu Kadr MON i tam leżeć, dopóki nie przejdę na emeryturę. Potem jej miejsce byłoby w CAW. Musiał ją znać Sławomir Cenckiewicz, bo jak zauważył prof. Paczkowski, książka ówczesnego dyrektora Wojskowego Biura Historycznego pt. „Długie ramię Moskwy" jest oparta wyłącznie na dokumentach, a nie na rozmowach z oficerami.

Generał opowiada przed sądem, jak w 2006 r. dochodził prawdy w procesach z Antonim Macierewiczem. Pozwał go, kiedy szef komisji weryfikacyjnej stwierdził, że taki człowiek jak Dukaczewski nie może zajmować stanowisk państwowych ani publicznych. – Po sześciu latach stawiania się w sądzie wygrałem sprawę, zostałem przeproszony, a kasacja wyroku odrzucona. Kolejny proces z prywatnego aktu oskarżenia umorzono z powodu przedawnienia karalności.

Marek Dukaczewski złożył też w prokuraturze zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez Zbigniewa Wassermanna, który ujawnił jego tajne dane. Ówczesny koordynator służb specjalnych, rozmawiając we wrześniu 2007 r. w TVN z byłym ministrem Sikorskim, pokazał kopię świadectwa z teczki personalnej generała o ukończeniu w sierpniu 1989 r. dwumiesięcznego kursu sztabowo-dowódczego w ministerstwie obrony Związku Radzieckiego. Wassermann zapytany przez dziennikarza, skąd ma ten dokument, odpowiedział, że znalazł go na wycieraczce. Następnego dnia sprostował to w programie radiowym, mówiąc, że dostał od Macierewicza, wówczas szefa WSI i wiceministra obrony narodowej.

– Prokurator dwukrotnie umarzał postępowanie – informuje świadek na rozprawie w 2019 r. – Nie ustępowałem, złożyłem akt subsydiarny, ale katastrofa lotnicza w kwietniu 2010 r. spowodowała, że wycofałem z sądu akt oskarżenia, wnioskowani bowiem przeze mnie świadkowie stracili w niej życie.



Gen. Andrzej Wasilewski usłyszał, że jest podejrzany o ukrywanie przed IPN teczki gen. Dukaczewskiego.

Teczka była w IPN

Przechowywanie w IPN przynajmniej w 2006 r. teczki akt personalnych gen. Dukaczewskiego potwierdzają na procesie inni świadkowie. Okazuje się, że nie ma żadnego pisma z IPN z żądaniem wydania teczki.

Pracujący w CAW Andrzej W. zeznaje: – Gdyby ktoś, zwłaszcza z komisji weryfikacyjnej i likwidacyjnej szukał tej teczki w naszym archiwum, zwróciłby się do mnie.

Inny świadek, Wojciech S., w tamtych latach archiwista IPN, wprawdzie najpierw twierdzi, że kiedy on tam pracował, teczki generała nie było, ale po okazaniu mu sprawozdania komisji Macierewicza dochodzi do wniosku, że informacja w raporcie o przechowywaniu w 2006 r. w IPN teczki Dukaczewskiego jest prawdziwa.

Kolejnym dowodem obrony jest przekazany sądowi protokół posiedzenia Kolegium IPN z października 2006 r. Zastępca przewodniczącego prof. Andrzej Paczkowski stwierdził wówczas, że podstawowym celem utworzenia instytutu jest wyciągnięcie akt organów bezpieczeństwa PRL z rąk służb specjalnych, ale nie z archiwum MON, gdzie pracownicy IPN bez problemu mogą uzyskać do nich dostęp.

Wtedy też prezes IPN Janusz Kurtyka wskazywał, że w instytucie wiedzą o znacznej liczbie akt personalnych żołnierzy wojskowych organów bezpieczeństwa znajdujących się w zasobach CAW; nawet zorganizowano zespół do przeglądania teczek na miejscu. Między IPN a WSI istniało porozumienie z 2001 r. o szczegółowym trybie przekazywania do IPN dokumentów wytworzonych lub zgromadzonych przez wojskowe organy bezpieczeństwa (prok. Rębacz nie przekazał tego kluczowego dokumentu do akt sądowych).

Nikt z obecnych na posiedzeniu Kolegium IPN nie zakwestionował trwającej od ponad pięciu lat praktyki przekazywania teczek personalnych od stopnia pułkownika wzwyż właśnie do Departamentu Kadr MON, a następnie do CAW.

Na procesie zostaje też ujawniona przez obronę informacja Departamentu Kadr MON z czerwca 2019 r. Wynika z niej, że w ówczesnym systemie ewidencji teczek pierwszy zapis o wypożyczeniu akt gen. Dukaczewskiego pochodzi z kwietnia 2007 r. Autorem jest funkcjonariusz Służby Kontrwywiadu Wojskowego kierowanego wówczas przez ministra Antoniego Macierewicza.

Zaskoczeniem dla sądu jest wykazanie przez mec. Hilarowicza, że nadesłane przez IPN na rozprawę akta personalne gen. Dukaczewskiego nie są tymi, które posłużyły komisji weryfikacyjnej do umieszczenia w raporcie zapisu o przeszkoleniu generała na kursie w Moskwie.

eprasa.pl 57bf9d0787

Na tych okazanych na rozprawie brakuje pieczęci, a widoczny fragment sznurka zdradza, że w przeszłości inaczej je zabezpieczono. Uderza dziwna niekonsekwencja w numerowaniu akt długopisem.

Te zasoby były udostępniane przewodniczącemu komisji weryfikacyjnej WSI. Zatem informacja w raporcie o przeszkoleniu w Moskwie gen. Dukaczewskiego nie mogła pochodzić z tej teczki. Z analizy jej treści wynika, że 6 września 2007 r. z aktami zapoznawał się funkcjonariusz Biura Informacji Niejawnych Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Chyba nieprzypadkowo kilkanaście dni później ówczesny koordynator służb specjalnych Zbigniew Wassermann ujawnił w Magazynie TVN 24 dokument ukończenia przez „janczara komunizmu" kursu wywiadowczego w Moskwie. Brakuje danych – nie ma w niej karty wypożyczenia – gdzie 6 września 2007 r. znajdowała się teczka akt personalnych generała. Prok. Rębacz, przekazując sądowi załącznik do akt głównych będących kserokopią teczki akt personalnych gen. Marka Dukaczewskiego, nie dołączył owej karty.

Sławomir Cenckiewicz wezwany do sądu na świadka zeznaje, że zna sprawę z komunikatu IPN, który wisiał jakiś czas na stronie internetowej. Teczki Dukaczewskiego szukał od 2001 r., czyli od czasu, kiedy przestał być przewodniczącym komisji ds. likwidacji WSI. Wcześniej jej nie widział.

– Składałem wniosek do IPN, nie otrzymałem tych materiałów. Archiwiści poinformowali mnie, że nie wiedzą, gdzie są akta. Kategorycznie zaprzeczam, aby trafiły do IPN w kopii. Zapoznając się z raportem komisji weryfikacyjnej, nie zauważyłem okazanego mi dziś fragmentu, z którego wynika, że teczka akt personalnych generała już w 2006 r. znajdowała się w IPN – deklaruje Cenckiewicz.

Świadek przyciśnięty do muru przez obrońcę oskarżonego Wasilewskiego przyznaje, że o teczce Dukaczewskiego mówił w Nowym Jorku 7 lutego 2007 r. na spotkaniu z Polonią. Spotkanie miało miejsce kilka dni przed ukazaniem się odtajnionego raportu komisji Macierewicza w Monitorze Polskim.

Kto robił odpisy?

Na początku grudnia 2020 r. proces dobiega końca. Prokurator domaga się dla oskarżonych po dwa lata więzienia w zawieszeniu na trzy lata.

Andrzej Wasilewski w ostatnim słowie przedstawia w skrócie 40 lat swojej kariery wojskowej, w której przeszedł wszystkie szczeble. Wyznaje, że oskarżenie go o ukrycie teczki jednego z generałów było szokiem, bo ta sprawa, która w dużej mierze przesądziła o karierze w mundurze, stanowiła jedną tysięczną zakresu jego obowiązków zawodowych. Absurdem było potraktowanie przez organy ścigania czysto wojskowego dokumentu, jakim jest teczka personalna żołnierza, jako wytworu służby bezpieczeństwa. Zdaniem oskarżonego żadne teczki akt personalnych wojskowych nie powinny nigdy wychodzić poza mury MON. Dziś nie wiadomo, co się stało z teczkami przesłanymi do IPN, kto do nich zaglądał i robił odpisy.

Czesław Żak w ostatnim słowie wyraża ubolewanie, że wbrew wszelkiemu rozsądkowi zlikwidowano dwa archiwa: MON i sił powietrznych. Polska stała się pierwszym państwem w NATO, którego Ministerstwo Obrony Narodowej nie ma archiwum. Dokumenty z Modlina wywożono ciężarówkami. Co się z nimi stało? Nie trafiły do archiwum wojskowego w Rembertowie. Czy Sławomir Cenckiewicz i Antoni Macierewicz kiedykolwiek za to odpowiedzą?

Obrońcy oskarżonych, mec. Marian Hilarowicz i Andrzej Ring, w swojej mowie podkreślają, że przestępstwo uchylania się od przesłania akt do IPN mogło być dokonane wyłącznie umyślnie, a tego oskarżonym nie można zarzucić. Co więcej, działali oni według obowiązującego wówczas prawa, które nie na nich nakładało obowiązek przekazywania do IPN dokumentów wytworzonych przez wojskowe organy bezpieczeństwa.

Wojskowy Sąd Okręgowy Warszawie uniewinnia obu oskarżonych. Pół roku później Izba Karna Sądu Najwyższego zaskarżony przez prokuratora wyrok utrzymuje w mocy. W uzasadnieniu SN wyraża pogląd, że skoro teczka akt personalnych gen. Marka Dukaczewskiego znajdowała się w dyspozycji instytucji państwowej (CAW), była formalnie zarejestrowana, wykazywana w jej zbiorach i udostępniana, to nieprzekazanie jej innej instytucji państwowej (IPN), gdzie też podlegałaby tym samym procedurom, nie przesądza o spełnieniu jednej z podstawowych przesłanek odpowiedzialności karnej, jaką jest społeczna szkodliwość czynu.

Innymi słowy, nie popełniono przestępstwa.

Mimo tak kategorycznie wyrażonego poglądu w lipcu 2021 r. zastępca prokuratora generalnego Andrzej Pozorski wnosi kasację. W lutym 2022 r. Sąd Najwyższy ją oddala jako oczywiście bezzasadną.

•

Dwa lata później mec. Marian Hilarowicz składa do prokuratora krajowego zawiadomienie o uzasadnionym podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez prowadzącego śledztwo prokuratora Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Warszawie. Zarzuca mu umyślne oskarżenie gen. Wasilewskiego i dr. Żaka wbrew dowodom, które bezspornie wykluczały możliwość popełnienia zarzucanego im przestępstwa.

Adwokat zaznacza, że prokurator IPN swoim działaniem wyrządził Andrzejowi Wasilewskiemu i Czesławowi Żakowi wymierną szkodę moralną, powodując nieodwracalny uszczerbek na ich wizerunku publicznym. Wnosi o śledztwo w sprawie i nadanie jego klientom statusu pokrzywdzonych.

Pismo przesłane do IPN wędruje stamtąd do Prokuratury Rejonowej Warszawa Śródmieście-Północ, która bez jakiejkolwiek czynności dowodowej odmawia wszczęcia postępowania karnego. W 2025 r. Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia podtrzymuje tę decyzję.

Helena Kowalik

eprasa.pl 57bf9d0787

Lody topnieją nawet zimą

Cóż za paradoks! Im więcej ropy i węgla spala się teraz, tym więcej będzie można ich wydobyć w przyszłości. Ale tylko do czasu

Grzegorz W. Kołodko

Wskutek rozpuszczania się czapy lodowej na Oceanie Arktycznym, wokół bieguna północnego, możliwe (i opłacalne) będzie wydobywanie wielu surowców mineralnych. Amerykańska Służba Geologiczna szacuje, że aż czwarta część nieodkrytych jeszcze złóż surowców energetycznych tam właśnie leży. Na wszelki wypadek w brawurowej, a zarazem perfekcyjnej z technicznego punktu widzenia operacji Rosjanie spuścili dwa batyskafy o słusznej nazwie Mir – a więc i świat, i pokój – na dno oceanu, 4200 m poniżej bieguna, i „wbili" tam swoją tytanową flagę.

Geologia i geopolityka

Niektórzy pocieszają się, że prawdopodobnie ogromne – ogromne, co nie oznacza nieprzebrane, bo takich nie ma – zasoby surowców znajdują się pod dnem Oceanu Arktycznego. Amerykańska agencja rządowa United States Geological Survey szacuje, że jakieś 30% światowych rezerw gazu oraz 13% ropy znajduje się właśnie tam. Oprócz tego w tamtych głębinach bogato zalegają złoża węgla, rudy żelaza, uranu, złota, miedzi i właśnie metali ziem rzadkich oraz kamienie szlachetne. Szacunki są amerykańskie, ale złoża – jakby tych syberyjskich nie starczało – przede wszystkim rosyjskie. Zdecydowana większość z nich – 88% według szacunków chińskich i aż 95% według duńskich – mieści się w 200-milowym pasie wyłącznej strefy ekonomicznej (zgodnie z oenzetowską Konwencją Prawa Morskiego, UNCLOS, ang. United Nations



Convention on the Law of the Sea), która przynależy do pięciu państw sięgających swymi północnymi granicami Arktyki, a zwłaszcza do Rosji.

Geopolityka przyszłej eksploatacji tych złóż wymagać będzie wielce skomplikowanych renegocjacji obecnie obowiązujących międzynarodowych ustaleń, gdyż okażą się w nowej rzeczywistości nie do utrzymania. Z natury rzeczy, czyli z geografii, dostęp do zdecydowanej większości obszaru Arktyki mają kraje tam leżące, a więc USA, Kanada, Rosja, Norwegia i Dania, której terytorium stanowi Grenlandia. Ta piątka wraz z trzema innym krajami regionu – Finlandią, Szwecją i Islandią – tworzy międzynarodowe porozumienie znane jako Rada Arktyki (ang. Arctic Council). Już wszakże szykują się do eksploatacji złóż Dalekiej Północy kraje spoza tego basenu, zwłaszcza Chiny, Japonia i Korea Południowa.

> Chiny wydają na badania arktyczne więcej niż Stany Zjednoczone.

Prywatne interesy i państwowe perspektywy

Nie powinien dziwić, choć niektórych musi zaskakiwać fakt, że Chiny wydają na badania arktyczne więcej niż Stany Zjednoczone. Czynią tak bynajmniej nie ze zwykłej wścibskości, lecz w celu pozyskania wpierw niezbędnych informacji co do istniejących zasobów, a później uzyskania możliwości ich eksploatacji. Warto też zauważyć, że w przypadku Chin badania są prawie w całości finansowane przez rząd. Pokazuje to, że pewne procesy gospodarcze rozgrywają się w przedziałach czasu, które przerastają horyzonty zainteresowania kapitału prywatnego. Jego ewentualne zaangażowanie ma miejsce tylko wtedy, gdy zagwarantowana jest pożądana stopa zwrotu w określonym czasie, a w przypadku badań arktycznych, także tych ukierunkowanych na przyszły dostęp do zasobów naturalnych, tak nie jest. Okres odroczenia efektu inwestycyjnego jest tak znaczny, że tylko państwo może być zainteresowane tym, co na razie nie jest opłacalne dla przedsiębiorstw poddanych komercyjnym rygorom rynku.

Działa tu podobny mechanizm jak w przypadku rywalizacji w sferze podboju kosmosu w trakcie zimnej wojny, kiedy to zarówno rachunek interesów, jak i perspektywy czasowe sektora prywatnego oraz państwa były różne. Z biegiem czasu potrafiono jednak znaleźć pole do

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 57bf9d0787

współdziałania. Tak też będzie i tym razem. Z tą tylko różnicą, że o ile przestrzeń kosmiczna jest wręcz nieograniczona, o tyle ta arktyczna – i każda inna ziemska – ma swoje limity. Są przeto takie obszary, na których Chiny, z relatywnie większą rolą państwa w długofalowej strategii rozwoju, mogą z czasem wyjść na swojej obecnej aktywności dużo lepiej niż Stany Zjednoczone, z relatywnie silniejszą pozycją sektora prywatnego.

Dotychczas arktyczne bogactwa były prawie całkowicie niedostępne ze względów fizycznych, ale powoli i te bariery są pokonywane, podobnie jak w przypadku innych trudnych eksploatacyjnie zasobów. Jak zawsze ułatwia to postęp techniczny, tym razem w sferze podwodnej eksploracji złóż. Bardziej jeszcze niż zbawienne nowe techniki wydobywcze do ich udostępniania przyczynia się topnienie lodów Arktyki, tym razem bynajmniej nie zbawienne. Nadmierne używanie paliw kopalnych i związana z tym szkodliwa emisja dwutlenku węgla przyczyniają się do udostępniania zasobów wcześniej nie do wykorzystania. Cóż za paradoks! Im więcej ropy i węgla spala się teraz, tym więcej będzie można ich wydobyć w przyszłości. Ale tylko do czasu…

Coraz mniejsza czapa

Pojawiają się przy tym jeszcze inne pożytki, jak chociażby możliwości żeglowania trasą na północ od Eurazji, NSR (ang. Northern Sea Route), i Ameryki, NWP (ang. Northwest Passage), co z pewnością poprawi efektywność transportu i obniży zużycie energii przez ten sektor. W 2012 r. przepłynęło nią zaledwie jakieś 50 statków, ale od czegoś trzeba zacząć. Trasa z Szanghaju do Rotterdamu skróci się w porównaniu z żeglugą przez cieśninę Malakka i Kanał Sueski o 6 tys. km – albo o trzy tygodnie – a jeszcze bardziej, jeśli będzie realne pływanie na skróty, przez biegun północny. Oczywiście, o ile do czasu nadania żegludze NSR ekonomicznego sensu na skalę komercyjną rozpuszczanie się Arktyki nie przytopi Szanghaju i Rotterdamu…

Ale nie ma się co radować z ewentualnych ułatwień transportowych. Zmiany klimatyczne i ocieplanie Ziemi, powodowane zużywaniem gigantycznej ilości paliw kopalnych w związku z gospodarczą działalnością człowieka, to obok doskwierających niedoborów surowców największy problem stojący przed ludzkością. Do tego stopnia, że od uporania się z nim zależy przyszła egzystencja rodzaju ludzkiego.

Topnienie Arktyki jest złowieszczym zwiastunem katastrofy ekologicznej, która choć nadejść nie musi, zdarzyć się może. Letnią porą północna lodowa skorupa ma masę na poziomie zaledwie 25-30% tego, co było tam w latach 80. Wtedy, w sezonie letnim, lody Arktyki stanowiły ok. 2% powierzchni Ziemi, teraz jest to o połowę mniej. Coraz węższy zatem jest chroniący nas swoisty planetarny parasol, który odbija promienie słoneczne z powrotem w atmosferę (tzw. efekt albedo).

Dostęp do większości obszaru Arktyki mają USA, Kanada, Rosja, Norwegia i Dania. Razem z Finlandią, Szwecją i Islandią tworzą porozumienie znane jako Rada Arktyki.

Topnieją nie tylko lody na północy. Kompleksowe pomiary dokonywane w stacji badawczej Byrd w środkowo-zachodniej Antarktydzie wskazują na wzrost temperatury od roku 1958 do 2010 aż o 2,4 st. C. Jeśli tak zaiste się dzieje, jest to teren o szczególnie dużej skali ocieplania klimatu. W rezultacie lody Antarktydy podnoszą poziom światowego oceanu, topniejąc nie tylko od spodu wskutek podmywania coraz cieplejszymi wodami, lecz także rozpuszczając się od góry w wyniku intensywniejszego działania coraz swobodniej docierających do powierzchni Ziemi promieni słonecznych. Kontynuacja dotychczasowego trendu w sposób nieunikniony prowadzić musi do zniknięcia lodowej czapy na północy globu i jej zmniejszenia się na południu. Bezpośrednio pociągnie to za sobą drastyczne podwyższenie poziomu mórz i oceanów (na razie było to zaledwie 11 mm w ciągu ostatnich dwóch dekad). Dalszy wzrost poziomu wód morskich oraz ich desalinacja, czyli spadające zasolenie, przyczynić się mogą do zmian w kierunkach i natężeniach prądów morskich, które decydują o klimacie Ziemi. To droga do ekologicznej katastrofy na skalę planetarną. A więc i ogólnocywilizacyjną.

Kiedy warto mieć rację

„Istotne jest nie tylko to, aby mieć rację. W toczonym sporze, w przedstawianej argumentacji, w prezentowanych wnioskach, w odniesieniu do skuteczności proponowanych działań. Ważne jest, aby tę rację mieć we właściwym miejscu i w odpowiednim czasie. To spostrzeżenie ma szczególne zastosowanie do rozmyślań ekonomicznych i szerzej, społecznych. Innymi słowy, dobrze jest mieć rację, ale najlepiej ani za późno (to te przypadki mądrego po szkodzie), ani za wcześnie. Właśnie tak; można mieć rację przedwcześnie, a dokładniej wcześniej, niż ją podzielają i doceniają inni”. To cytat z wprowadzenia do mojej książki „Błądzący świat. Absurd i rozsądek w ekonomii i polityce” (s. 10) opublikowanej w zeszłym roku. Otóż to; rację dobrze jest mieć we właściwym czasie…

Faluje otaczająca nas rzeczywistość, falują jej interpretacje. Zmieniają się sytuacje, zmieniają się opinie. Niekiedy na słuszne, jak to jest (było?) w przypadku głównego nurtu opinii o katastrofalnym procesie ocieplania klimatu wskutek gospodarczej aktywności człowieka. Innym razem – o dziwo! – na fundamentalnie błędne, kiedy to 47. prezydent USA na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ 23 września ub.r. oświadcza, że naukowo dowiedziona przez klimatologów konstatacja, iż to spalanie przez człowieka kopalnianych surowców energetycznych podgrzewa Ziemię, jest „największym oszustwem, jakie kiedykolwiek

eprasa.pl 57bf9d0787

popełniono na świecie". Donald Trump już za swojej pierwszej prezydentury usiłował wycofać USA z kompromisowego porozumienia paryskiego z wielkim trudem osiągniętego w 2015 r. Teraz, głosząc taki nonsens, dokonał dzieła i USA porzuciły ten mechanizm przeciwdziałania przegrzewaniu się klimatu.

Oczywiście rzecz nie tylko w poglądach, ale przede wszystkim w interesach, bo wyprzedziwszy Arabię Saudyjską, to akurat Stany Zjednoczone są obecnie największym na świecie eksporterem ropy naftowej oraz, wyprzedziwszy Katar, gazu. Stało się tak wskutek eksploatacji ze złóż łupkowych, co jest szczególnie szkodliwe dla naturalnego środowiska. Nie oglądając się na uboczne koszty i konsekwentnie głosząc to swoje kabaretowe *drill baby, drill!* (wierć, kochanie, wierć!), Trump 2.0 sprzyja niepohamowanemu wydobywaniu ropy i gazu. Szantażując innych wyśrubowanymi taryfami celnymi, skłania ich – od Unii Europejskiej poprzez Japonię po Indie – do importu z USA tychże surowców energetycznych. Polska też w tym uczestniczy.

Jutro, o którym pisałem przedwczoraj

Tak, mylić się zawsze jest źle, a mieć rację dobrze, ale najlepiej na czas. Pierwszy fragment tego tekstu zapożyczyłem z mojej książki „Wędrujący świat", która ukazała się w 2008 r., 18 lat temu (s. 405). Z kolei fragmenty „Geologia i geopolityka", „Prywatne interesy i państwowe perspektywy" oraz „Coraz mniejsza czapa" to dosłowne cytaty z książki „Dokąd zmierza świat. Ekonomia polityczna przyszłości", która ukazała się w 2013 r., pół pokolenia temu (s. 234-237). Nie bez znaczenia jest też fakt, że książki te opublikowane zostały w kilkunastu językach.

Nadal jestem przekonany, że prezentując takie poglądy, miałem rację. Ale może nie we właściwym czasie? Zbyt wcześnie? Przecież teraz nawet w Unii Europejskiej i Polsce głosy przeciwstawiające się zielonej, proekologicznej transformacji ratującej Ziemię przed przegrzaniem coraz bardziej się przebijają na wierzch. Może nie są jeszcze tzw. głównym nurtem (przez złośliwców określanym jako główny ściek...), ale nie są też li tylko marginesem dyskursu publicznego. Płaskoziemcy górą?

Szantażując innych wyśrubowanymi taryfami celnymi, Trump skłania ich do importu z USA tychże surowców energetycznych. Polska też w tym uczestniczy.

Grzegorz W. Kołodko – profesor ekonomii, wykładowca Akademii Leona Koźmińskiego, wicepremier i minister finansów w latach 1994-1997 i 2002-2003. Najczęściej na świecie cytowany polski ekonomista. Niedawno nakładem Wydawnictwa Naukowego PWN ukazała się jego książka „Trump 2.0. Rewolucja chorego rozsądku"

XIX edycja Nagrody im. Andrzeja Potoka

Andrzej Potok to legenda ruchu studenckiego, współzałożyciel Krakowskiego Jazz-Klubu Helikon, kierownik klubu Nowy Żaczek, inicjator „Spotkań z balladą", współorganizator i przewodniczący Komitetów Organizacyjnych Ogólnopolskich Festiwali Piosenek i Piosenkarzy Studenckich (obecnie Studencki Festiwal Piosenki), Konkursu Inicjatyw Kabaretów Studenckich KIKS i wielu innych.

Nagroda jest swoistym Oscarem przypominającym fenomenalne zjawisko, jakim w latach 60., 70. i 80. była kultura studencka. Honoruje jej twórców i animatorów. Nagrodę przyznaje kapituła, której przewodniczącym jest Janusz Gast. A uroczystą galę organizuje Fundacja Ogólnopolskiej Komisji Historycznej Ruchu Studenckiego, kierowana przez prof. Krzysztofa Szamałka.

Kapituła wskazała piątkę laureatów: Agnieszkę Duczmal, Krzysztofa Jasińskiego, Magdę Umer, Zenona Laskowika i Elżbietę Wojnowską.

W imieniu Zenona Laskowika, który nie mógł przyjechać do Warszawy, nagrodę odebrała jego córka. W imieniu Magdy Umer, która odeszła 12 grudnia 2025 r. – jej syn.

(RW)



FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 57bf9d0787

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Śmierć psa jest polityczna

Niemal nigdy nie przywołuję swoich okazjonalnych wpisów czy komentarzy w mediach społecznościowych, żyją innym życiem, jeśli to w ogóle jest życie. Ale tym razem było inaczej, moja krótka notka niosła się jak wezbrany wiosną górski potok. W krótkim czasie prawie 1 tys. reakcji, mnóstwo komentarzy. Nie jestem w stanie przypomnieć sobie podobnej dynamiki, kiedy poruszę temat „ważny".

Ten felieton będzie zatem bardzo osobisty, musi taki być, dlaczego miałby udawać coś innego? W ubiegłym tygodniu wrzuciłem wraz z kilkoma fotkami krótki wpis: „Zaginiona Lomi, ukochana charcica mojej córki R. i wnuczek I. i W., została właśnie znaleziona – martwa, 200 m od domu. Została zabita przez mistrza kierownicy, który musiał potwornie pędzić, tak że psa wraz z płotem wyrzucił 6 m od pobocza. I ja Lomi kochałem, mieszkała ze mną prawie cały grudzień. Była mądra, opiekuńcza, szybka i piękna. We wcześniejszym życiu przeszła inne ludzkie piekło, wykorzystywano ją do kłusowania, kiedy złamała nogę, została cudem odratowana i uzdrowiona. Wielki żal i smutek. Płaczemy".

Historia, jakich na polskich drogach tysiące. Obok tych, które ostatnio obiegły Polskę, choćby za przyczyną celebryckiego zainteresowania Dody, a które ujawniają potworność procederu przetrzymywania i zarabiania kroci na bezdomnych, sponiewieranych psach. Z jakim oporem pojawiają się w polskim prawie przepisy rozszerzające reguły dobrego traktowania zwierząt. O myśliwych w tym tekście zmilczę. Ustawa łańcuchowa, zakazująca przetrzymywania psów na łańcuchach lub ograniczająca tę możliwość, przeszła przez Sejm, ale została zawetowana przez prezydenta, który nie bez racji zauważył w uzasadnieniu, że „choć intencja wzmocnienia ochrony zwierząt jest słuszna i szlachetna, to – jego zdaniem – przepisy były źle przygotowane, a proponowane w ustawie normy dotyczące kojców całkowicie nierealne do spełnienia".

Kojec, czyli klatka, potrafi być jeszcze bardziej opresyjną formą nękania zwierząt. Jak często w podobnych kwestiach, zderzają się ze sobą argumenty marne i warte odnotowania, emocjonalne i dziwaczne. Oddzielanie domowego zwierzęcia od świata, od kontaktu z innymi zwierzętami, z ludźmi, musi nieść zarówno cierpienie, jak i – w konsekwencji – trudności adaptacyjne. Żyjemy wciąż w okrutnym biblijnym paradygmacie bezdyskusyjnej ludzkiej dominacji, gdzie zwierzęta, w tym te jakże bliskie nam „pieski", są traktowane jak przedmiot, jak alarm na podwórku, jako coś. Zabicie (nie żadne potrącenie) zwierzęcia na drodze jest wszak tylko kolizją, jak walnięcie w płot, lampę czy inne auto. Życie zwierzęcia, jego uczucia, ból, przeżywanie świata znikają niewidoczne.

Znaczna część z nas, „posiadając" zwierzęta (a może żyjąc z nimi?), myśli o swoich pupilach jak o szczególnych przypadkach. Podobnie było z Lomi, ośmioletnią charcicą, od sześciu lat w rodzinie. Wcześniej, jak napisałem, była wykorzystywana do kłusowania, co częste dla tego gatunku. To nie był jej pomysł na życie, to człowiek ją do tego zmusił. Kiedy pies w takiej roli doznaje kontuzji, najczęściej oznacza to dla niego/niej wyrok śmierci. Tę sukę udało się odratować, drogie i skomplikowane operacje dały jej nowe życie, potem dom i kolejne relacje – z ludźmi, z innymi psami, ze światem. Była łagodna, czuła, nie wchodziła w konflikt z agresywnymi osobnikami, zahukanym pieskom dodawała odwagi i pewności siebie. Była, krótko mówiąc, cudna i bezproblemowa. To oczywiście nie stawia jej wyżej w prawie do życia. Umiała się zachować i w dużym mieście, i na wsi, gdzie na co dzień żyła. Zbiegiem kilku okoliczności któregoś wieczoru wymknęła się z domowego obejścia i udała na wędrówkę, z której już miała nie wrócić.

Została znaleziona martwa kilka dni później, dwa kroki od domu. Widok zmasakrowanego psa, do którego miało się bardzo bliski, osobisty stosunek, zostanie już zawsze ze mną. Siła uderzenia musiała być ogromna. Dom naprzeciwko miał monitoring, sąsiad odnalazł zapis. Kierowca pędził, hamował dopiero po uderzeniu zwierzęcia. Nie zatrzymał się. Nie sprawdził, czy żyje, czy wymaga pomocy. Pognał w noc. Wioska to wioska. Po kilku dniach podjechał do domu właścicielki. Żadnego przepraszam, przykro mi, jedyną frazą było: „Mam szkodę, myślałem, że to sarna". Niewykluczone, że będzie chciał odszkodowanie. Ponieważ odjechał (zbiegł z miejsca kolizji), wedle prawa nie będzie mu się należało.

Ale przecież prawdziwe szkody ponieśli inni, ci, którzy psem się opiekowali, bawili z nim, zarówno dzieci, jak i dorośli, inne psy, inne zwierzęta. Młody kierowca widział tylko szkodę swojego auta. Wymiar wykroczenia, które popełnił, był dla niego enigmą. Cierpienie psa i bliskich – jakąś fanaberią. To tylko pies. Ludzkie wspólnoty oceniamy często po tym, jak traktują słabszych uczestników życia, kiedyś wreszcie dołączą też do nich zwierzęta, którym na niewyobrażalną skalę wyrządzamy krzywdy i zadajemy cierpienie i śmierć.

Naszą Lomi kochaliśmy bardzo i nigdy o niej nie zapomnimy. Mogliśmy ją kochać jeszcze długo. Tak nie musiało być. Dzięki Ci, cudny psie, za wszystko. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 57bf9d0787

Historia w służbie Kremla

Kojarzony w Polsce z pierestrojką Gorbaczowa historyk Roj Miedwiediew u schyłku stuletniego życia był apologetą Władimira Putina



Roj Miedwiediew zmarł 13 lutego 2026 r.

Krzysztof Pilawski

„(...) Bardzo trudno być historykiem w Moskwie, jeśli chce on studiować realną historię swego kraju, a nie kolejne zalecenia instancji władczych", pisał w przedmowie do polskiego wydania „Ludzi Stalina" Roj Miedwiediew. Jego książkę w 50-tysięcznym nakładzie wydał Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, oddano ją do druku 7 lipca 1988 r., prawie cztery miesiące przed debatą telewizyjną Miodowicz-Wałęsa. Do księgarń w Polsce trafiła w tym samym roku co w Związku Radzieckim. Wcześniej wydano ją tylko w USA, w Wielkiej Brytanii, we Włoszech i w Jugosławii.

Ukazanie się w oficjalnym obiegu ZSRR „Ludzie Stalina" zawdzięczali, jak przyznawał po latach Roj Miedwiediew, polityce głasnosti/jawności Michaiła Gorbaczowa. To dzięki niej w 1989 r. historyk uzyskał mandat deputowanego Rady Najwyższej ZSRR, dzięki niej przywrócono go w prawach członka Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego – został z niej wygnany 20 lat wcześniej za rękopis książki „Pod osąd historii. Geneza i następstwa stalinizmu" (po raz pierwszy ukazała się drukiem w 1974 r. w nowojorskim wydawnictwie Alfred A. Knopf).

Nigdy więcej zbrodni i terroru

Potępienie stalinizmu i jego następstw było jednym z naczelnych haseł wielotysięcznych manifestacji w ZSRR. Na wzburzonej demokratycznej fali powstało stowarzyszenie Memoriał zajmujące się badaniem zbrodni stalinowskich. Radzieccy historycy w czasie kwerend archiwalnych odnaleźli m.in. dokumenty związane ze zbrodnią katyńską. Uczynili to, zanim 13 kwietnia 1990 r. agencja TASS oficjalnie poinformowała, że zbrodni katyńskiej dokonało NKWD, Michaił Gorbaczow zaś przekazał część kopii dokumentów w tej sprawie Wojciechowi Jaruzelskiemu. Dwa lata później, już po rozpadzie ZSRR, kluczowe dokumenty katyńskie, w tym rozkaz z 5 marca 1940 r., otrzymał od ówczesnego głównego archiwisty Rosji Lech Wałęsa. W 1995 r. uczestniczyłem w uroczystości położenia przez prezydenta RP kamienia węgielnego pod budowę cmentarza w Katyniu.

Gwarancją przed powrotem totalitaryzmu miało być przestrzeganie zasad państwa prawa. Mówił o tym z trybuny Zjazdu Delegatów Ludowych ZSRR kilka dni po masakrze na pekińskim Placu Niebiańskiego Spokoju Andriej Sacharow. Wśród tych zasad na pierwszym miejscu wymienił wolność słowa. Historycy i zajmujący się przeszłością publicyści korzystali z niezwykłej szansy – nigdy wcześniej ani potem rosyjskie archiwa nie otwarły się tak szeroko jak u schyłku XX i na początku obecnego stulecia.

Jeszcze w pierwszej dekadzie władzy Władimira Putina zmagano się z upiorami stalinizmu. W 2010 r. Duma Państwowa większością głosów – 342 za, 57 przeciw – przyjęła uchwałę stwierdzającą, że zbrodnia katyńska została dokonana „na mocy bezpośredniego rozkazu Stalina i innych radzieckich przywódców". Przy okazji wyrażono nadzieję, że relacje między Rosją i Polską będą się rozwijać na podstawie wspólnych demokratycznych wartości.

Wiosną 2007 r., w okresie gdy rząd Jarosława Kaczyńskiego przekształcił historię w oręż do rozprawienia się z wrogami, rozmawiałem w Warszawie („Przegląd" z 24 czerwca 2007 r.) z ówczesnym ministrem kultury Rosji, jednym z założycieli kanału Kultura, który zainspirował także

eprasa.pl 57bf9d0787

rodzimą TVP, Michaiłem Szwydkojem. Odnosząc się do sytuacji w Polsce, minister powiedział: „Na szczęście w Rosji nie ma historyka, który byłby oficjalnym historykiem współczesnego państwa rosyjskiego. Historyka mającego monopol na interpretację przeszłości. W Rosji nie ma Instytutu Pamięci Narodowej. W naszym kraju każdy obywatel jest instytutem pamięci narodowej. Dlatego podobna placówka jest zbędna. W Rosji jest miejsce na wiele interpretacji historii. Różnice są widoczne nawet w podręcznikach szkolnych rozmaitych autorów. (…) Żaden historyk w Rosji nie może powiedzieć: tylko ja mam prawo interpretowania historii, mam monopol na historię. Nie znam sytuacji w Polsce. Nie wiem, czy powołanie Instytutu Pamięci Narodowej zwiastuje pojawienie się oficjalnego, państwowego punktu widzenia na wydarzenia z przeszłości. W Rosji nie ma takiego oficjalnego punktu widzenia. Historia nie została upaństwowiona".

Obecnie Szwydkoj, wciąż ważny rosyjski polityk i zagorzały putinista, nie powtórzyłby wypowiedzianych wówczas słów.

Tysiące ton makulatury

Wielka smuta – upadek gospodarczy, społeczny, moralny – pod rządami Borysa Jelcyna wywołała masową ucieczkę Rosjan od wolności. Putin odpowiedział na zapotrzebowanie na przywódcę, który byłby przeciwieństwem Jelcyna: wodza roztaczającego opiekę nad obywatelami, zaprowadzającego żelazną ręką ład i porządek, odbudowującego pozycję Rosji jako mocarstwa, którego interesy najważniejsze światowe stolice muszą respektować.

Demaskator stalinizmu Roj Miedwiediew także ujrzał w Putinie wybitnego przywódcę. Poświęcił mu swoje książki, w tym 700-stronicową biografię „Władimir Putin". W styczniu 2008 r. deputowany Zebrania Ustawodawczego Petersburga Borys Wiszniewski na łamach „Nowoj Gaziety" zaliczył Roja Miedwiediewa do największych wielbicieli Putina. Przytoczył fragmenty jego tekstów, z których wynikało, że prezydent Rosji nigdy się nie myli, zawsze postępuje słusznie. Wiszniewski tak podsumował prace historyka: „To wszystko już było: tysiące ton makulatury podobnego typu na temat dziadka Lenina, towarzysza Stalina i »naszego drogiego Leonida Iljicza [Breżniewa]« wypełniały półki bibliotek. A potem bezlitośnie trafiały na śmietnik".



Borys Wiszniewski z hasłem „Za waszą i naszą wolność", które zrodziło się w Warszawie w czasie powstania listopadowego.

Od tego czasu minęło wiele lat, półki księgarń i bibliotek uginają się pod ciężarem tomów napisanych przez apologetów prezydenta. Próżno na nich natomiast szukać zbioru tekstów i notatek z lat 2008-2015 Wiszniewskiego, weterana ruchu demokratycznego w czasie pierestrojki. Sąd uznał jego książkę za publikację ekstremistyczną. Powód: stwierdzenie, że w Rosji dokonuje się faszyzacja, nazwanie jej „imperium obłudy" oraz wzywanie do obalenia konstytucyjnego ustroju na drodze przemocy.

Borys Wiszniewski, laureat nagrody Złote Pióro Rosji, nie publikuje już w „Nowoj Gazietie" – została zamknięta po agresji Rosji na Ukrainę. Ten jeden z najpopularniejszych polityków Petersburga nie zasiada w Zgromadzeniu Ustawodawczym – zgodnie z ustawą musiał złożyć mandat, gdy trafił na listę agentów zagranicznych.

Upiory totalitaryzmów

Stowarzyszenie Memoriał zostało zlikwidowane wkrótce po agresji na Ukrainę, co najmniej kilku jego dawnych członków odbywa kary w więzieniach. Na pierwszej opublikowanej w 2026 r. liście agentów zagranicznych znalazł się historyk amerykanista z Wołgogradu Iwan Kuriłła. W 2024 r. laureata prestiżowych nagród zwolniono z pracy na miejscowym uniwersytecie. W 2010 r. podpisał apel „Putin powinien odejść", w 2022 r. – list otwarty potępiający agresję na Ukrainę.

Gwarancją przed powrotem totalitaryzmu miało być przestrzeganie zasad państwa prawa.

Wymieniając nazwiska Wiszniewskiego i Kuriłły w mediach, także społecznościowych, należy dodać:

FOT. EAST NEWS, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 57bf9d0787

wpisany przez Ministerstwo Sprawiedliwości na listę agentów zagranicznych. W przeciwnym razie sąd wyznaczy autorowi odpowiednio wysoką grzywnę lub okres pobytu za kratami.

Definicja agentów zagranicznych jest stale rozszerzana, grożące im kary zaostrzane, odziera się ich z praw obywatelskich, godności, człowieczeństwa. Duma Państwowa w pocie czoła uchwala kolejne ustawy w sprawie agentów zagranicznych. Jej przewodniczący Wiaczesław Wołodin opowiedział się za pozbawieniem ich emerytur: „Co się u nas dzieje? Człowiek, który zdradził kraj, chodzi po Paryżu, a emeryturę otrzymuje z Rosji. Trzeba ją przelewać na specjalne konto. Jak chce dostawać, niech przyjeżdża do kraju, odpowie zgodnie z »zasługami«. A potem być może emerytura nie będzie potrzebna, bo w miejscach, wiadomo jakich, gdzie trzeba pracować, karmią bezpłatnie".

Roj Miedwiediew nie użalał się nad sytuacją „agentów", porównywanie działania służb specjalnych do okresu stalinowskiego nazywał antyrosyjską propagandą. „Obecnie nie ma u nas represji politycznych. Są sprawy karne, które wszczyna się m.in. przeciwko opozycjonistom. (...) Najczęściej te oskarżenia są uzasadnione", przekonywał w wywiadzie udzielonym gazecie „Moskowskij Komsomolec" przed setnymi urodzinami, które obchodził 14 listopada 2025 r. Mówił, że dobrze mu się żyje w obecnej Rosji: „Podoba mi się moja starość. Państwo o mnie myśli, dużo pracuję i piszę. Mam ładny dom. Cieszę się szacunkiem, często publikuję, napisałem kilka książek. Dobrze się odżywiam, troszczą się o moje zdrowie. Nawet Putin trzy razy wysłał mnie do sanatorium".

Roj Miedwiediew zmarł 13 lutego. Władimir Putin nie przyszedł na jego pogrzeb, ograniczył się do lakonicznego wpisu na prezydenckiej stronie internetowej. Mimo okazywanego prezydentowi uwielbienia, bezgranicznego poparcia dla agresji na Ukrainę Miedwiediew do końca życia nie wyparł się krytycznej opinii o Stalinie. W wywiadzie dla „Moskowskowo Komsomolca" stwierdził, że popełniał on zbrodnie: „I tych zbrodni, rzecz jasna, nie wolno przebaczać, przecież ucierpiały miliony ludzi".

Krzysztof Pilawski

Roj Miedwiediew mimo okazywanego prezydentowi uwielbienia i poparcia dla agresji na Ukrainę nie wyparł się krytycznej opinii o Stalinie.

Szerzej o polityce historycznej Rosji autor pisał w przygotowanej wspólnie z dr. Holgerem Polittem książce „Ein Krieg, der keiner sein sollte", VSA, Hamburg 2023



eprasa.pl 57bf9d0787

Bankructwo i nędza systemu

Afera Epsteina pokazuje, jak działa od środka lobbing – esencja systemu mającego generować zyski

Radosław S. Czarnecki

Afera Epsteina wpisuje się w klimat systemu politycznego i biznesowego w Stanach Zjednoczonych, które są hegemonem *orbis terrarum*. Śledząc wszystko, co jej dotyczy, nie zwraca się uwagi na jeden zasadniczy aspekt. Nie chodzi o etyczno-moralny, zbrodniczy wymiar tej afery. Ani o to, że są w nią zaangażowane czołowe osobistości świata polityki, finansów, bankowości, show-biznesu czy najszerzej rozumianej sfery lobbingu. Chodzi o genezę tej i podobnych afer i o to, co je napędza.

Takich wysp Epsteina, umownie mówiąc, choć może nie w tak drastycznej i obmierzłej formie, jest mnóstwo. To istota dzisiejszego systemu kapitalistycznego w jego skrajnej, zdegenerowanej już, neoliberalnej formie. Ze wszystkimi wynaturzeniami, zwłaszcza religijnym kultem rynku i zysków megakapitału. Rządzą tu wyłącznie pieniądz oraz towarzyszące jemu i zyskom pojęcia rentowność i skuteczność, napędzające chciwość i egoizm. Dzisiejszy stan doskonale tłumaczy sentencja jednej z koryfeuszek neoliberalizmu, Margaret Thatcher: *There is no alternative* (słynny akronim TINA), nie ma żadnej alternatywy, to jest dogmat i tak ma być na zawsze.

Afera Epsteina pokazuje, jak działa od środka lobbing, który jest esencją całego systemu mającego generować zyski. Zakulisowe układy, półtajne i zakonspirowane umowy, pakty, zgniłe kompromisy, ustępstwa i polisy – tak by wszyscy byli zadowoleni. Czyli żeby rosły aktywa, kapitał się pomnażał, a wskaźniki na Wall Street szły do góry. Media o tym będą informować, a nie o tym, co stoi za wszystkimi tymi osiągnięciami. Bo przecież tego typu poważne negocjacje i ustalenia o globalnym wymiarze powinna uświetniać rozrywka godna elit i możnych tego świata. Doskonale tę sytuację przedstawił prof. Aleksander Krawczuk w swoim dorobku dotyczącym kultury i sytuacji elit rządzących Rzymem w IV-V w. n.e. Wtedy to Imperium Romanum, jedyny w antycznym świecie hegemon, chyliło się ku całkowitemu upadkowi.

Lobbyści, politycy, posiadacze kapitału, inwestorzy i celebryci oraz topowi członkowie show-biznesu – w blasku których elity chętnie się grzeją (z wzajemnością) – potrzebują kolorowych, bezrefleksyjnych środków masowej komunikacji. A konsumenci mediów ochoczo to łykają.

Chodzi o doraźną walkę polityczną. Prawda i ofiary są tu niestety w tle.

Doskonale sytuację, w jakiej znalazł się zaoceaniczny hegemon, do niedawna nasz i Europy najważniejszy partner i sojusznik, pokazało przesłuchanie przed kongresową komisją ds. tej afery prokuratorki generalnej USA Pam Bondi. Nie chodzi o samo przesłuchanie, tak jak u nas jest to teatr, przedstawienie dla opinii publicznej, starcie dwóch wrogich obozów politycznych dziś już usadowionych w okopach Świętej Trójcy, czyli starcie na absolutne unicestwienie rywala. Dużo było zapewnień o prawdzie, etyce i wartościach, ale tak naprawdę chodzi o doraźną walkę polityczną. Prawda i ofiary są tu niestety w tle. I m.in. dlatego ta afera, o której wiedziano od przynajmniej dwóch dekad, teraz na kanwie politycznego starcia na śmierć i życie okazuje się najważniejsza w polityce amerykańskiej. W jednym z wywiadów Bondi na pytanie, dlaczego nikogo do tej pory nie aresztowano i nikomu oficjalnie nie postawiono zarzutów, odpowiedziała szczerze: musielibyśmy zamknąć wszystkich.

W ostatnim słowie podczas przesłuchania, agresywnym i cynicznym, Bondi powiedziała, że za tę sytuację odpowiada też Kongres, niezwracający od wielu lat uwagi na aferę. Co wy chcecie? – zapytała. – Dziś wskaźniki giełdowe (Dow Jones, NASDAQ, NYSE itd.) są na najwyższym poziomie od lat, ludzie kupują, emerytury rosną, są wypłacane, stacje benzynowe sprzedają benzynę, samochody i autobusy jeżdżą normalnie. Chcecie wsadzić do więzień tych, którzy swoim kapitałem, myślą i działaniami to spowodowali i trzymają nad tym pieczę? To oznaczałoby „zgaszenie tego światła", powrót do stanu degrengolady, gdyż system wtedy totalnie się załamie.

Odpowiedzią na pytanie, dlaczego do tego zbrodniczego procederu na tak masową skalę – stanowiącą esencję współczesnego kapitalizmu z neoliberalną maską – mogło dojść i jak to unieważnia tezę Maxa Webera o znaczeniu protestantyzmu, jego etyki i wartości dla rozwoju i funkcjonowania kapitalizmu, jest teza wysunięta przez Emmanuela Todda w książce „Klęska Zachodu". Chodzi o prawdziwą, nierozumianą powszechnie przez lata, naturę Ameryki, o jej oligarchiczność (de facto to już jest plutokracja) i nihilizm. Trump nie jest kreatorem tego systemu, on jest wisienką na torcie tej struktury i procesów zachodzących w niej od dekad. Kiedyś taki stan określano zapomnianym niesłusznie pojęciem dekadencja. Odniesionym do wszystkich, nie tylko etyczno-moralnych i estetycznych, wymiarów realności. ■

eprasa.pl 57bf9d0787

Rozmawia
Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

Więcej Europy

Jedynym ratunkiem dla Starego Kontynentu jest federalizacja



EMILIANO FITTIPALDI
– redaktor naczelny włoskiego liberalno-lewicowego dziennika „Domani”

Poznaliśmy pana jako autora książki „Avarizia” (2015, w Polsce „Chciwość”, 2023) o skandalach finansowych w Watykanie. Watykan postawił pana przed sądem wraz z Gianluigim Nuzzim, autorem książki „Via Crucis”. Obaj zostaliście uniewinnieni. Dziś jest pan redaktorem naczelnym dziennika „Domani”, założonego przez Carla De Benedettiego, fundatora „La Repubbliki”. Jak pan się czuje w tej roli?

– Wywodzę się z dziennikarstwa śledczego, wcześniej pracowałem w tygodniku „L’Espresso”, zajmując się reportażami śledczymi oraz pisząc artykuły i książki. Niestety, we Włoszech dziennikarstwo śledcze nie cieszy się dużym powodzeniem. Zadanie powierzone mi przez Carla De Benedettiego nie było łatwe. To praca innego rodzaju, jednak staram się dawać z siebie wszystko. W „Domani” zachowujemy profil gazety śledczej, przykładając dużą wagę do pogłębionej analizy i publikując nowe, zweryfikowane informacje, a nie jedynie komunikaty przekazywane przez rząd czy środowiska polityczne. Tworzymy gazetę bardzo krytyczną wobec rządu. To trudny moment, ponieważ główny nurt mediów przesunął się w stronę bardziej ugodowych i mniej krytycznych stanowisk. Niektóre gazety we Włoszech, w tym nasza, narażone są na ciągłe ataki i pozwy, a nawet dochodzenia wymiaru sprawiedliwości. Dziś wszystko stało się trudniejsze, od poszukiwania źródeł po ich ochronę.

Jak opisałby pan stan włoskiej demokracji pod rządami Giorgii Meloni?

– To faza przejścia od demokracji liberalnej – albo przynajmniej aspirującej do takiej formy – ku jej regresowi. Włoska demokracja jest jeszcze młoda, powstała w 1945 r. i nie ma stabilności historycznych demokracji liberalnych, takich jak Stany Zjednoczone, Francja czy Wielka Brytania. Rząd Giorgii Meloni silnie zaakcentował „demokrację wodza”. Inni nazywają to demokraturą, na wzór Orbána: systemem, w którym rząd decyduje o wszystkim, a każdy, kto mu się sprzeciwia, staje się wrogiem ojczyzny. Parlament – mimo że włoska demokracja jest parlamentarna – ma niewielkie znaczenie. Nawet posłowie i senatorowie większości mogą jedynie nacisnąć przycisk, aby zatwierdzić dekrety rządu; ich rola w praktyce jest ograniczona.

Tak zwany *deep state*, który przez lata stanowił istotny element demokracji – mam na myśli technokrację – został zepchnięty na margines. Wobec wymiaru sprawiedliwości prowadzi się bardzo ostrą politykę: jest on postrzegany już nie jako przeciwwaga dla władzy państwowej, jak w demokracjach liberalnych w duchu Monteskiusza, lecz jako struktura, którą należy ograniczyć i podporządkować władzy wykonawczej. Dokonuje się to zarówno poprzez codzienne działania wobec sędziów i prokuratorów, jak i przez próbę reformy konstytucyjnej, moim zdaniem wyjątkowo niebezpiecznej. Ostatecznym celem, niewypowiedzianym wprost, byłoby podporządkowanie prokuratury, czyli działań karnych i śledczych, kontroli rządu.

Referendum dotyczące wymiaru sprawiedliwości przerodziło się w ostre starcie polityczne. Co tak naprawdę jest stawką?

– W grze jest trójpodział władzy. Postfaszystowska prawica zawsze

eprasa.pl 57bf9d0787

uważała za fundamentalne, by rząd rozkazywał, nie tylko rządził. W języku włoskim to dwa różne czasowniki. Mam nadzieję, że włoska demokracja okaże się na tyle silna, by przezwyciężyć ten kryzys, i da odpowiedź już w tym referendum.

Meloni chce rozkazywać, a żeby to robić, potrzebna jest niemal absolutna kontrola, tak jak w przypadku Orbána czy Erdoğana. Nie są dyktatorami, bo zostali wybrani demokratycznie, ale można w ich kontekście użyć terminu demokratura. Być może ktoś skrzywi się na to słowo, ale chodzi o pozorną demokrację.

sygnał sprzeciwu wobec wszelkich zmian konstytucji. 22 marca głosujemy w rzeczywistości w kwestii politycznej.

Giorgia Meloni zdecydowała się poprzeć Radę Pokoju Donalda Trumpa mimo wątpliwości konstytucyjnych i zastrzeżeń Europy.

– Interpretuję ten ruch jako sygnał wasalnej postawy Meloni i jej podporządkowania wobec Trumpa. Po pierwsze, to organ wymyślony przez Trumpa – coś w rodzaju jego osobistej ONZ, do której wszyscy przystępujący mieliby w ciągu najbliższych trzech lat wpłacić miliard dolarów.

Włosi czytają bardzo mało. Liczba osób kupujących prasę drukowaną jest dziś minimalna.

Wszystkie instytucje, jak w demokracjach liberalnych, formalnie pozostają na swoim miejscu, jednak funkcjonalnie równowaga władzy już nie istnieje.

O to właśnie toczy się dziś we Włoszech gra w związku z referendum. Nie jestem przeciwny rozdziałowi ścieżek kariery sędziów i prokuratorów, ale referendum idzie znacznie dalej. Przekształca organ samorządu sędziowskiego, dzieląc go na dwa, przyznaje większą władzę politykom i wprowadza losowanie przedstawicieli sędziowskich – czego nie ma w żadnym innym systemie na świecie. Nie istnieją też modele z dwiema odrębnymi radami sądownictwa, w których prokuratorzy nie podlegają ministrowi sprawiedliwości – w innych systemach tak właśnie jest. W przeciwnym razie sędziowie mieliby nawet większą władzę niż obecnie.

Czy to potrzebna reforma, czy raczej ma charakter rozliczeń między polityką a sądownictwem?

– W tym referendum stawką jest kluczowa część równowagi władz we Włoszech. Ma ono też wymiar polityczny i dotyczy przyszłych wyborów. Jeśli będzie przewaga „tak", Meloni zyska ogromny impuls do zwycięstwa w wyborach parlamentarnych za rok. Jeśli przeważy „nie", niezależnie od kwestii technicznych i demokratycznych, byłby to wyraźny

Nawet ci, którzy uczestniczą w tym jedynie jako obserwatorzy – jak Włochy – muszą się podporządkować hierarchii, na której szczycie stoi Trump jako ostateczny decydent. W praktyce wszystkie decyzje należą do niego. Nawet rada palestyńska, podporządkowana bezpośrednio Radzie Pokoju, nie miałaby realnej władzy – decyzje Palestyńczyków we własnym domu nie miałyby znaczenia.

Giorgia Meloni nie potrafi powiedzieć Trumpowi „nie". Jeśli musi wybierać między Europą a Trumpem, zawsze wskaże Trumpa.

Państwa – a właściwie ich przedstawiciele – które weszły w skład Rady Pokoju, to w większości dyktatury lub demokracje nieliberalne. To nie jest miejsce dla Włoch. Meloni zastosowała jednak wybieg: prezydent Mattarella nie zgodził się na naruszenie konstytucji, bo art. 11 nie pozwala Włochom zasiadać w organach, w których nasze państwo byłoby podporządkowane innemu państwu lub władzy rządowej. Dlatego wymyślono udział w charakterze obserwatora – aby zadowolić Trumpa, nie łamiąc formalnie konstytucji. To typowy dla Meloni ekwilibrystyczny manewr, który pokazuje, że nie potrafi ona powiedzieć Trumpowi „nie". Jeśli musi wybierać między Europą a Trumpem, zawsze wskaże Trumpa.

Meloni powtarza, że buduje most między Europą a Ameryką.

– Most między Europą a Ameryką został zniszczony, wręcz zbombardowany przez Trumpa. Narracja Meloni jest fałszywa. Od początku premier dokonała jasnego wyboru: być sojuszniczką Trumpa. Nie rozumiem jednak, jakie są w tym włoskie interesy. Widzę za to osobiste interesy polityczne Meloni. Nie rozumiem też, jaki cel ma odgrywanie roli wasala wobec prezydenta USA, który traktuje rynek atlantycki jak teren drapieżników – bierze, nie daje, nie wymienia. Europa ma się podporządkować prawom, które Trump ustanawia na swoją korzyść. Dobrze to widać na przykładzie ceł. Europa jest zmuszana do kupowania broni, ropy i gazu z USA pod groźbą sankcji. Trump grozi Grenlandii, jest przyjacielem Putina i od pierwszego spotkania w Białym Domu systematycznie atakuje Zełenskiego. Twierdzi, że Rosja nie jest wrogiem Europy. Meloni działa podobnie jak Orbán czy Fico – w interesie Trumpa, choć tamci jednocześnie działają w interesie Putina. Meloni nie jest więc neutralna.

Podczas konferencji monachijskiej kanclerz Niemiec Friedrich Merz stwierdził, że „kultura MAGA do nas nie należy". Jakie dziś zagrożenia dla Europy wynikają z międzynarodówki suwerenistycznej i populistycznej związanej ze środowiskiem MAGA?

– W odpowiedzi premier Meloni od razu oświadczyła: „Nie podzielam krytyki kanclerza Merza wobec kultury MAGA". Bycie zwolenniczką tej kultury i jej obrona oznaczają akceptację zabójstw dokonanych przez ICE oraz masowych deportacji bez procesu, a także zgodę na skrajny rasizm – doszło do tego, że Trump opublikował zdjęcie państwa Obamów przedstawionych jako małpy. To jest „kultura" MAGA. Pojawiają

FOT.AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 57bf9d0787

się również groźby wobec Panamy. Wątpliwości budzi sposób pojmania Nicolása Madura – prezydenta innego państwa, nawet jeśli można go określić jako „barona narkotykowego". Podobnie problematyczna jest możliwa interwencja w Iranie. Nawet jeśli wydaje się uzasadniona – to naruszenie granic i zasad suwerenności. We Włoszech mamy więc premier, która prezentuje poglądy ekstremistyczne, zbliżone do przekonań Trumpa i jego administracji.

Sytuacja międzynarodowa bardzo się zmieniła: wojna w Ukrainie trwająca od czterech lat, napięcia transatlantyckie, powrót nacjonalizmów. Jak powinna się zachować UE, aby nie utracić znaczenia strategicznego?

– Trzeba rozważać, czego byśmy chcieli w sferze marzeń, a co jest naprawdę możliwe do zrealizowania. Moim marzeniem jako europeisty jest Europa federalna, czyli państwa, które w pewnym stopniu przestają się skupiać wyłącznie na własnych interesach narodowych i zaczynają przekazywać władzę do Brukseli. Oznacza to działanie jak najszybciej, w ciągu najbliższych 30 lat, ponieważ aby Europa mogła się zjednoczyć jeszcze bardziej – nie tylko pod względem gospodarczym, ale też wartości i obrony – potrzebne są długie procesy. Nie sprzeciwiam się wzmocnionej obronie europejskiej ani inwestycjom w bezpieczeństwo. Uważam je za konieczne, zwłaszcza jeśli chcemy wreszcie być bardziej niezależni od Ameryki, która chroni nas od 80 lat. Myślenie, że prawie 500 mln Europejczyków nadal musi być chronionych przez 350 mln Amerykanów, jest szalone. Ważne, aby Europa sama się broniła, ale nie na poziomie narodowym.

Czyli jak?

– Dziś nadal inwestujemy w obronę narodową, z systemami bardzo różnymi w poszczególnych krajach, różną bronią i odmiennymi systemami cyfrowymi. To nonsens, jeśli mamy wspólnych wrogów. Problem w tym, że wciąż istnieją podziały wewnętrzne. Mamy rząd centroprawicowy, z Ligą Mattea Salviniego uważającą Putina za wzór lepszy niż nasz prezydent Mattarella. Marine Le Pen była finansowana przez rosyjskie firmy; zobaczymy, jak potoczy się proces, ale ona lub jej „delfin" może zostać prezydentem Francji.

We Włoszech sześć głównych kanałów telewizyjnych, z których korzysta opinia publiczna, ma orientację prawicową.

W Niemczech partia AfD ma bliskie powiązania z Putinem, podobnie jest w Austrii.

Marzeniem jest Europa, która stanie się potęgą obronną, posiadającą siłę polityczną i wartości. Dla mnie te wartości powinny być progresywne: inteligentna polityka wobec migrantów, jednolity rynek i jednolity system podatkowy. Trzeba zrobić to, co sugerują Mario Draghi i Enrico Letta: wyeliminować głosowanie jednomyślne, ponieważ w obecnym systemie niemożliwe jest podejmowanie decyzji w bardzo konkretnych sprawach. Tymczasem Meloni wykazuje tendencję odwrotną: proponuje większą władzę dla państw narodowych w Europie. Ja jestem przeciwny: więcej Europy, mniej państw narodowych.

Państwa, które weszły w skład Rady Pokoju, to w większości dyktatury lub demokracje nieliberalne. To nie jest miejsce dla Włoch.

Dlaczego znaczna część włoskiej opinii publicznej ma trudność z uznaniem politycznej i strategicznej groźby, jaką stanowi Władimir Putin? Jak wyjaśnić niejednoznaczne stanowisko lub sprzeciw wobec pomocy wojskowej dla Ukrainy ze strony takich ugrupowań jak Ruch Pięciu Gwiazd i Liga?

– We Włoszech od zawsze część opinii publicznej, intelektualistów i polityków – po prawej i po lewej stronie – prezentuje myślenie antyzachodnie, antyamerykańskie i sceptyczne wobec Europy. Nie chodzi tu o komunizm, Putin zdecydowanie nie jest postkomunistą, lecz reakcyjnym politykiem prawicy. Jego polityka to imperializm. Waszyngton nie jest już punktem odniesienia. Początkowo sądzono, że Trump przyjmie linię izolacjonistyczną i zerwie z interwencjonizmem swoich poprzedników. Stało się jednak odwrotnie. W efekcie część włoskich suwerenistów zaczęła postrzegać Putina jako model. Dziś widać wyraźnie, że istnieją dwa imperia – a może trzy, jeśli doliczyć Chiny – które rozbijają Europę i próbują uczynić ją słabą i podatną na naciski.

Ta antyzachodnia kultura jest we Włoszech bardzo silna, choć obecna także w innych krajach europejskich. Paradoks polega na tym, że dawna Włoska Partia Komunistyczna, która przekształciła się w Partię Demokratyczną, jest bliższa wartościom zachodnim niż nowsze ugrupowania, które zachowują sympatię dla Putina nawet w obliczu zbrodni w Ukrainie czy zabójstw rosyjskich opozycjonistów, jak w przypadku Nawalnego, oraz wojen imperialnych, których Putin wcale nie ukrywa. Już jego przemówienie na konferencji monachijskiej w 2008 r. jasno zapowiadało imperialną politykę postsowieckiej Rosji.

Podejrzewa się, że niektóre partie są finansowane przez Rosję.

– W „L'Espresso" udowodniliśmy, że jeden z przedstawicieli Ligi Północnej próbował finansować partię poprzez ustawioną transakcję gazową. Istnieją więc bardzo bliskie powiązania, także ekonomiczne, między niektórymi środowiskami włoskimi a Rosją, a przynajmniej podejmowano takie próby. Pozostaje też silna fascynacja „mocnym człowiekiem" – czy to Putinem, czy Trumpem – który decyduje bez ograniczeń, omijając

eprasa.pl 57bf9d0787

mechanizmy kontroli. We Włoszech ta fascynacja jest bardzo wyraźna. Autorytarne wzorce, takie jak model Putina, nie są wcale odległe od niektórych obecnych praktyk legislacyjnych.

Do tej pory uważano, że sprawa Epsteina to potworny skandal seksualny, ale wraz z ujawnieniem nowych dokumentów wydaje się, że chodzi o coś znacznie poważniejszego.

– Bez wątpienia to potworny skandal seksualny, ale Epstein odgrywał również rolę polityczną w otoczeniu Donalda Trumpa. Utrzymywał kontakty ze Steve'em Bannonem, doradcą Trumpa za jego pierwszej prezydentury, który miał konkretne zadanie: wzmacniać w Europie ruchy ekstremistyczne oraz środowiska MAGA skrajnej prawicy. Epstein nie był więc jedynie finansistą funkcjonującym na marginesie polityki, on aktywnie udzielał rad i uczestniczył w określonym projekcie politycznym. Jednak najbardziej uderza mnie to, że relacje intelektualne i finansowe utrzymywała z nim część europejskiej i światowej klasy intelektualnej oraz politycznej kojarzonej z lewicą. Mam na myśli Noama Chomskiego, Billa Clintona, Woody'ego Allena czy Jacka Langa. Już nie mówiąc o takich postaciach jak były premier Norwegii Kjell Magne Bondevik czy były książę Andrzej.

To symbol kryzysu reprezentacji i przywództwa lewicy w Europie oraz na świecie.

– Można to postrzegać jako zdradę wartości lewicowych przez część jej elit politycznych i intelektualnych. Z tego powodu część elektoratu przestała głosować na lewicę. I muszę przyznać, że bardziej niż sam skandal czy nawet ewentualne większe zaangażowanie Trumpa, o którym wcześniej spekulowano, wstrząsnął mną fakt systematycznych kontaktów politycznej i intelektualnej lewicy z kimś, kogo reputacja była już określona. Nie można dziś powiedzieć: „Nie wiedzieliśmy, kim był Epstein". Wiedzieli wszyscy. I to właśnie było zdradą.

Ludzie nie są naiwni. We Włoszech od kilku lat mówi się o lewicy *radical chic*, która reprezentuje interesy najbardziej wykształconych i często najzamożniejszych warstw społecznych. A zapomina o robotnikach i mniej uprzywilejowanych klasach, które dziś coraz częściej głosują na prawicę. W tym sensie sprawa Epsteina staje się metaforą globalnej lewicy *radical chic* i jej oddalenia od społecznych korzeni.

Dziennik „La Repubblica" przechodzi zmianę właścicielską, która może wpłynąć na jego linię redakcyjną, podobnie jak to się stało z „The Washington Post" Jeffa Bezosa. Jak ocenia pan stan wolności prasy we Włoszech?

– Wolność prasy jest dziś na najniższym poziomie w historii Włoch – z kilku powodów. Po pierwsze, ludzie nie są już przyzwyczajeni do kupowania gazet ani do płacenia za informacje. Dziś można je mieć za darmo. W takiej sytuacji powstają nisze i są też pozytywne przykłady, jak nasza gazeta „Domani", która rozwija się coraz lepiej. Problem w tym, że subskrypcje cyfrowe nie pokrywają kosztów pracy ani strat wynikających z szybkiego upadku prasy drukowanej. W praktyce rynek informacji drukowanej jest niemal martwy. Kiedy rynek jest tak ograniczony, gazety muszą polegać na wydawcach. Często nie są to prawdziwi wydawcy z misją medialną, lecz przedsiębiorcy mający inne biznesy, którzy wykorzystują gazetę jako narzędzie wspierające ich główne cele. Albo są to podmioty powiązane z dużymi międzynarodowymi firmami inwestującymi we Włoszech. Coraz częściej we Włoszech i na świecie te powiązania splatają się z interesami politycznymi. Problem nie jest więc tylko włoski.

We Włoszech kryzys jest jednak głębszy niż w wielu innych krajach europejskich.

– Tak, ponieważ Włosi czytają bardzo mało. Liczba osób kupujących prasę drukowaną jest dziś minimalna – mniej niż 1 mln egzemplarzy dziennie. Drugi problem to nadmierna koncentracja rządu na kontroli komunikacji. Telewizja, która wciąż stanowi najważniejsze źródło informacji dla opinii publicznej, jest w ok. 80% kontrolowana bezpośrednio lub pośrednio przez rząd. RAI znajduje się pod kontrolą władzy państwowej, natomiast Mediaset pozostaje w rękach rodziny Berlusconich, która zachowuje również wpływ polityczny poprzez Forza Italia. W rezultacie sześć głównych kanałów telewizyjnych, z których korzysta opinia publiczna, ma orientację prawicową. Doszło także do czystek politycznych wśród dziennikarzy o poglądach lewicowych. Wielu z nich przeszło do La7 – stacji bardziej zrównoważonej, która daje przestrzeń opozycji, środowiskom progresywnym i głosom krytycznym wobec rządu.

Mam nadzieję, że „La Repubblica" nie zmieni linii politycznej, bo byłaby to katastrofa dla demokracji.

Mam nadzieję, że „La Repubblica" nie straci duszy, która uczyniła ją najważniejszą gazetą we Włoszech. Trzeba jednak przyznać, że część tej tożsamości została utracona już przy poprzedniej sprzedaży. Kiedy John Elkann kupił gazetę, zmienił jej charakter i istotę. Zresztą „Domani" prawdopodobnie by nie powstało, gdyby „La Repubblica" nadal była w pełni progresywnym dziennikiem. Pochodzę z tego środowiska i odszedłem, bo przestałem się identyfikować z wydawcą. Przykład Jeffa Bezosa pokazuje, jak obłaskawiono „The Washington Post". Mam nadzieję, że nowi wydawcy „La Repubbliki" nie będą myśleć tylko o zysku. Jeśli jednak głównym kryterium będą koszty, można się spodziewać poważnych cięć personelu w takich pismach jak „La Repubblica", „La Stampa", być może też w radiu. Mam nadzieję, że przynajmniej linia polityczna się nie zmieni, bo byłaby to katastrofa dla demokracji.

Agnieszka Zakrzewicz

eprasa.pl 57bf9d0787

Kto zastąpi obecną mer Paryża?

Mieszkańcy stolicy Francji nie tylko wybiorą nowego mera, lecz także zagłosują według nowego, bardziej bezpośredniego systemu wyborczego

Sarah Bomba
Korespondencja z Francji

15 marca odbędzie się pierwsza tura wyborów na mera Paryża. Przekrój profili tegorocznych kandydatów jest bardzo zróżnicowany – od Rachidy Dati, „self-made woman", paryskiej milionerki, po Sarah Knafo – przyjaciółkę prawicowego Érica Zemmoura.

Wyborcy francuscy oraz obywatele innych państw członkowskich Unii Europejskiej, jeśli są wpisani na listy wyborcze we Francji, głosują na radnych gminnych (w Paryżu są to radni Paryża). Zasady wyborów różnią się w zależności od wielkości gminy – poniżej lub powyżej 1 tys. mieszkańców. Najbliższe wybory na radnych gminnych i radnych Paryża odbędą się właśnie 15 oraz 22 marca br. Mieszkańcy głosować będą również na radnych wspólnoty międzygminnej, a w przypadku metropolii Lyonu – na radnych metropolitalnych. Radni gminni i radni Paryża wybierani są na sześć lat, mer Paryża pełni zaś funkcję zarówno administracyjną, jak i reprezentacyjną: kieruje miejskimi służbami, przygotowuje budżet i ma istotny wpływ na kształt polityki miejskiej.

Do tej pory to radni dzielnicowi decydowali, kto obejmie stanowisko burmistrza, jednak w 2026 r. mieszkańcy Paryża zagłosują bardziej bezpośrednio – a to oznacza, że najbliższe wybory mają wyjątkowe znaczenie. Dodatkowo, po raz pierwszy od lat, skrajna prawica w sondażach notuje tak wysokie poparcie, co jest bezprecedensowym zjawiskiem w stolicy Francji.

Między skrajną prawicą a status quo

Po ćwierćwieczu dominacji socjalistów w ratuszu – w latach 2001-2014 rządził Bertrand Delanoë, a od roku 2014 do 2026 Anne Hidalgo – stolica Francji może stanąć przed politycznym zwrotem. Coraz częściej mówi się, że prawica ma realną szansę na odzyskanie władzy w mieście, które przez lata kojarzone było z lewicowym modelem zarządzania. Paryż funkcjonuje dziś jako lewicowa wyspa, trochę jak Warszawa w Polsce. W zbliżających się wyborach Paryżanie oddadzą dwa głosy: jeden na radnych swojej dzielnicy, drugi na skład Rady Paryża, odpowiedzialnej za zarządzanie całym miastem. Radni są wybierani na sześć lat, a nowy system kładzie nacisk na bezpośredni głos mieszkańców, którzy mogą skupić się bardziej na osobowościach i programie kandydatów.

Po ćwierćwieczu dominacji socjalistów w ratuszu Paryż może stanąć przed politycznym zwrotem.

A tych startuje sześcioro. Po lewej stronie Emmanuel Grégoire (Partia Socjalistyczna, PS) reprezentujący obecną większość miejską i występujący w roli „następcy" Anne Hidalgo, z poparciem na poziomie 33% (wszystkie dane za Cluster 17/POLITICO, Le Parisien/Ipsos), oraz Sophia Chikirou (La France insoumise, LFI), z poparciem rzędu 12%, postrzegana jako silniejsza alternatywa dla lewicy, członkini największego bloku politycznego – Nowego Frontu Ludowego.

Po prawej stronie rywalizują: mająca 26% poparcia i jawiąca się jako główna przeciwniczka lewicy Rachida Dati (Republikanie, LR), która osiągnęła wyjątkowy sukces polityczny mimo skromnego pochodzenia (urodziła się w wielodzietnej rodzinie algierskich imigrantów), oraz Pierre-Yves Bournazel (Horizons), z poparciem na poziomie 10%, który może odegrać kluczową rolę w drugiej turze.

Ze skrajnej prawicy startują: Sarah Knafo (Reconquête, R!) z 10% poparcia i Thierry Mariani (Rassemblement national, RN) z poparciem rzędu 4%. Choć mają niewielkie szanse na zwycięstwo, ich kampanie skupiają się na przyciągnięciu młodych i niezadowolonych wyborców oraz na sprawach bezpieczeństwa i porządku w mieście (niektóre dzielnice Paryża należą do najniebezpieczniejszych w Europie).

Prawy brzeg z 16. dzielnicą i Champs-Élysées tradycyjnie głosuje na prawicę, lewy zaś, z Dzielnicą Łacińską oraz 13. i 14. dzielnicą – na lewicę.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 57bf9d0787



Główną przeciwniczką lewicy jest reprezentująca Republikanów Rachida Dati, która osiągnęła wyjątkowy sukces polityczny mimo skromnego pochodzenia.

Kandydaci opierają swoje kampanie zarówno na programach partyjnych, jak i na własnych atutach. Grégoire liczy na kontynuację polityki Hidalgo, Chikirou na mobilizację lewicowych wyborców, Dati i Bournazel na przyciągnięcie elektoratu centroprawicowego, a Knafo i Mariani – na elektorat skrajnie prawicowy i wyborców skoncentrowanych na kwestiach bezpieczeństwa oraz porządku w mieście.

Bitwa osobowości czy siła partii?

Paryż jest politycznie zróżnicowany. Prawy brzeg z 16. dzielnicą i Champs-Élysées tradycyjnie głosuje na prawicę, lewy zaś – Dzielnica Łacińska, 13. i 14. dzielnica – na lewicę. Dominacja studentów i pracowników naukowych po jednej stronie oraz mieszkańców mniej zamożnych dzielnic po drugiej daje przewagę socjalistom. Niezadowolenie z „zielonych polityk" Anne Hidalgo otwiera jednak przestrzeń dla argumentów prawej strony, zwłaszcza w kwestiach transportu i bezpieczeństwa.

O wyniku może przesądzić doświadczenie i osobowość kandydatów. Rachida Dati (obecnie piastuje stanowisko ministra kultury i mera 7. dzielnicy) cieszy się wysoką rozpoznawalnością i zaufaniem wyborców, co w połączeniu z mobilizacją centroprawicowych elektoratów daje jej realną szansę w drugiej turze. Sarah Knafo przyciąga uwagę mediów i młodszych wyborców, mimo kontrowersji, jakie wzbudziła jej skromna wiedza o kosztach transportu miejskiego. Zapytana na antenie telewizji informacyjnej BFM o koszt miesięcznego biletu, odpowiedziała, że wynosi 52 euro rocznie – aktualnie karta miejska kosztuje 90,80 euro miesięcznie.

Knafo jest najmłodszą kandydatką, ale z najstarszym partnerem, starszym od niej o 35 lat. Początkowo dała się poznać jako doradczyni skrajnie prawicowego Érica Zemmoura, jednak ten podczas kampanii prezydenckiej ogłosił publicznie, że Sarah Knafo jest jego *compagne* (partnerką) – nie tylko współpracowniczką, ale i osobą, z którą łączy go relacja osobista. Informacje o ich związku pojawiały się na pierwszych stronach francuskiej prasy, pokazywał ich (kontrowersyjnie) razem m.in. „Paris Match", co zaowocowało sporami o granice prywatności (parę lat temu popularne było ich wspólne zdjęcie znad morza).

Kandydaci tacy jak Knafo i Dati starają się różnicować swoje strategie wyborcze, są coraz bardziej obecni w mediach społecznościowych, a to pozwala im docierać do młodszych wyborców niezainteresowanych dotąd bardziej konserwatywnym modelem politycznym. Zyskuje na tym także cała francuska prawica: Jordan Bardella przyciągnął młodych właśnie swoimi zasięgami. Z kolei Grégoire i Chikirou opierają kampanię na doświadczeniu samorządowym i zdolności do kontynuowania dotychczasowej polityki, co przemawia do bardziej ustabilizowanej części

eprasa.pl 57bf9d0787

elektoratu. W nowym systemie głosowania, w którym mieszkańcy oddzielnie wybierają radnych dzielnicowych i miejskich, każdy kandydat musi się wykazać skutecznością w działaniu i zdolnością do budowania własnego wizerunku w całym mieście, a nie wyłącznie w tradycyjnych bastionach swoich partii.

Sukces lub porażka kandydatów będą zatem zależeć nie tylko od etykietki partyjnej, ale i od umiejętności skutecznej odpowiedzi na lokalne problemy, koncentrujące się wokół bezpieczeństwa w mieście, mieszkalnictwa, transportu oraz porządku publicznego.

Wybór mera a polityka krajowa

Wybory w stolicy mają we Francji większe znaczenie niż w Polsce. Według dziennika „20 Minutes" zielone polityki Anne Hidalgo przyniosły dotąd wymierne sukcesy: ograniczenie ruchu samochodowego o ponad 40%, za to wzrost rowerowego o 70% (od 2019 r.), powstanie 500 km tras rowerowych. Ale spotkały się też z krytyką. Brak wystarczającej liczby funkcjonariuszy policji, dziurawe drogi czy ograniczenia dla kierowców i niewystarczająca liczba terenów zielonych sprawiają, że część mieszkańców czuje się niezadowolona, wręcz urażona. Niektórzy uważają np. strefy niskoemisyjne za formę dyskryminacji wobec tych, których nie stać na nowsze pojazdy.

W ocenie samorządowców i przedstawicieli partii, cytowanych przez wspomniany dziennik, zmiany w mieście mają pozytywny wymiar. Rzeczniczka mer Anne Hidalgo, Lamia El Aaraje, podkreśla, że realizacja zielonych polityk poprawiła jakość życia mieszkańców. Radny miejski Émile Meunier (Zieloni, Europe Écologie Les Verts, EÉLV) wskazuje, że ograniczenie ruchu samochodowego i rozbudowa tras rowerowych wiele w stolicy Francji poprawiły. Z kolei Ian Brossat, senator związany z partią komunistyczną, były zastępca mer Paryża ds. mieszkalnictwa, podkreśla znaczenie stworzenia w mieście tychże 500 km tras rowerowych. Mają one realny wpływ na jakość powietrza – wtóruje mu Fatoumata Koné, liderka grupy Zielonych.

Pojawia się jednak również krytyka dotycząca stanu przestrzeni publicznej i mieszkalnictwa. Hélène Jacquemont, radna Paryża, zwraca uwagę na „ekstremalnie niebezpieczne" ulice pełne dziur, a Aurélien Véron, także radny, krytykuje przekształcanie prywatnych mieszkań w socjalne, co przyczynia się do polaryzacji w mieście. Paryż zwiększył udział mieszkań socjalnych do 25% w stosunku do całego zasobu – według radnych i przedstawicieli lewicy pozwoliło to zatrzymać w mieście część mieszkańców.

„Zielone polityki" Anne Hidalgo przyniosły wymierne sukcesy: ruch samochodowy zmalał o ponad 40%, a rowerowy wzrósł o 70%. Powstało 500 km tras rowerowych.

Warto podkreślić, że samorządy we Francji mają w tej kwestii większe znaczenie niż w Polsce. Na przykład gminy pewnej wielkości mają obowiązek posiadania określonego udziału mieszkań socjalnych w całym zasobie mieszkań głównych (dzisiaj kształtuje się to na poziomie 25%), co oznacza, że jeśli dana gmina nie przeznaczy 25% mieszkań na tani wynajem – płaci karę. Na gminach zatem spoczywa duża odpowiedzialność w tej kwestii.

Wyniki wyborów w stolicy mogą mieć spore konsekwencje polityczne. Porażka socjalistów byłaby dla nich symbolicznym końcem dominacji w samorządzie, który im pozostał po zmarginalizowaniu ich na ogólnokrajowej scenie politycznej. Sukces prawicy natomiast wzmocniłby pozycję centroprawicowych ugrupowań i przygotowałby grunt pod wybory krajowe, choć Republikanie z macronistami raczej w skali kraju tracą.

Najbardziej niepokojące jest potencjalne wejście skrajnej prawicy do drugiej tury – byłoby to sygnałem rosnącej frustracji społecznej i przesunięcia nastrojów w sercu republiki. Nadchodzące wybory mogą więc stać się nie tylko rozliczeniem rządów Hidalgo, lecz także testem gotowości Paryżan na zmianę kierunku polityki miejskiej i krajowej.

Sarah Bomba



eprasa.pl 57bf9d0787



Oko w oko Tomasz Jastrun

Zakute łby

Noszę się z pomysłem, by zmontować książkę pod roboczym tytułem „Wypisy z mojego życia". Bigos i groch z kapustą, cytaty, fragmenty moich dzienników, felietonów pisanych nie tylko do paryskiej „Kultury", notatki, a nawet fragmenty listów, forma luźna. Nie wiem, czy z tego coś będzie, problem też z rozmiarem, kto wyda mi tak grubą książkę? I jak to sensownie zmontować? Na razie grzebię w swoich dziennikach i w felietonach do „Kultury", pisałem je ponad 15 lat. Niełatwo mi, jakbym się taplał w wielkich kałużach mojego życia. Dzienniki zdają mi się słabe, są chyba do spalenia, ale bywają dobre fragmenty, jak bursztyny.

Jest rok 1989, czas wielkiego przełomu. 21 listopada zapisałem w dzienniku: „Wielkie manifestacje w Pradze. Antysocjalistyczna wiosna ludów. Victoria Pope, świetna amerykańska dziennikarka o niezwykłej latynoskiej urodzie, wróciła z Pragi. Jest pod wrażeniem, jak Czesi są rozważni. Mogłaby teraz zostać na dłużej w Polsce, kochała Polskę, gdy była umęczona, mieszkała tu kilka lat, a teraz już nie ma w niej uczuć. Coś się skończyło, mówi. Idziemy błotnistym Nowym Światem, a ja mówię, że czuję podobnie, ale mam trudniej, bo ja tu mieszkam. Ona na to: »Ale ja też nie mam miejsca dla siebie. Ameryka jest martwa. Żyje tylko pieniędzmi i karierą«. Kiedy żegnamy się, widzę łzy w jej wielkich, czarnych i pięknych oczach. Odchodzę, czując, że ją zostawiam, a powinienem wziąć w ramiona. I że ona tego oczekuje. Dlaczego tego nie zrobiłem?".

Ciekawe i na czasie są słowa Victorii o Stanach, dlatego je cytuję. Co zdumiewa, że w roku, gdy rozpadło się imperium i rozsypała się Polska Ludowa, to był historyczny cud, a w nas było tyle goryczy, pesymizmu, chociaż powinniśmy się radować i tańczyć na ulicach. Można powiedzieć, że partia i Solidarność jak dwie przegniłe konstrukcje zwaliły się na siebie. Dominowało uczucie bezsiły, jak sprzątać ten śmietnik. Wtedy zapisałem: „Nowa sytuacja polityczna nie zmienia ludzi. Gorączkowe robienie zapasów, wykupywanie towarów, gromadzenie cukru, mąki, benzyny. Szarpanie trupa. To społeczeństwo nie stało się egoistyczne, ono zawsze było pozbawione poczucia wspólnoty w pracy i w działaniu. Chyba że było to działanie konspiracyjno-patriotyczne. Nigdy jeszcze nie czułem się tu równie obco, będąc przecież w końcu i nareszcie u siebie, może właśnie dlatego".

Wtedy najwięksi optymiści nie przewidzieli, że Polska tak szybko i sprawnie wskoczy na kapitalistyczne tory. Ale też, że podkarmieni zaraz rzucimy się sobie do gardeł.

•

PiS ma już swoje złowrogie straszydło, które dołącza do zamachu smoleńskiego i innych monstrów polskich – SAFE. Prawica wbija teraz ludowi do głowy, że to uzależni nas od Brukseli, a przede wszystkim od Niemiec, a Niemcy chcą zrobić z nas germański land. Prezes odwołuje się znowu do traumy okupacji, do Krzyżaków i zaboru pruskiego. Wyciągnięto z trumny trupa Macierewicza, z obłędem w oczach sączy, że SAFE to największe niebezpieczeństwo dla Polski od czasów okupacji, i łączy ten projekt z zamachem smoleńskim. Czemu to robią? By te miliardy nie poszły na konto zasług Tuska, by Trump nie pomyślał, że nie chcemy jego broni, no i to nas zbliży do Unii, a oni chcą nas od Unii odsunąć, a nawet z niej wyprowadzić. Z głupoty i z podłości zachowują się jak zdrajcy.

•

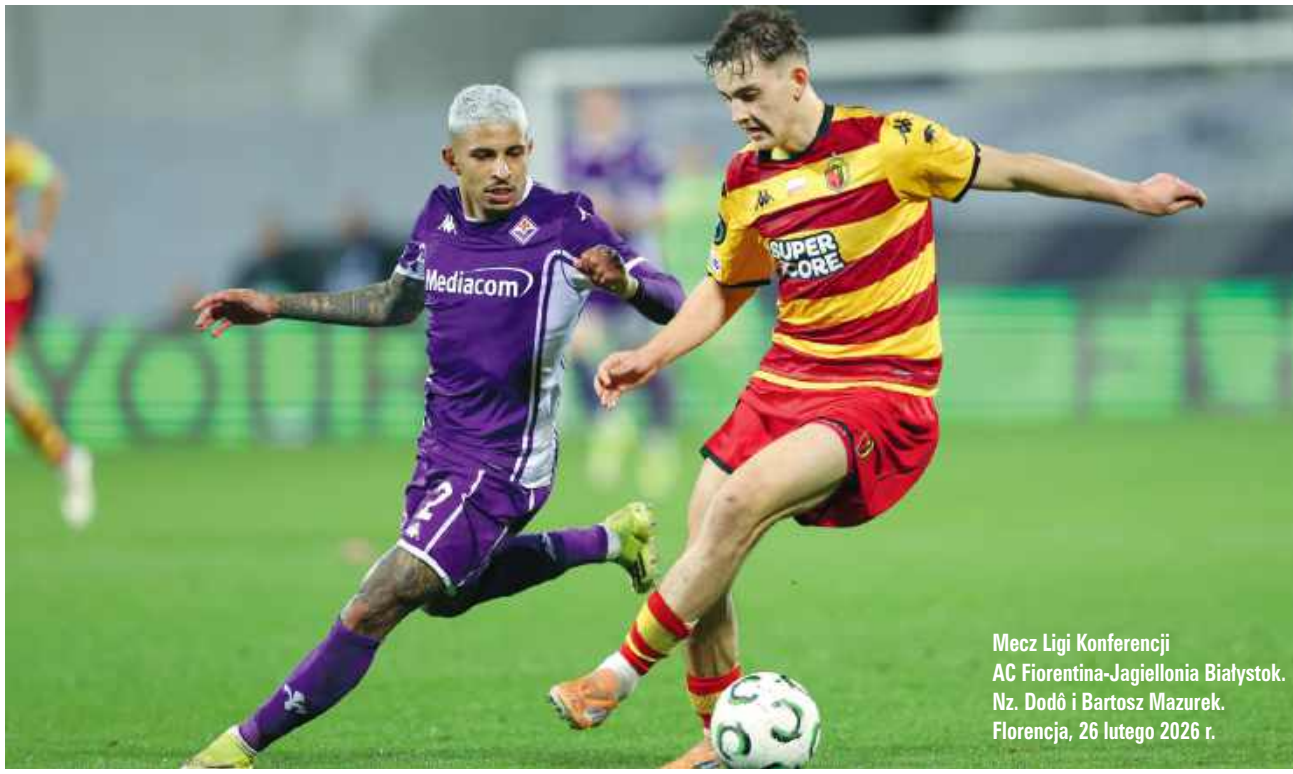
Andrzej, brat króla Anglii, aresztowany i przesłuchiwany. Szok na Wyspach. To jest też powiązane z aferą Epsteina. Chyba nie docenialiśmy, jaki ta sprawa ma zasięg – wykraczający poza miliardera i jego ofiary. To się rozlewa i pobudza myślenie spiskowe, które i tak ma się dobrze. Świat oplata złowroga sieć zarządzana przez Żydów, miliarderów i elity. Elity są niemoralne i zdeprawowane. Wymienić elity. Pod tym podpiszą się politycy całej światowej prawicy i lud. Chwieją się dawne podpory naszej cywilizacji, rodzi się niepokój, co również sprzyja spiskowemu myśleniu, a internet swoją sieczką i gnojówką to karmi. Rewolucjonistami jest prawica, która chce zniszczyć liberalną demokrację. Ale też lewicowcy uważają, że obecna demokracja jest do wymiany. Na co? – pytam. Lewica staje mi się niemal równie obca jak prawica. Musimy stoczyć teraz wielką bitwę o środek, o centrum, o zdrowy rozsądek. Inaczej pogrążymy się w chaosie. A wojny domowe zaczynają się w chwili, gdy ludzie po dwóch stronach barykady przestają czuć, że nadal należą do tej samej wspólnoty. Nie mam poczucia, że należę do tej samej wspólnoty z prezesem, z Ziobrą lub z Czarnkiem. Więcej, ale niewiele, czuję wspólnoty z Zandbergiem. ■

Musimy stoczyć teraz wielką bitwę o środek, o centrum, o zdrowy rozsądek.

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 57bf9d0787



Mecz Ligi Konferencji
AC Fiorentina-Jagiellonia Białystok.
Nz. Dodô i Bartosz Mazurek.
Florencja, 26 lutego 2026 r.

Nierozważni i romantyczni

Jagiellonia pięknie odpada, Lech brzydko awansuje

Wojciech Kuczok

Fiorentina-Jagiellonia – kolejna piękna polska klęska po bohaterskiej walce, jeszcze jedna romantyczna historia, w której zabrakło happy endu.

Ja rozumiem, że dzieje polskiego futbolu są zbudowane na takich epizodach, z całym jednak szacunkiem dla Jagi i trenera Siemieńca wołam: gloria victis, ale mam już tego serdecznie dość! Fakty bowiem są takie, że prawdopodobny mistrz Polski w bieżącym sezonie, najlepszy nasz zespół klubowy w ostatnich latach, odpadł na poziomie jednej szesnastej Ligi Konferencji z rozpaczliwie walczącą o utrzymanie się w Serie A Fiorentiną, która przez co najmniej dwie godziny grała w składzie rezerwowym, a swoją największą gwiazdę wprowadziła właściwie dopiero na dogrywkę.

Przeżywaliśmy nadzwyczajne emocje, jesteśmy dumni z piłkarzy pomimo ostatecznego fiaska, bo to był mecz z klubem o wspaniałej historii, ale mierząc aktualne siły obu ekip, trzeba zauważyć, że Polacy odpadli z drużyną słabszą. Jagiellonia odpadła na własne życzenie, mimo przewagi w posiadaniu piłki w obu spotkaniach, z powodu nierozważnych zagrań, niewymuszonych błędów i krótkiej ławki rezerwowych. I z powodów psychologicznych, bo nawet gdyby wyszła naprzeciw nich Stal Mielec przebrana w koszulki ekipy z Serie A, Polacy też byliby zestresowani, nerwowi, nieporadni i skłonni do kiksów.

Polacy od z górą dwóch dekad nie potrafią wyeliminować w fazie pucharowej żadnej drużyny z TOP 5 lig europejskich. Na taki kompleks trzeba, oprócz treningów, ostrej psychoterapii. Zabrakło też kilku ludzi w kadrze. Zmiennicy Violi nie osłabiają poziomu drużyny tak drastycznie, nie ma we Florencji zawodników niezastąpionych, w przypadku zaś ekipy podlaskiej brak dwóch liderów w pierwszym meczu (Afimico Pululu i Taras Romanczuk pauzowali za kartki) sprawił, że Jaga straciła połowę swojej wartości. Z przodu była kompletnie bezzębna (zero celnych strzałów bez Angolczyka w napadzie wobec dziewięciu trafień w światło bramki w rewanżu!), nie potrafiła również sensownie przerwać nielicznych wypadów gości (po powrocie Romanczuk jako defensywny pomocnik, kapitan i mózg drużyny zupełnie rozbroił Włochów w meczu wyjazdowym).

Ja wiem, że młody Sławomir Abramowicz to przyszłość naszej piłki i w tym samym dwumeczu kilkukrotnie ratował swój zespół przed utratą kolejnych goli, ale dwukrotnie

FOT. GRZEGORZ WAJDA/REPORTER

eprasa.pl 57bf9d0787

w newralgicznych momentach zawiódł. Na co dzień znakomity młodzieżowiec, w Białymstoku popełnił szkolny kiks i sparował sobie do bramki strzał z ostrego kąta. W rewanżu, już w dogrywce, gdy wyczerpana odrabianiem strat drużyna dzielnie i skutecznie neutralizowała napór gospodarzy, wyskoczył do piłki łatwej do złapania, by wypiąstkować ją prosto pod nogi rywala.

W pierwszym meczu, rozgrywanym w srogim podlaskim mrozie, także zdolny i promowany junior Dawid Drachal bez sensu sfaulował napastnika wybiegającego z pola karnego (tak, to nie lapsus, gracz gości wracał z piłką poza obręb pola karnego) i sprokurował jedenastkę. To były dwa gole półsamobójcze i to jest niestety ryzyko nieuniknione w przypadku stawiania na graczy w wieku juniorskim, bo w nich drzemie potencjał, ale też często eksploduje niepoczytał. Potencjał się skinetyzował w 19-letnim Bartoszu Mazurku, bo strzelić hat tricka we Florencji w europejskich pucharach to jednak nie przelewki, to jest wejście smoka na rynek transferowy (szczęśliwie tuż po jego zamknięciu, więc Jaga może być spokojna, że przynajmniej do końca sezonu nikt jej tej perełki nie zabierze).

Kibice jeszcze nie zdążyli osuszyć łez po odejściu Oskara Pietuszewskiego do FC Porto (skądinąd Polak poczyna tam sobie na skrzydle odważnie i bezczelnie, czyli tak, jak oczekiwano od gracza kupionego za 11 mln euro), a już mają nowego idola wyjętego przez trenera Siemieńca z białostockiej szkółki piłkarskiej. Mazurek zagrał we Florencji mecz życia, szarpał, strzelał i był blisko kolejnych goli, wydaje się zresztą, że nie mając na ławce sensownych zmienników, trener mógł temu młodzianowi pozwolić pozostać na boisku, bo Polak nie był jakoś skrajnie wyczerpany i wciąż absorbował obrońców.

W pierwszej połowie Mazurek tak namieszał zarówno na boisku, jak i w głowach sztabu szkoleniowego, że trener Violi w przerwie zmienił nawet… bramkarza. Między słupkami stanął niegdyś wybitny golkiper Atlético i Manchesteru United David de Gea, który już po kilku minutach musiał wyjmować piłkę z siatki, a pod koniec dogrywki wpuścił jeszcze, a raczej sam sobie wbił, „farfocla" Jesúsa Imaza.

Niestety, już minutę po zejściu Mazurka w drugiej części dogrywki Jaga zaczęła tracić gole. Skończyło się więc jak zwykle, Białostoczanie właściwie powtórzyli wyczyn Lecha sprzed trzech lat – wtedy Poznaniacy w ćwierćfinale Ligi Konferencji także przegrali z Fiorentiną pierwszy mecz trzema golami, by na wyjeździe odrobić straty, i choć do dogrywki ostatecznie doprowadzić się nie udało, również ograli Florentczyków na ich arenie. Mimo że piłkarsko reprezentują podobny poziom co rywale, mentalnie nasi przegrywają na dzień dobry, a dopiero potem szarżują, aby naprawić szkodę.

Ta arcypolska przypadłość sprawiła, że Jagiellonia już „może skupić się na lidze", a w związku z tym, że jej najgroźniejsi przeciwnicy mają przed sobą jeszcze co najmniej po dwumeczu z ciężkimi rywalami w Europie, białostockie „pszczółki" są na *pole position* w wyścigu o odzyskanie tytułu mistrzowskiego.

Lech sobie awans wyczłapał z miernym zespołem fińskim, zdumiewająco osłabionym w trakcie przerwy zimowej (z Kuopion odeszło… 14 piłkarzy), ale nawet przez chwilę nie grał z polotem, a w Finlandii, nawet grając przez 80 minut z przewagą liczebną, potrafił wymęczyć tylko jedną dodatkową bramkę. Gdybym nie widział, jak Lech gra w Ekstraklasie, pomyślałbym, że dwa leniwe zwycięstwa z KuPS wynikały z zamierzonego oszczędzania sił, jednak Poznaniacy tej wiosny nie zachwycają także na rodzimych boiskach, punktują rywali, ale jeszcze nie znokautowali nikogo. Z kimkolwiek przyjdzie się zmierzyć drużynie trenera Frederiksena w marcowej fazie europejskich pucharów, awans do dalszych gier będzie sensacją.

W Lidze Mistrzów furorę robi norweskie Bodø/Glimt z miasteczka położonego za kołem podbiegunowym. Już jesienią bez pardonu ogrywało sławne i bogate firmy, pokonało m.in. Atlético i Manchester City, teraz przyszło mu się zmierzyć z Interem Mediolan i wygrało z faworytami dwukrotnie. Drużna gra na co dzień na sztucznej murawie, czemu nie należy się dziwić, bo na północy Norwegii w polarnych warunkach trudno byłoby wyhodować i utrzymać murawę nadającą się do gry przez cały rok. I być może w tym sęk, że Norwegowie nie próbują oszukać klimatu – skoro regulamin dopuszcza grę na sztucznej trawie, korzystają z tego, zamiast na podobieństwo naszych ligowców jeździć na zimowe zgrupowania do ciepłych krajów, ćwiczyć na równiutkich zielonych dywanach, a potem wracać na nasze zmrożone kartofliska, gdzie piłka odskakuje przy każdej próbie przyjęcia.

Jagiellonia odpadła na własne życzenie, mimo przewagi w posiadaniu piłki w obu spotkaniach, z powodu nierozważnych zagrań.

Norweski cud polega także na tym, że drużyna oparta jest na zawodnikach krajowych, w Mediolanie oprócz bramkarza rosyjskiego pochodzenia wyszli na mecz sami Skandynawowie, przy czym próżno wśród nich szukać gwiazd – najwyżej wyceniany duński napastnik Kasper Høgh wart jest wedle portalu Transfermarkt 8 mln euro, w szerokiej kadrze tylko gracze zbliżający się do czterdziestki wyceniani są poniżej dwucyfrowej liczby.

Najbardziej z polskiej perspektywy smucić i dziwić musi to, że jeszcze przed pięcioma laty norweską ekipę bez trudu ogrywała Legia Warszawa, trzy lata temu zaś eliminował ją poznański Lech. Są w pierwszej kadrze zespołu Bodø gracze, którzy pamiętają te potyczki. Legia dzisiaj walczy o utrzymanie się w Ekstraklasie, Lech w Europie jest dwa piętra niżej. Przy pozorach dynamicznego rozwoju i realnym wzbogaceniu się nasze kluby na tle skromnego mistrza Norwegii wypadają cokolwiek blado. ■

eprasa.pl 57bf9d0787

Odebrana seksualność

Dysfunkcje seksualne po lekach antydepresyjnych mogą dotyczyć setek tysięcy Polaków

Rozmawia Dominika Tworek



Julia Linke – autorka badania „Characteristics and risk factors of Post-SSRI Sexual Dysfunction (PSSD)" przeprowadzonego na Uniwersytecie Medycznym w Poznaniu, rezydentka neurologii dziecięcej w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym w Poznaniu. Zainteresowana pograniczem neurologii i psychiatrii oraz bezpieczeństwem farmakoterapii i jej długoterminowymi konsekwencjami.



Ewa Majcherek – współautorka badania „Characteristics and risk factors of Post-SSRI Sexual Dysfunction (PSSD)" przeprowadzonego na Uniwersytecie Medycznym w Poznaniu, rezydentka położnictwa i ginekologii w Specjalistycznym Zespole Opieki Zdrowotnej nad Matką i Dzieckiem w Poznaniu, członkini zarządu Polskiego Towarzystwa Zdrowia Seksualnego i Reprodukcyjnego.

W Polsce świadomość PSSD – zespołu zaburzeń seksualnych po lekach antydepresyjnych z grupy SSRI, takich jak Zoloft, Sertralina czy Prozac, oraz SNRI, czyli np. Duloksetynie i Wenlafaksynie – wydaje się znikoma, zarówno w społeczeństwie, jak i wśród lekarzy.

Julia Linke: – Gdy podczas studiów po raz pierwszy natknęłyśmy się na ten problem, byłyśmy w szoku, że kompletnie nic o nim nie wiemy. Zaczęłyśmy rozmawiać z innymi badaczami i lekarzami – okazało się, że wiedza większości z nich również jest bliska zeru.

Ewa Majcherek: – Pomyślałam wtedy, że musi to być jakieś niezwykle rzadkie zjawisko. Zaczęłyśmy drążyć temat i odkryłyśmy, że wcale nie jest rzadkie – po prostu jest rzadko badane. Większość pacjentów po zakończeniu leczenia psychiatrycznego nie wraca do lekarza z tym problemem, próbując poradzić sobie z nim na własną rękę. To bardzo utrudnia zbieranie danych. Warto dodać, że sam problem bynajmniej nie jest marginalny. Skala spożywania leków jest w Polsce ogromna: z oficjalnych statystyk wynika, że ok. 4 mln osób przyjmuje obecnie antydepresanty. Co oznacza, że te dysfunkcje seksualne mogą dotyczyć bardzo wielu Polaków – możliwe, że dziesiątek czy nawet setek tysięcy.

Czym PSSD różni się od objawów pierwotnych zaburzeń, z którymi pacjent zgłasza się do psychiatry?

J.L.: – PSSD pojawia się po włączeniu leków antydepresyjnych, a czasem – choć rzadziej – dopiero po ich odstawieniu. Jeśli chodzi o same symptomy chorób, z powodu których przepisuje się te leki – najczęściej depresji, zaburzeń lękowych czy zaburzeń odżywiania – to jednoznaczne rozróżnienie bywa trudne.

E.M.: – Dotychczasowe badania są niestety bardzo fragmentaryczne, dotyczą niewielkich populacji – bo dostęp do pacjentów jest mocno ograniczony – i nie dają jasnej odpowiedzi, jakie czynniki są tu najważniejsze. Myślę, że długo nie doczekamy się dużego, przekrojowego badania. Psychiatria nie jest dziedziną, w której z badania krwi lub za pomocą innego obiektywnego narzędzia możemy jednoznacznie zdiagnozować daną chorobę.

Czyli najważniejszy jest pogłębiony wywiad z pacjentem.

J.L.: – Zazwyczaj to pacjent opisuje, jak się czuje: czy faktycznie ma obniżony nastrój lub inne objawy zaburzeń, czy chodzi wyłącznie o symptomy seksualne i czy podobne dolegliwości występowały, jeszcze zanim zaczął brać leki. Jeśli pojawiły się one dopiero po odstawieniu

eprasa.pl 57bf9d0787

antydepresantów, niekoniecznie mamy wtedy do czynienia z nawrotem depresji czy zaburzeń lękowych, bo te choroby zazwyczaj wracają w dość podobnej formie.

E.M.: – Natomiast sytuacja, w której dysfunkcje seksualne występują już w trakcie przyjmowania leków, bywa szczególnie przewrotna. Problemy seksualne to tak naprawdę jedno z trzech najczęstszych działań niepożądanych. Jeśli pacjent zgłosi je lekarzowi, najprawdopodobniej usłyszy, że to normalne podczas terapii takimi lekami.

Z jakimi konkretnie objawami mamy więc do czynienia?

J.L.: – Może być tak, że ochota na seks czy inne aktywności seksualne jest mniejsza albo całkowicie znika. Do tego dochodzi cały zestaw objawów fizycznych: trudności z osiągnięciem orgazmu lub orgazmy pozbawione przyjemności – pacjent wprawdzie osiąga orgazm, ale nie czerpie z niego satysfakcji. Zgłaszane są też takie problemy jak przedwczesny wytrysk albo brak ejakulacji, a także zmniejszona wrażliwość stref erogennych: genitaliów bądź sutków.

E.M.: – Chodzi o neuropatię, czyli zaburzenia czucia, tutaj – takie jakby znieczulenie. W obszarach erogennych dotyk jest odczuwany dużo silniej niż w pozostałych częściach ciała, a w PSSD pacjenci często mówią, że nie ma dla nich różnicy, czy są dotykani po łokciu czy po penisie, po dłoni czy po łechtaczce – to takie samo uczucie.

Czy wasze badania rzucają nowe światło na to zaburzenie?

E.M.: – Do badania zakwalifikowałyśmy 76 osób. Choć mam poczucie, że ono jedynie liznęło temat, to gdy porównałyśmy je z innymi pracami, prawie setka uczestników okazała się naprawdę niezłym wynikiem. Tak jak mówiłyśmy, zdecydowana część społeczeństwa nie ma świadomości, że taki problem w ogóle może występować – i że da się go nazwać.

J.L.: – Na przykład spodziewałyśmy się, że dłuższe leczenie psychiatryczne może zwiększać ryzyko występowania PSSD. Nasze badanie jednak tego nie potwierdziło. Około 40% badanych przyjmowało leki krócej niż sześć miesięcy – czyli prawie połowa respondentów nie była na terapii farmakologicznej nawet dłużej niż pół roku.

E.M.: – Brak tej korelacji czasowej może budzić obawy społeczne. Według danych WHO do 2030 r. depresja stanie się najczęściej diagnozowaną chorobą na świecie. To oznacza, że spora część z nas na jakimś etapie życia może być zmuszona przyjmować leki z tej grupy choćby przez kilka miesięcy.

Z innych doniesień naukowych wiemy, że PSSD może się utrzymywać latami – a niewykluczone, że przez całe życie.

E.M.: – W naszym badaniu również były osoby, które mierzyły się z tymi objawami od ponad 30 lat. Myślę, że na tym etapie szansa na całkowite wyleczenie jest bardzo mała, jeśli w ogóle jakakolwiek. Obecnie nie ma skutecznego, sprawdzonego leczenia tej choroby.

J.L.: – Chciałyśmy też scharakteryzować populację najbardziej zagrożoną wystąpieniem PSSD, aby wskazać, kto szczególnie powinien być uczulony na jego objawy. Okazało się jednak, że takiej grupy nie ma – a przynajmniej w naszym badaniu nie udało się jej wyróżnić. Ani styl życia, ani masa ciała, ani wcześniejsze choroby w rodzinie nie miały znaczącego wpływu. To dość szokujący wniosek: każdy, kto brał leki antydepresyjne, jest potencjalnie narażony na PSSD.

E.M.: – Z jednej strony, to może dawać pacjentom pewne pocieszenie: nie są w żaden sposób „winni" swojemu stanowi, bo prostu zostali wylosowani. Z drugiej – pozostają ofiarami działań niepożądanych leków oraz całego systemu, przede wszystkim niedofinansowanego sektora badań naukowych.

Jak więc wygląda dalsza ścieżka pomocy tym pacjentom?

J.L.: – Aż 74% naszych badanych zdiagnozowało się samo – dowiedziało się o problemie nie od specjalistów, ale od znajomych lub z internetu. Ci ludzie są ogromnie zmotywowani, by znaleźć rozwiązanie swoich problemów, a współczesna medycyna jest w dużej mierze bezradna: większość lekarzy i lekarek nie wiedziała, co właściwie im zalecać. Uczestnicy często pisali, że nawet gdy poszli do psychiatry z autodiagnozą PSSD, specjaliści nie byli w stanie im pomóc. Wiele osób próbowało – bardzo często bez nadzoru lekarza i w zdecydowanie większych dawkach niż zalecane – różnych konwencjonalnych metod: przyjmowania Bupropionu (leku z grupy selektywnych inhibitorów zwrotnego wychwytu noradrenaliny i dopaminy – NDRI) czy Metylofenidatu stosowanego w ADHD. Pacjenci „leczą się" także narkotykami, np. mikrodozując LSD. Stosowane są też różne podejścia z medycyny alternatywnej.

Reklamy środków na potencję są wszędzie. Jednocześnie nie znam nikogo, kto bez większych oporów poszedłby do seksuologa.

E.M.: – Niestety, te osoby są potencjalnie świetnymi ofiarami dla różnego rodzaju znachorów czy wyłudzaczy pieniędzy. Kiedy tradycyjna medycyna zawodzi, ludzie szukają choćby iskierki nadziei, gdzie tylko się da. To pole działania dla osób, które chcą „leczyć" suplementami czy dużymi dawkami witamin – najzwyczajniej w świecie zarabiać na fałszywej obietnicy ozdrowienia.

Dla większości ludzi seksualność stanowi ważny wymiar codzienności. Nie chodzi wyłącznie o biologię, w dorosłości bywa to przestrzeń przyjemności i spontaniczności, których nierzadko nam brakuje. Wpływa na kształt romantycznych relacji, na poczucie własnej wartości i atrakcyjności.

J.L.: – Warto zwrócić uwagę, że PSSD ma również ogromny wpływ na relacje. Cierpieć mogą obie osoby, ponieważ problem wpływa na poczucie własnej wartości i samoocenę partnera. Wyniki naszych badań były jednoznaczne: objawy

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 57bf9d0787

PSSD miały bardzo duży wpływ na związki badanych i nieraz przyczyniły się do ich rozpadu.

E.M.: – To rzeczywiście bardzo ważna sfera, w naszej kulturze mocno zaniedbana. WHO podkreśla, że bez zaopiekowania się nią nie da się osiągnąć pełni zdrowia oraz dobrego samopoczucia. Tymczasem w Polsce dopiero w ostatnich kilku latach zaczął się pojawiać temat edukacji seksualnej. Na studiach medycznych wiedza o zdrowiu seksualnym i reprodukcyjnym jest traktowana po macoszemu. Temat pozostaje umniejszany i w wielu środowiskach nie traktuje się go jako poważnego problemu zdrowotnego, na równi z chorobami układu krążenia czy układu ruchu.

Amerykański psychiatra dr Alexander Scharko, badacz PSSD u osób młodych, zwracał również uwagę na wyraźny dysonans między rozseksualizowaną kulturą a utrzymującym się tabu wokół problemów seksualnych, co skutkuje powszechnym unikaniem tego tematu, także przez lekarzy.

J.L.: – To prawda. O takich tematach łatwo się mówi w sposób ogólny: o innych, o populacji. Znacznie trudniej jest wtedy, gdy rozmowa dotyczy konkretnych osób, zwłaszcza w relacji pacjent-lekarz. Pacjentom niezwykle trudno się otworzyć przed właściwie obcą osobą, a dodatkowo nierzadko spotykają się ze złym odbiorem i stwierdzeniami w rodzaju „tak po prostu jest” – bez wyjaśnienia przyczyn czy nawet próby uważnego wysłuchania.

E.M.: – Nasza kultura bywa przeseksualizowana. Reklamy chociażby środków na potencję są wszędzie. Jednocześnie nie znam nikogo, kto bez większych oporów poszedłby do seksuologa. Mam wrażenie, że ten zawód pozostaje nieco „mistyczny”, jak zawód znachora. Poza tym same miałyśmy problem z przetłumaczeniem na język polski medycznych terminów, np. *genital anesthesia*. Wiemy, że lekarze mają trudność z zadawaniem konkretnych pytań o różne seksualne symptomy. Tym bardziej nie wyobrażam sobie przeciętnej pacjentki, która przychodzi i mówi: „Mam zmniejszoną wrażliwość łechtaczki”.

Pamiętam, jak dzieliłam się swoją wiedzą z osobami przechodzącymi kryzys psychiczny, które rozważały rozpoczęcie terapii farmakologicznej. Sama świadomość istnienia PSSD sprawiała, że na moment się zatrzymywały i uważniej analizowały potencjalne korzyści oraz ryzyko.

J.L.: – Wielu lekarzy ma dużą łatwość przepisywania antydepresantów, ponieważ zakładają tymczasowy charakter wszystkich działań niepożądanych. Niektórzy nie zdają sobie sprawy, że część skutków ubocznych może się utrzymywać przez całe życie. Oczywiście w większości przypadków leki są rzeczywiście potrzebne, ale każdorazowo należy rozważyć stosunek ryzyka do korzyści. Często korzyści płynące z leczenia są wyraźnie większe niż potencjalne ryzyko. Mimo to uważam, że leki powinny być przepisywane z większą ostrożnością. Jeśli tylko sytuacja na to pozwala, warto rozpoczynać leczenie od psychoterapii, traktując farmakoterapię jako kolejny etap, a nie pierwszą linię leczenia.

Wielu lekarzy ma dużą łatwość przepisywania antydepresantów.

E.M.: – Ja mam pewną pozytywną konkluzję: myślę, że większość tych problemów da się rozwiązać poprzez rozwój naukowy. Oczywiście wymaga to odpowiedniego finansowania badań, których jest dziś zdecydowanie za mało. Być może potrzebny byłby specjalny instytut badawczy.

J.L.: – Chociaż w trakcie naszego badania spotkałyśmy się także z wyraźnie narastającą wrogością – zwłaszcza ze strony polskich pacjentów – wobec lekarzy i systemu. To bardzo mocno wyselekcjonowana grupa, której zaufanie do lekarzy zostało poważnie nadwyrężone. A prowadzenie badań jest niemożliwe bez ich współpracy. W pierwszej kolejności należałoby więc odbudować zaufanie tych osób do kadry medycznej.

Macie pretensje do systemu? Jako badaczki, ale też jako obywatelki?

J.L.: – Ciężko powiedzieć, żeby to były pretensje do środowiska medycznego. Widzimy reakcje lekarzy, gdy informujemy ich o samym istnieniu problemu – zazwyczaj są zaciekawieni, chcieliby zgłębiać temat, po prostu brakuje go w edukacji medycznej. W tym przeładowanym systemie naprawdę trudno być na bieżąco. Lekarze, pielęgniarki i psycholodzy są często przepracowani, a wymaganie, aby codziennie poświęcali wolny czas na samokształcenie, jest nierealne.

Tematy seksualności stały się elementem politycznych sporów, w efekcie dzieci i dorośli nie mają dostępu do rzetelnej, kompleksowej edukacji seksualnej.

E.M.: – Mam pretensje do systemu, ale w szerszym, politycznym kontekście. Tematy seksualności stały się dziś elementem politycznych sporów, w efekcie czego dzieci i dorośli nie mają dostępu do rzetelnej, kompleksowej edukacji seksualnej. Uważam, że w pewnym stopniu stanowi to pogwałcenie praw człowieka, bo każdy ma prawo do zdrowia i pełnego dostępu do informacji. Odbieranie dzieciom w szkołach możliwości zdobycia takiej wiedzy może mieć poważne konsekwencje w przyszłości – m.in. może zwiększać ryzyko wystąpienia PSSD (bo mam nadzieję, że wkrótce będziemy o nim powszechnie edukować).

Dominika Tworek

eprasa.pl 57bf9d0787



31 basów w „Babim Jarze”

XIII symfonia „Babi Jar” Dymitra Szostakowicza, Filharmonia Narodowa w Warszawie, luty 2026 r.

Bronisław Tumiłowicz

Gdy stolica nie ma odpowiednich kadr do wykonania specyficznego dzieła, musi niekiedy posiłkować się pożyczkami w tzw. terenie. Tak było, gdy w Filharmonii Narodowej do XIII symfonii Dymitra Szostakowicza, kompozytora przywróconego od niedawna do łask muzycznych w Polsce, potrzebna była odpowiednia liczba najniższych głosów męskich. Okazuje się, że w filharmonicznym chórze warszawskim dało się wynaleźć tylko dziesięciu basów, drugą dziesiątkę zamówiono w Łodzi – sprowadzono Chór Męski Filharmonii Łódzkiej im. Artura Rubinsteina, a trzecią znaleziono w Białymstoku – Chór Męski Opery i Filharmonii Podlaskiej. Tę pokaźną grupę wzbogacono jeszcze o Alexeia Botnarciuca, solistę przybyłego z Niemiec, a pochodzącego z Mołdawii, znanego również w Polsce, laureata III nagrody Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Stanisława Moniuszki.

Wydarzenie tej miary to rzadkość, więc Filharmonia Narodowa zaprosiła na próbę generalną dziennikarzy, z kamerą przybyła nawet TVP, choć od redaktorki dowiedzieliśmy się, że relacja zapewne nie znajdzie się w aktualnych serwisach ani w TVP Kultura, bo nie ma na to odpowiedniego czasu.

Dzieło o nazwie „Babi Jar” wymaga jednak pewnego objaśnienia, sprawa bowiem dotyczy jednej z najbardziej okrutnych zbrodni niemieckich dokonanych na ludności żydowskiej w Kijowie, a następnie wyciszanej lub zakłamywanej w czasach ZSRR. Symfonia powstała dopiero długo po śmierci Stalina, w 1962 r., jako artystyczna reakcja na tragedię masowego mordu ludności żydowskiej w wąwozie Babi Jar pod Kijowem. Inspiracją dla kompozytora były wiersze Jewgienija Jewtuszenki – odważne (poeta zdobył się kiedyś nawet na krytykę samego Stalina), opatrzone społecznym komentarzem, krytycznie oceniające powojenną rzeczywistość radziecką. Tylko jeden z nich odnosi się do samej zbrodni w Babim Jarze, pozostałe tworzą atmosferę „po” – aluzyjnie, nie wprost opisują warunki życia w Związku Radzieckim, nawet braki w handlu, nastroje i poczucie strachu, a także nakaz milczenia w istotnych sprawach.

Dzieło nie przypadło do gustu władzom radzieckim, krytyka dotyczyła zarówno Jewgienija Jewtuszenki, jak i Dymitra Szostakowicza. Cenzura utrudniała kolejne wykonania symfonii, druk partytury, nagrania płytowe. Wiadomo, że kompozytorowi tzw. życzliwi doradzali, by zmienił tekst utworu, a najbliżsi przyjaciele muzycy wycofywali się chyłkiem, aby nie podpaść władzy.

Tymczasem w lutym do Warszawy przyjechał niemiecki dyrygent Ingo Metzmacher, znany m.in. z wykonań opery Szostakowicza „Lady Makbet mceńskiego powiatu”, również ostro skrytykowanej przez Stalina zaraz po premierze. Ówczesny radziecki przywódca uzurpował sobie prawo bezpośredniego wpływu na twórczość artystyczną, więc zagrożeni byli nawet ci najwybitniejsi. Wiadomo np., że polski kompozytor Mieczysław Wajnberg, który schronił się przed Hitlerem w Rosji, obawiając się antysemickich reakcji Stalina, wyprosił u zaprzyjaźnionego z nim Szostakowicza, że ten w „razie czego” weźmie do siebie i adoptuje córkę muzyka. Takie to były czasy i o koszmarnym życiu mieszkańców wielkiego kraju mówią wiersze Jewtuszenki. Jeden z nich, „Lęki” („Strachi”), Jewtuszenko napisał specjalnie na prośbę kompozytora, aby uzupełnić opresyjną wymowę symfonii, która jest w sumie kantatą o przemocy i zniewoleniu, a chór złożony z samych mężczyzn o głosach basowych nawiązuje do tradycji muzyki cerkiewnej, do specyficznego kolorytu chrześcijaństwa wschodniego.

Pięć części symfonii: „Babi Jar”, „Humor”, „W sklepie”, „Lęki” i „Kariera”, prowadzi słuchacza od dramatycznego hołdu dla ofiar, przez gorzką ironię i refleksję nad codziennością, aż po osobiste wyznanie o odpowiedzialności artysty. Dyrygent Ingo Metzmacher na nasze pytanie, czy dostrzega w utworze ów religijny, sakralny aspekt, zwrócił uwagę, że widzi w nim raczej troskę, współczucie dla kobiet i miłość. Być może u nas kwestie antysemityzmu i zbrodni niemieckich odbiera się bardziej surowo. Poza tym sztuka nie musi przemawiać do każdego w sposób jednoznaczny. Na tym polega jej wartość. W każdym razie dzieło Szostakowicza warte jest poznania. ■

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 57bf9d0787

NA EKRANACH



„Dobry chłopiec", reż. Jan Komasa, prod. Polska/Wielka Brytania, w kinach od 6 marca

Więzień rodzinny

Jeśli kochacie „Kieł", to „Dobry chłopiec" jest dla was. Początek jest kapitalny: melanż dzieciaków w centrum Londynu to popis operatorski i montażowy, który oddaje i niebezpieczeństwo, i bezgraniczną wolność poćpanych bohaterów. Potem wcale nie jest gorzej, choć do poziomu Lanthimosa film nie dorasta. Głównie dlatego, że to, co w „Kle" było subtelną metaforą, u Komasy staje się znacznie bardziej dosłowne. U Greka dzieci chodziły metaforycznie na pasku rodziców, u Polaka łańcuch jest jak najbardziej dosłowny. Uwięziony na nim został Tommy (magnetyczny Anson Boon), który następnego dnia po kolejnej ostrej imprezie budzi się w piwnicy rodziny Chrisa (znany z „Dojrzewania" Stephen Graham). Cel jest jeden: niesforny chłopak ma przejść reedukację i wrócić na łono społeczeństwa. Wymyślny system kar i nagród zmienia Tommy'ego w zastraszone zwierzę, które, by uniknąć kolejnego pobicia, godzi się na działanie wbrew sobie. A Jan Komasa, przenosząc relacje rodzinne na poziom brutalnej metafory, przewrotnie pyta: czy można kogoś złamać, żeby go naprawić? Radu Jude mówił, że dzieci są więźniami politycznymi swoich rodziców. Komasa idzie dalej, u niego to już więźniowie wojenni. *Artur Zaborski*

MIĘDZY OKŁADKAMI



Paweł Sołtys
Monolok
Czarne, Wołowiec 2026

Czesi mieli Hrabala, my mamy Sołtysa. „Monolok", czwarta w dorobku książka autora, to swoisty traktat o strzyżeniu włosów, wielka pochwała sztuki rozmowy i popis mistrzowskiego gawędziarstwa. Sołtys zaprasza nas do saloniku fryzjerskiego, jakich dziś już prawie nie ma, gdzie metaliczny dźwięk nożyc wprawia w ruch Wielką Machinę Słowa. Goszczą tam pozornie nieistotne historyjki, które mają w sobie moc wielkich przypowieści. O życiu i śmierci, radości i smutku. O nieutulonym żalu i niegasnącym pragnieniu szczęścia. A gdy czytelnik zaczyna się obawiać, że za chwilę narracja rozbije się o nieznośny patos, autor z wprawą wyprowadza ją w stronę śmiechu. Nawet jeśli jest to śmiech przez łzy. *Rafał Pikuła*

KURTYNA W GÓRĘ

Pycha i poniżenie

„Pigmalion" z Teatru Polskiego w Poznaniu to spektakl klasyczny w formie, acz nader ożywczy w treści. Reżyser przenosi akcję w realia Polski niedalekiej przyszłości. Napięcia związane z ruchami migracyjnymi i zaostrzającą się polityką europejską, wraz z podsycanymi politycznie radykalnie prawicowymi nastrojami kreują dystopijną rzeczywistość. Migranci z krajów wschodnich są wyłapywani i deportowani w atmosferze niemal okupacyjno-szmalcowniczej. Tymczasem do zamożnego domu lewicującej klasy średniej trafia Ukrainka Elizawieta (Alona Szostak). Wojtek (Paweł Siwiak), jeden z najlepszych logopedów w kraju, podejmuje się nauczenia kobiety czystej polszczyzny. Tak zaczyna się proces „kształtowania" Elizawiety na obraz i podobieństwo „prawdziwej Polki". Uczestniczą w nim Katarzyna (Ewa Szumska), żona Wojtka, lewicująca kuratorka sztuki, która żeruje na twórczości zbiegłych artystów, oraz prawicowo i militarystycznie odchylona córka bohaterów (Aleksandra Samelczak). W tym gęstym psychologicznym spektaklu dostaje się nie tylko faszyzującej nowej Polsce (i Europie) uosabianej przez sąsiadów: awansującego społecznie pułkownika Służb Granicznych (Piotr Kaźmierczak) i jego ciężarną żonę (Kornelia Trawkowska), ale i pełnemu hipokryzji mieszczaństwu żywiącemu własne uprzedzenia.



„Pigmalion", scenariusz Andrzej Błażewicz, Mikita Iłynczyk, reżyseria Mikita Iłynczyk, Teatr Polski w Poznaniu, premiera 27 marca 2025

Mocno polityczne przedstawienie Mikity Iłynczyka ogląda się z zainteresowaniem. A przejmujący finałowy monolog Elizawiety wstrząsa. *Michał Centkowski*



Operowy deser w Teatrze Stanisławowskim

Mistrz Rossini napisał operę o sprytnym kochanku, który potrafi wykosić konkurenta do ręki pięknej panny. Reżyserka i twórca oprawy wizualnej zrobili z tego widowisko szalenie barwne, żywe i precyzyjne scenicznie. Są akrobacje, zastosowano też najnowszą technologię projekcji, która potrafi nawet zachwiać i rozsypać w proch stojące dekoracje. Iluzja połączona ze świetną muzyką przemówi do każdego. *Bronisław Tumiłowicz*

Gioacchino Rossini, „Il Signor Bruschino", reżyseria Jitka Stokalska, dyrygent Karol Szwech, Polska Opera Królewska, premiera 20 lutego 2026

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KINO ŚWIAT, MATERIAŁY POLSKIEJ OPERY KRÓLEWSKIEJ, TEATR POLSKI W POZNANIU, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 57bf9d0787

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Hasiok wspomnień

Wszyscy straszą ej-ajem, niektórzy się nim wspomagają, wielu się nim wyręcza, postanowiłem więc sprawdzić, co najbardziej dostępny, darmowy, czyli, jak sądzę, najbardziej prymitywny robocik wygeneruje, kiedy mu każę np. napisać wiersz w stylu Wojciecha Kuczoka.

Wystarczył mi tytuł, dalej czytać już nie mogłem, bo zerwałem boki ze śmiechu, ale jako się rzekło, tytuł okazał się tyleż zabawny, co inspirujący, przenoszę go zatem niniejszym na górę felietonu i spróbuję własnoręcznie spisać, co mi na myśl przychodzi.

Czytelnikom spoza śląskiej strefy językowej podpowiem, że hasiok oznacza śmietnik. Pomimo kilkunastu lat życia nomadycznego, definitywnej wyprowadzki z ojcowizny, sprzedania domu rodzinnego i wymarcia wszystkich jego odwiecznych mieszkańców dom rodzinny śni mi się nieustannie i chyba już zawsze śnił się będzie jako m ó j dom, choć dawno już ekipa remontowa nawierciła w jego ścianach inwokacje do nowych sag rodzinnych. Mam tak samo jak wy miasto m o j e, chociaż odwiedzam je już od wielkiego dzwonu wyłącznie w celach kibicowskich, wszelako wyrwany do odpowiedzi, skąd jestem, z automatu odpowiadam, że z Chorzowa. Śmietnisko wspomnień z miasta mojego dzieciństwa i dorastania jest nieprzebrane, a różne nieoczekiwane impulsy przywołują coraz to inne historie.

Na przykład serial „Ołowiane dzieci", o którym już na tych łamach napomykałem, oprócz robotniczego osiedla familoków i przestrzeni szpitalnych, a zatem dwóch naczelnych scenerii mojego zdechlackiego dzieciństwa, za sprawą odtwórcy jednej z głównych ról przywołuje nieco późniejsze i znacznie przyjemniejsze reminiscencje.

Michał Żurawski i jego brat Piotr – który akurat w tym serialu nie zagrał, za to w innym wdzięcznie odegrał rolę Daniela Passenta, czyli dziadka mojego syna – zdolni aktorzy średniego pokolenia, to moi chorzowscy krajanie. Mama braci Żurawskich, pani Urszula, była moją lekarką pierwszego kontaktu, bodaj od kiedy osiągnąłem pełnoletniość, i za jej przyczyną pielęgnowałem swoją hipochondrię, albowiem pragnąłem z jej stetoskopem mieć kontakt stały. Nie ma to jak w wieku burzy i naporu zakochać się w internistce rodzinnej – biegałem do niej chory z urojenia na wszystko, od zapaleń dróg oddechowych, przez wszelkiego rodzaju nerwice, aż po najwymyślniejsze objawy, które symulowałem według opisów vademecum lekarza ogólnego, a kiedy wyczerpałem jego zasoby, udawałem nawet choroby zwierząt i roślin, motylicę i wołka zbożowego, byle pani Urszula mnie przyjmowała, swoim aksamitnym głosem zapytywała retorycznie, z czym do niej tym razem przybywam, i popadała w zadumę. A przybywałem zawsze z sercem na dłoni, była to wszakże ślepa uliczka, jak moja rodzinna Częstochowska, która do żadnej Częstochowy nie wiodła, bo od zawsze wiodła donikąd, co z satysfakcją oznajmiałem zabłąkanym kierowcom. Mogliśmy dzięki temu z kumplami grać wszerz ulicy, za bramki mając garaż sąsiada i furtkę.

Dopokąd w domu jeszcze dożywali swoich dni rodzice, odwiedzałem, zajeżdżałem, chętniej latem niż zimą, bo smog dławił, a rury przedwojenne przegrzewały chatę, źle mi się oddychało. Dziadek w międzywojniu nadzorował budowę modernistycznych willi, wybrał dla swojej rodziny miejsce pośrodku niczego; po wojnie Huta Kościuszko dołożyła tam domy dla robotników i tak powstało osiedle Ruch – społeczne przemieszanie przedwojennej klasy średniej i hutniczego proletariatu.

Śmietnisko wspomnień z miasta mojego dzieciństwa i dorastania jest nieprzebrane.

Byłem nietypowym dzieckiem, przywilej ogrodu i domu wolnostojącego wyróżniał mnie w szkole nie w tę stronę, o którą mogło chodzić moim protoplastom. Klasę sformowano głównie z dzieci zamieszkałych w powojennych blokowiskach, one z urodzenia czuły wspólnotę mrowiska; te z familoków oplecionych surrealnie wijącymi się rurociągami Huty Batory też czuły wspólną grupę krwi kapiącej z permanentnie obijanych gęb. Ja byłem laluś z willi, Polska Ludowa ujmowała punkty za takie pochodzenie. Jako dzieciak, który daleko mieszka, nie ma windy, zsypu, a rodzice pracują w jakimś „wolnym zawodzie", byłem podejrzanym elementem.

Po sąsiedzku urodził się i mieszkał przez całe lata Radek Kobierski, człowiek tysiąca talentów, dzisiaj znany jako świetny poeta, pisarz, mniej znany jako jeszcze znakomitszy fotograf. Poznaliśmy się, wyskakując z pociągu, który zwalniał między Świętochłowicami a Chorzowem Batorym do tempa długodystansowca. Pośpieszne nie zatrzymywały się w Chorzowie, trzeba było skakać – taka wysiadka jednak zbliża; wracaliśmy z konkursu poetyckiego, żaden z nas nie wygrał, w nagrodę dostaliśmy siebie. ■

eprasa.pl 57bf9d0787

OD SUPER BOWL PO AZJĘ

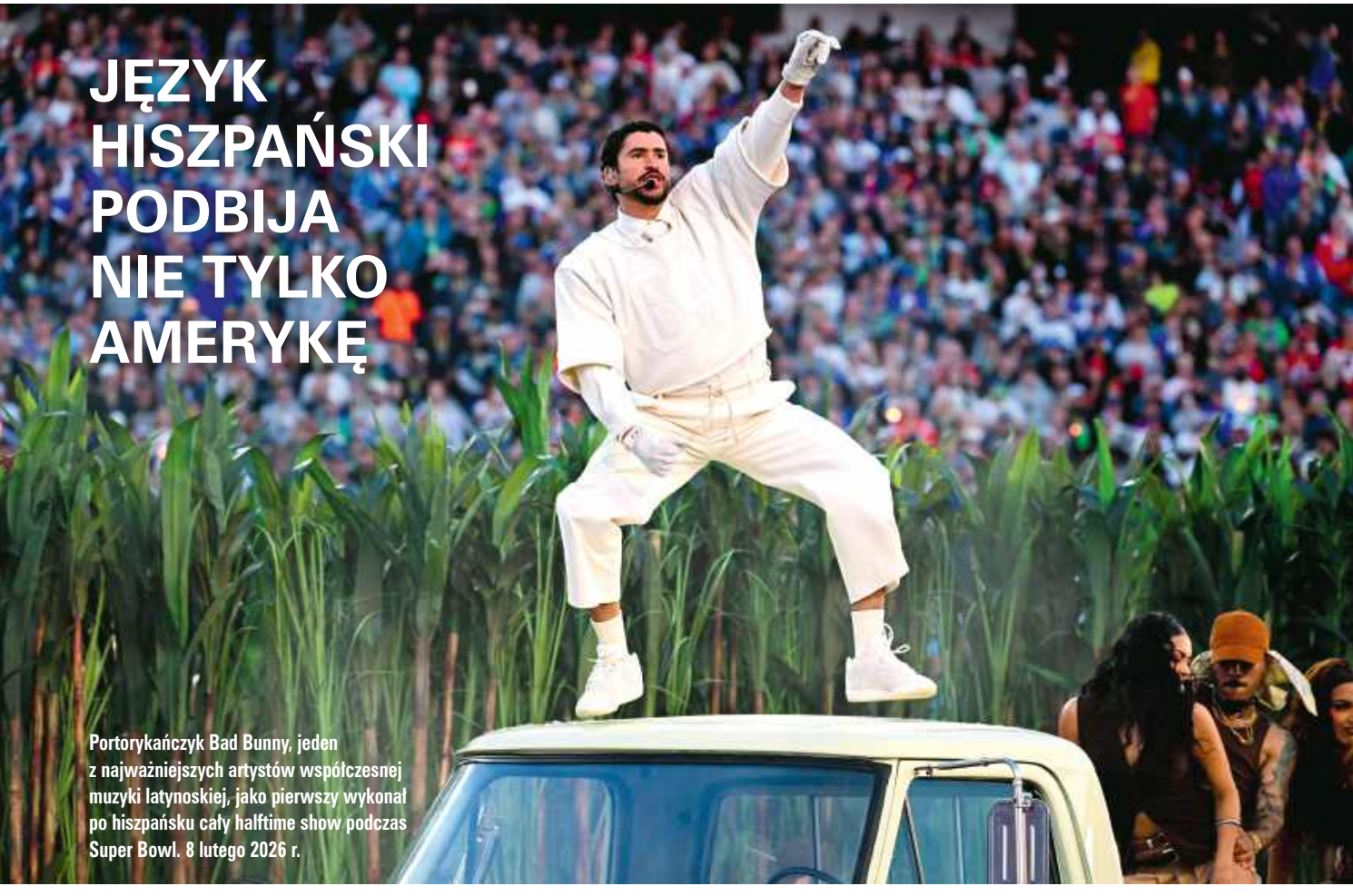
Tomasz Skowronek

Ponad 70 tys. ludzi na stadionie, znacznie powyżej 100 mln przed telewizorami. Super Bowl 2026 – największe sportowe widowisko Ameryki. A ze sceny – słychać hiszpański. Bez przechodzenia na angielski, bez tłumaczenia, bez przeprosin. Bad Bunny mówi do publiczności w języku, który według prezydenta Stanów Zjednoczonych nie powinien mieć statusu języka urzędowego. Ze stadionu nie wychodzi nikt.

8 lutego 2026 r. na Levi's Stadium w Santa Clara obalono kolejny mit: największe widowisko telewizyjne w USA wcale nie musi być prowadzone w języku angielskim. Bad Bunny, Portorykańczyk, jeden z najważniejszych artystów współczesnej muzyki latynoskiej, jako pierwszy w historii cały halftime show, czyli występ w przerwie finału ligi NFL, wykonał po hiszpańsku. Po angielsku wypowiedział jedynie słowa: „God Bless America", po czym wymienił kraje obydwu Ameryk. Symboliczny gest – hiszpański wybrzmiał z największej amerykańskiej sceny, został usłyszany w najważniejszym dla kultury masowej momencie.

Spanglish – język, który łączy

Język hiszpański, którym posługuje się ok. 13% mieszkańców USA, jest drugim najczęściej używanym językiem w kraju. Decyzja Donalda Trumpa z marca 2025 r. o ogłoszeniu angielskiego jedynym językiem urzędowym została przez wielu odebrana jako atak na amerykańską różnorodność kulturową. Jednak w praktyce ekipa Trumpa intensywnie korzystała z hiszpańskiego np. podczas kampanii wyborczych. Reklamy w języku hiszpańskim były emitowane w stanach zamieszkanych przez dużą liczbę Latynosów – w Arizonie czy Nevadzie. W 2024 r. Trump wystąpił nawet w programie amerykańskiej hiszpańskojęzycznej telewizji Univision, odpowiadając na pytania widzów po hiszpańsku. Dane sondażowe pokazują, że zdobył dzięki temu 42% głosów Latynosów – najwyższy od 40 lat odsetek, jaki otrzymał kandydat republikański. Pokazuje to,



JĘZYK HISZPAŃSKI PODBIJA NIE TYLKO AMERYKĘ

Portorykańczyk Bad Bunny, jeden z najważniejszych artystów współczesnej muzyki latynoskiej, jako pierwszy wykonał po hiszpańsku cały halftime show podczas Super Bowl. 8 lutego 2026 r.

eprasa.pl 57bf9d0787

że hiszpański w USA nie jest tylko językiem imigrantów ani „drugim" językiem – jest realnym narzędziem polityki, ekonomii i komunikacji masowej.

Lingwiści od dawna śledzą nowe zjawiska językowe zrodzone z bogactwa języka hiszpańskiego używanego na Kubie, w Portoryko i w innych społecznościach, jak również jego wpływ na obszary Stanów Zjednoczonych o największej koncentracji mieszkańców hiszpańskojęzycznych. Mieszanka hiszpańskiego i angielskiego – spanglish – jest dziś najszybciej rozwijającą się hybrydą językową na świecie.

Entuzjazmu lingwistów nie podziela jednak administracja Trumpa. Dla republikanina to kwintesencja „inwazji Latynosów", która rzekomo zagraża anglosaskiej istocie Stanów Zjednoczonych. Jego polityka „tylko angielski" miała na celu ograniczenie roli języka hiszpańskiego w kraju. „To państwo, w którym mówimy po angielsku, a nie po hiszpańsku", powiedział amerykański prezydent w debacie w 2015 r., podczas swojej pierwszej kampanii prezydenckiej.

Mimo politycznych prób tłumienia języka hiszpańskojęzyczna ludność napędza życie kulturalne i gospodarcze USA – dzięki niej Miami stało się „naturalnym mostem biznesowym", pełniąc funkcję kluczowego łącznika między Ameryką Łacińską a USA i resztą globu. „Hiszpańskim posługuje się obecnie ponad 50 mln osób w Stanach Zjednoczonych. Innymi słowy, w kraju Donalda Trumpa językiem tym posługuje się więcej osób niż w Hiszpanii", zauważa Simon Romero w „The New York Times".

Na południu Florydy, w Los Angeles czy w San Antonio zaczyna być słyszalny nowy język. Przypomina angielski, ale zawiera struktury składniowe i dosłowne tłumaczenia z hiszpańskiego. To rodzaj odwróconego spanglish (w którym słowa hiszpańskie wchodzą do angielskiego albo odwrotnie, ale używa się ich w nietypowy sposób, niekiedy zmieniając znaczenie lub gramatykę, często jest to rodzaj gry słownej), np. „lonche" oznacza lunch, „troca" – furgonetkę. „Te dwa języki kształtują się wzajemnie – mówi Phillip Carter, profesor lingwistyki na Florida International University. – Najbardziej oczywistym efektem tego zjawiska jest spanglish – ludzie używają obydwu języków w jednej wypowiedzi lub rozmowie".

Spanglish wkracza do muzyki, seriali, reklam i życia codziennego. Jest miękką siłą, której nie powstrzymają polityczne zakazy.

Od Chin po Filipiny

Na świecie język hiszpański przeżywa jeden z najważniejszych momentów w historii. Według danych Instytutu Cervantesa w 2025 r. w Chinach hiszpańskiego uczyło się ponad 60 tys. studentów, a jego rola jako języka obcego w szkołach i na uniwersytetach stale rośnie. W 2018 r. w chińskim systemie edukacji wydarzyło się coś, co jeszcze dekadę wcześniej wydawało się zupełnie nieprawdopodobne. Rosnąca pozycja języka hiszpańskiego na świecie sprawiła, że władze w Pekinie zgodziły się, by mógł być nauczany jako pierwszy język obcy w szkołach i na uniwersytetach w Chińskiej Republice Ludowej. To nie była jedynie decyzja edukacyjna – to był sygnał, że globalne przesunięcia wpływów mają odbicie także w programach szkolnych.

W tle tej językowej zmiany działa geopolityka. Hiszpański nie budzi w Pekinie podobnej rezerwy jak języki państw postrzeganych jako strategiczni rywale: Stanów Zjednoczonych czy Japonii. Nie niesie bezpośredniego ciężaru rywalizacji, za to otwiera drzwi do rynków, partnerstw i wpływów. Dla Chińczyków coraz atrakcyjniejsze stają się zarówno Hiszpania, jak i kraje Ameryki Łacińskiej – jako kierunki podróży, studiów, inwestycji. Nauka języka przestaje więc być kompetencją abstrakcyjną.

Również w Japonii od otwarcia Instytutu Cervantesa w Tokio w 2007 r. język hiszpański zyskał prestiż i zainteresowanie młodzieży.

Osobny rozdział to Filipiny. Choć kastylijski nigdy nie przeważał wśród języków na archipelagu, liczba szkół oferujących naukę hiszpańskiego wzrosła z 15 w 2008 r. do 83 w roku akademickim 2019-2020, a liczbę uczących się języka szacuje się dziś na 18 tys. Liam, student historii na Uniwersytecie Filipińskim, mówi: „Język hiszpański ma ogromny wpływ na naszą kulturę. Chcę lepiej zrozumieć naszą historię, a mogę to zrobić tylko wtedy, gdy poznam też język i kulturę hiszpańską".

Hiszpański zdobywa świat nie siłą, lecz poprzez kulturę: muzykę, film, literaturę i seriale emitowane w streamingu. To więcej niż narzędzie komunikacji – miękka moc, która kształtuje wyobraźnię i wpływa na ekonomię, edukację i politykę, na co zwraca uwagę Luis García Montero, dyrektor Instytutu Cervantesa od 2018 r.

Językiem hiszpańskim posługuje się obecnie ponad 50 mln osób w Stanach Zjednoczonych.

Hiszpański to także język biznesu i dyplomacji. Firmy w USA, Azji i Europie poszukują znających go pracowników, Ameryka Łacińska staje się zaś strategicznym partnerem handlowym Chin.

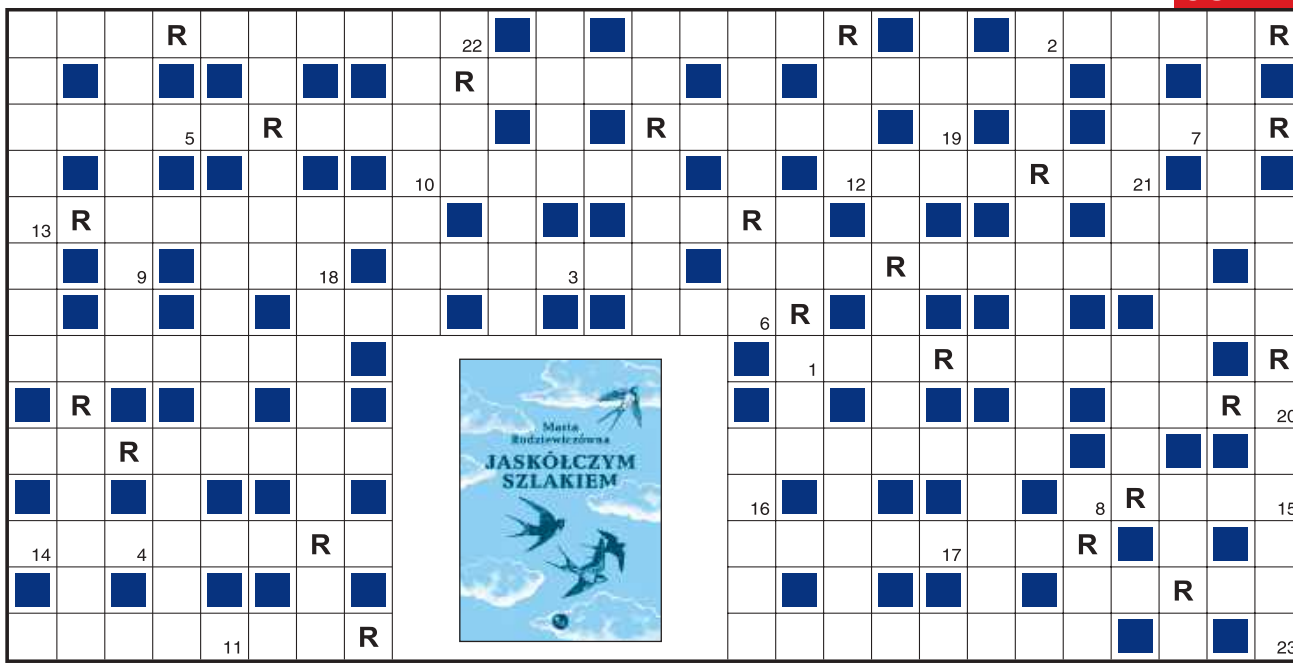
Poza tym hiszpański jest drugim (po angielskim) najczęściej używanym językiem w mediach społecznościowych i jednym z najważniejszych języków międzynarodowych. Liczba uczących się go osób stale rośnie – do końca stulecia może sięgnąć 100 mln. W krajach azjatyckich zwiększa się nie tylko liczba kursów, ale i zainteresowanie kulturą hiszpańskojęzyczną – muzyką, literaturą, filmem.

Eksperci podkreślają, że hiszpański stał się symbolem kulturowego wpływu Hiszpanii i Ameryki Łacińskiej na świat, a jednocześnie mostem łączącym ludzi z różnych pokoleń i regionów. Jest dziś językiem Ameryki, czy też obu Ameryk, i świata, językiem ponad 630 mln ludzi. ■

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 57bf9d0787

JOLKA



Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- otacza głowę świętego
- częste psucie się maszyny
- głos Adama Didura, Łukasza Koniecznego
- regionalna jednostka harcerzy lub oddział rycerzy
- składany – szapoklakiem nazywany
- kotów z kimś lub gęby
- coś zdumiewającego, niezwykłego
- wyspa w pobliżu Bombaju ze świątyniami w grotach
- imię reżysera „Na wschód od Edenu”
- dawny środek usypiający
- olbrzym pokonany za pomocą procy
- bohaterski brat Parysa i Kasandry
- nauka o wodach w przyrodzie
- u Musierowicz druga z sióstr Borejko
- myśl przewodnia, pogląd, koncepcja
- szczytne cele, a przez niektórych zdradzane
- imię autora thrillera „Szadź”
- rzeka w Chinach, Indiach i Pakistanie
- pierwiastek o nazwie od słowa oznaczającego tęczę
- podstawowa anglosaska jednostka długości
- ogół duchowieństwa
- główny bohater „Potopu”
- cos w trygonometrii
- biała to leukocyt
- Leon z „Polskich dróg” grany przez Kazimierza Kaczora
- kto chodzi z nimi spać, kładzie się wcześnie
- polecony, żelazny lub gończy
- fajka hulaków w karczmie Rzym
- supermęski twardziel
- piankowy lub sprężynowy na łóżku
- imię pani Trumpowej
- jadalnia załogi statku
- ...talii, bioder mierzony przez krawcową
- „Wielka…” – obraz Ingres’a
- historyczna stolica Górnego Śląska
- duża małpa z lasów Sumatry i Borneo
- o krajach Wschodu
- czarno-biały drapieżny ssak morski
- Władysław, autor „Komorników” i „Pomoru”
- ale ma talię ten owad!
- zaczynają podstawówkę
- przysiad na jednej nodze jak broń
- gra owalną piłką
- miasto, gdzie rozgrywa się akcja „Toski”
- opiekują się pasażerami samolotu
- zamienił siekierkę na kijek
- istota o dziwnym, niesamowitym wyglądzie
- nazwisko Szymona i Heleny, architektów
- pudełeczko na sproszkowany tytoń
- etamina, płótno lub flanela
- poruszają się po nich pociągi lub tramwaje
- interesu lub piany z białek
- imię obecnego ministra sprawiedliwości
- „…psów” Jakuba Żulczyka
- dozownik lekarstwa do oczu
- przywidzenia, omamy
- Słońce nad nim w zenicie w czasie przesilenia
- pracuje przy zbiorze zboża

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1263”. Do rozlosowania książki „Jaskółczym szlakiem” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 8 marca 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1260” z nr. 7: *Nie ma czynu bez przyczyny.*
Nagrody otrzymują: Jan Biernacki z Warszawy, Zdzisław Pietruk z Międzyrzeca Podlaskiego, Tadeusz Pilichowski z Łodzi.

eprasa.pl 57bf9d0787

Zmiana, czyli numer 2

Ta zmiana, zapowiadana już sporo wcześniej, jest głębsza, niż w pierwszej chwili się wydaje. Oto Henryka Mościcka-Dendys zastąpiła Rafała Wiśniewskiego na stanowisku dyrektora generalnego i szefa służby zagranicznej. Z pozycji wiceministra, a była jedną z sześciorga, przeszła na pozycję szefowej zasobów kadrowych MSZ. A jeśli do tego dodamy, że Radosław Sikorski nie przejawia zapału do zajmowania się personaliami, bo inne sprawy go interesują, te wielkie, oznacza to, że de facto Mościcka-Dendys stała się osobą numer 2 w MSZ. Bo ludzie od niej zależą.

Jej awans jest także czytelnym sygnałem, co będzie dalej. Rafał Wiśniewski już raz, w latach 2007-2010, czyli za pierwszego Sikorskiego, był dyrektorem generalnym MSZ. Potem – ambasadorem w Danii. A gdy nastały czasy PiS, wrócił do centrali. No i tu przez osiem lat był osobą poniewieraną. Przejęcie przez niego stanowiska dyrektora generalnego i szefa służby zagranicznej zapowiadało więc zmiany, przegląd kadr i przyjrzenie się nominatom PiS, licznym w MSZ. Było zwiastunem miotły.

Różne są oceny jego działań, jedni twierdzą, że niewiele w MSZ się zmieniło, drudzy przedstawiają długą listę ludzi PiS, którym ministerstwo podziękowało za współpracę. Ograniczmy się do jednej grupy – w 2023 r. wszystkie konsulaty RP w USA były kierowane przez ludzi PiS. Na przykład konsulem generalnym w Chicago był Paweł Zyzak. I dość szybko zostali oni odwołani do kraju.

Henryka Mościcka-Dendys inaczej przeżyła czasy PiS. Gdy Wiśniewskiemu ustawiono w centrali biurko w składziku na szczotki, ona była jego następczynią w Kopenhadze, tam ambasadorowała. Gdy w roku 2020 wróciła do kraju, została dyrektorem Biura Administracji. Jej doświadczenie jest więc inne. I inny krąg ludzi, którzy są punktem odniesienia.

Na pewno też będzie łatwiejsza do strawienia dla Pałacu Prezydenckiego, pracowała przecież z Marcinem Przydaczem… I ogólnie – ma umiejętności załatwiania spraw. Dlatego Sikorski zabrał ją na spotkanie z Karolem Nawrockim (pisaliśmy już o tym) i dlatego zrobił ją osobą odpowiedzialną z ramienia MSZ za prace Konwentu Służby Zagranicznej – tego ciała, które ma opiniować, wspólnie z Kancelarią Prezydenta i Kancelarią Premiera, kandydatów na ambasadorów.

Ale tej zmiany nie odbierajmy jako porażki Rafała Wiśniewskiego. Dużo wcześniej miał obiecaną dobrą ambasadę i taka jest dla niego szykowana. W Londynie jest bowiem wakat, dotychczasowy ambasador Piotr Wilczek zrezygnował z funkcji w październiku 2025 r. Wilczkowi i tak udało się przeżyć na ambasadorskich posadach 10 lat. Najpierw był ambasadorem w USA, a potem, na przełomie lat 2021 i 2022, niemal bezpośrednio z Waszyngtonu pojechał kierować ambasadą w Londynie. W każdym razie odszedł godnie. Sam zrezygnował, oficjalnie mówiąc, że z powodów zdrowotnych. Ambasadą kieruje więc chargé d'affaires a.i. Jerzy Boczkowski, dyplomata i pisarz, „chłopak z warszawskiej Woli", jak sam się przedstawia, i wszyscy czekają na nowego szefa.

Attaché



Szef Rady Europejskiej António Costa i przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen wraz z wieloma przywódcami z UE przybyli do Kijowa w czwartą rocznicę wybuchu wojny, pokazać wsparcie dla Ukrainy i Wołodymyra Zełenskiego. 24 lutego 2026 r.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 57bf9d0787







Plus Minus

ZBIGNIEW BUJAK,
UCZESTNIK ROZMÓW OKRĄGŁEGO STOŁU

Uczestniczyłem w wielu kampaniach wyborczych i zawsze, zawsze na jakimś zebraniu ktoś z sali mówił: „Pan nam tu obiecuje jakieś reformy, że to czy tamto lepiej zrobi, a co się stało z Ursusem? Gdzie jest Ursus? Takie przedsiębiorstwo, z takimi możliwościami, upadło. A pan nam tu coś obiecuje?”. I zazwyczaj to jest koniec rozmowy, bo nie mam żadnych kontrargumentów. Historia Ursusa jest obrazem wręcz patologicznego myślenia, które zaczęło funkcjonować dzień po porozumieniu Okrągłego Stołu: podpisaliśmy porozumienie, od tej chwili robole do maszyn, chłopy do pługa, studenci do nauki, profesorowie do bibliotek, a my już dalej wszystko poprowadzimy. Z tego, co było kapitałem Solidarności, zostało niewiele. Teraz, kiedy obserwuję tych chłopców i dziewczynki, którzy się nawalają piaskowymi pigułami, a wy, dziennikarze, im sekundujecie, to myślę, że utraciliśmy ten kapitał w całości.

Duży Format

JACEK SANTORSKI,
PSYCHOLOG

U nas zaufanie społeczne, według najnowszych danych, kształtuje się na poziomie 30%, w porównaniu z 80% w Skandynawii. To i tak jest sukces, bo te 30% to jest nasz najwyższy wynik w historii badań. My jesteśmy społeczeństwem postfolwarcznym. Podczas gdy w Skandynawii występowała własność i współwłasność, w polskim folwarku pan miał prawo decydowania o życiu i śmierci. Nawyki tamtej organizacji pozostały w nas, głęboko zakorzenione. Czujność, nieufność, myślenie „jak ukraść, żeby przetrwać” – to racjonalne zachowanie chłopa na folwarku, jeśli chciał żyć. I proszę nie wysnuwać z tego takiego wniosku, że w związku z tym Polacy to złodzieje. Taka konkluzja byłaby krzywdząca dla bardzo wielu osób, które prowadzą uczciwe życie.

Twój STYL

KRYSTYNA DEMSKA-OLBRYCHSKA,
KULTUROZNAWCA, TEATROLOG

To była namiętność – taka, że nie mogliśmy bez siebie wytrzymać. Mieliśmy różne życia, w innych miastach, ale ciągle szukaliśmy okazji, żeby się spotkać. A potem to już poszło – od namiętności do miłości i przyjaźni. Więcej nie powiem. Dziś panuje moda na obnażanie prywatności. Ludzie z radością pokazują światu to, co dawniej zostawało w czterech ścianach. Kiedy ktoś znany i lubiany fotografuje żonę z cellulitem na udach i wrzuca zdjęcia do sieci – niby z czułością, niby w imię „autentyczności” – a potem dumny jest z tysięcy obserwatorów, bo ludzie lubią zaglądać innym pod kołdrę, to mnie po prostu dziwi. Uważam, że są w życiu sfery, które warto zostawić skryte, tylko dla siebie. Nie ze wstydu, raczej z potrzeby posiadania intymnych sekretów, tajemnic tylko dla dwojga. Intymne sekrety bywają fascynujące.

VIVA!

WOJCIECH SIUDMAK,
MALARZ

Zaproszono mnie na premierę pierwszej części „Diuny” do Le Grand Rex, niegdyś największej sali kinowej w Paryżu. Nagle pojawił się Denis Villeneuve z całą świtą swoich aktorów. Wszedł na scenę i powiedział; „To, że jesteśmy tutaj, zawdzięczamy jednej osobie, która nazywa się Wojciech Siudmak”. Rozległy się brawa, po czym dodał: „I on tu jest”. I wtedy brawa były większe niż dla aktorów. Byłem bardzo wzruszony, bo malarz do końca nie wie, jak go odbierają.

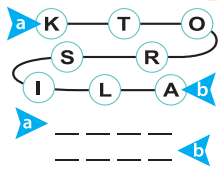
FOT. SARKA FARKA, RACJONALNA POLSKA, KRAINA MEMAMI PŁYNĄCA

eprasa.pl 57bf9d0787

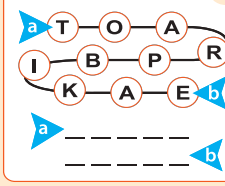
W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.

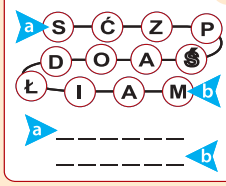
Wyrazy 4-literowe 1



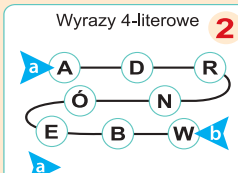
Wyrazy 5-literowe 3



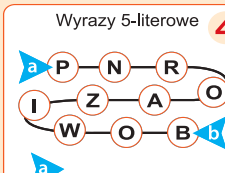
Wyrazy 6-literowe 5



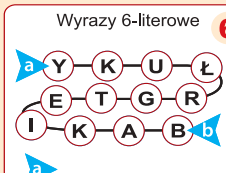
Wyrazy 4-literowe 2



Wyrazy 5-literowe 4



Wyrazy 6-literowe 6



ROZWIĄZANIA: KORA, LIST, DRÓB, WENA, TORBA, EKIPA, PRAWO, BIZON, SZPADA, MIŁOŚĆ, KURTKA, BIEGŁY



Aby język giętki…

JACEK NIZINKIEWICZ O KAROLU NAWROCKIM

Chciałby, żeby środki z SAFE były wydawane również w USA, dlatego lobbuje na rzecz administracji Trumpa.

HENRYK MARTENKA O RYSZARDZIE TERLECKIM

Musiało minąć wiele lat, zanim jeden z inteligentniejszych pisowców zrozumiał, że istotą polityki, z której żyje (dla dobra Polski, oczywiście), jest gówniarzeria.

KRYSTYNA JANDA O ZDROWIU

Bez przerwy jestem w ruchu, bo każdego wieczoru robię kilka tysięcy kroków. Poza tym od lat nie jem wieczorami.

ANDRZEJ STANKIEWICZ O PARTII POLSKA 2050

Skończyli jako polityczni degeneraci, kupcząc państwowymi posadami, oskarżając się nawzajem o defraudacje i fałszowanie wyborów.

RAFAŁ WOŚ O TOMASZU SYGUCIE

Za obecnego kierownictwa TVP poprzeczka została ustawiona już tak nisko, że każdy, kto przyjdzie po Sygucie, z automatu poprawi poziom.

JUSTYNA KOWALCZYK-TEKIELI O ROLI EKSPERTKI

Najwięcej czasu na igrzyskach spędzam na makijażu. Wejście do studia to prawie dwie godziny na malowanie i włosy.

ELŻBIETA ZAPENDOWSKA O DISCO POLO

To nie jest muzyka, tylko jakieś popłuczyny różnych dziwnych dźwięków i gustów.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 57bf9d0787



Pierwsza krew



Bez tytułu

Muzyka na atak paniki

Magdalena Karpińska

Najnowszy cykl malarski Magdaleny Karpińskiej zainspirowany jest tarantyzmem, południowowłoskim zjawiskiem kulturowym o średniowiecznych korzeniach, łączącym muzykę, taniec i terapię. Rytualny taniec kobiet, mający leczyć urojone ukąszenie tarantuli i towarzyszące mu stany depresyjne, staje się dla artystki metaforą procesu malowania. Karpińska nie przedstawia samego obrzędu, lecz jego symbole: wodę oczyszczenia, lustro czy figurę czwórki – liczbę muzyków taranteli. Powracające postacie kobiety i mężczyzny noszą ślad wspólnego doświadczenia utraty, samotności, izolacji.

Polana Institute
Warszawa, ul. Noakowskiego 16
do 28 marca

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Kąpiel



Pojął z przerażeniem, że u kresu wszechrzeczy jest jedynie ciało, kły i pazury



Bez tytułu

eprasa.pl 57bf9d0787



Czteroletni Shofi Mohammad jest przygotowywany do zabiegu chirurgicznego w szpitalu Lekarzy bez Granic w obozie dla uchodźców Kutupalong w Bangladeszu. Pielęgniarka, Zannatul Arafat, wyjaśnia mu, co się za chwilę wydarzy. Na sali jest z nim ojciec.

Dzięki Twojemu 1,5% podatku zespoły Lekarzy bez Granic mogą pomagać dzieciom takim jak Shofi oraz innym ludziom, których dotykają skutki najtragiczniejszych kryzysów humanitarnych na świecie. Dziękujemy!

Twoje 1,5% pomoże ratować życie i zdrowie.

Więcej: lekarze-bez-granic.pl

eprasa.pl 57bf9d0787



KUBA BADACH

RADIO EDIT

22.03 ŁÓDŹ — WYTWÓRNIA
26.03 TORUŃ — CKK JORDANKI
28.03 WARSZAWA — STODOŁA
29.03 GDAŃSK — STARY MANEŻ



IMANY

20 KWIETNIA — Stary Manež — GDAŃSK
21 KWIETNIA — Teatr Muzyczny ROMA — WARSZAWA
22 KWIETNIA — Centrum Koncertowe A2 — WROCŁAW
23 KWIETNIA — Klub Studio — KRAKÓW



dEUS presents

WORST CASE VERSUS IN A BAR

13 KWIETNIA
KLUB STODOŁA WARSZAWA PL



koncert promujący nowy album

UlaNova

5.05 URSZULA DUDZIAK

TEATR ROMA • WARSZAWA







SKRZEK/PIOTROWSKI/ANTHIMOS

SBB

BIELSKO-BIAŁA
CAVATINA HALL
6 MAJA

WARSZAWA
KLUB STODOŁA SOLD OUT
12 MAJA

GDAŃSK
STARY MANEŻ
14 MAJA



MARCIN MASECKI & BOLEROS

23 MAJA
SZCZECIN
FILHARMONIA IM. MIECZYSŁAWA KARŁOWICZA

27 MAJA
GDAŃSK
FILHARMONIA BAŁTYCKA

BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL | STODOLA.PL**

eprasa.pl 57bf9d0787